

Nora Roberts

Sztuka podstępny



SZTUKA PODSTĘPU

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Budynek ten trudno było nazwać po prostu domem, bardziej przypominał pałac, zbudowany z szarego, mieniącego się różnobarwnie kamienia. Z wielospadzistego dachu wyrastały okrągłe wieżyczki, które w dawniejszych czasach mogłyby służyć do celów obronnych. Szyby w wysokich, podłunych oknach podzielone były szprosami na mniejsze części w kształcie rombów. Ekscentryczna budowla stała na wysokim brzegu rzeki Hudson i nie sposób było oprzeć się wrażeniu, że przegląda się w lustrze wody jak próżna panna, świadoma swej urody. Jeśli opowieści o właścicielu tego domostwa były prawdziwe, pasowało ono do jego charakteru jak ulał.

Tylko tu brakuje fosy, zwodzonego mostu i smoka, pomyślał z przekąsem Adam, przemierzając brukowany dziedziniec.

Po obydwu stronach kamiennych schodów spoczywały ogromne gargulce, szczerzące zęby w szerokim, niepokojącym uśmiechu. Jako człowiek o praktycznym podejściu do życia Adam był zdania, że gargulce i wieżyczki obronne wyglądały dobrze tylko we właściwym sobie miejscu, które z pewnością nie znajdowało się w obrębie Nowego Jorku, dwie godziny drogi samochodem od serca Manhattanu.

Postanowiwszy jeszcze się wstrzymać z wydawaniem kategoriycznych opinii, uniósł

ciężką kołatkę, która z głośnym stukiem opadła ponownie na solidne drzwi, wykonane z honduraskiego mahoniu. Dopiero trzecie stuknięcie sprawiło, że drzwi uchyliły się z niegłośnym skrzypnięciem. Powstrzymawszy się od okazania zniecierpliwienia, Adam spojrzał w dół na niewysoką, szczupłą dziewczynę o ogromnych szarych oczach, czarnych warkoczach i usmarowanej sadzą twarzy. Ubrana była w wyświechtane dżinsy i pogniecioną bluzę. Wierzchem dłoni niespiesznie otarła nos, po czym odwzajemniła jego wyczekujące spojrzenie.

- Nazywam się Adam Haines - oznajmił powoli i wyraźnie, na wypadek gdyby miała kłopoty ze zrozumieniem. - Pan Fairchild oczekuje mnie.

- Oczekuje pana? - powtórzyła z mocnym północnym akcentem, przyglądając mu się uważnie spod zmrużonych powiek.

Po chwili wahania skrzywiła się, wzruszając jednocześnie ramionami, po czym odsunęła się, aby mógł wejść.

Szeroki, przestronny hol zdawał się nie mieć końca. W promieniach słońca, wpadających przez wysokie okno, pokryte ciemnym drewnem ściany nadawały pomieszczeniu wytworny charakter, ale Adam w ogóle tego nie zauważył. Nie miał tak wiele czasu dla dziewczyny, z którą przed chwilą zamienił parę słów, interesowały go tylko obrazy.

Jaka to była imponująca kolekcja! Van Gogh, Renoir, Monet - niejedno muzeum nie mogło się poszczycić takimi okazami. Adam stał w bezruchu, oczarowany bogactwem barw, odcieni, a tak e przemysłnych ruchów pędzla genialnych autorów. Być mo e Fairchild słusznie umieścił je w czymś, co przypominało fortecę...

Oderwawszy wreszcie wzrok od dzieł sztuki, Adam spostrzegł, e pokojówka wciąż stoi obok, przyglądając mu się badawczo.

- Pospiesz się, dobrze? - polecił, zirytowany. - Powiedz panu Fairchildowi, e ju jestem.

- A kim pan jest? - odpowiedziała pytaniem, najwyraźniej nie zra ona jego zniecierpliwionym tonem.

- Nazywam się Adam Haines - przedstawił się ponownie.

Miał niejednokrotnie do czynienia ze słu bą, ale jeszcze nigdy chyba nie spotkał

kogoś równie krnąbrnego.

- To ju pan mówił - przypomniała. Przyjrzał się jej uwa nie, gdy w jej głosie pojawiła się niespodziewanie nutka ironii. W spojrzeniu jej szarych oczu wyczytał dojrzałość i inteligencję, które nijak nie pasowały mu do tych dziecinnych warkoczyków i umazanych sadzą policzków.

- Młoda damo - wycedził powoli. - Pan Fairchild oczekuje mnie. Po prostu powiedz mu, e ju jestem. Poradzisz sobie z tym zadaniem, czy mo e cię przerasta?

- Jasne, e sobie poradzę - potwierdziła z oszałamiającym uśmiechem.

Po raz pierwszy Adam dostrzegł jej pełne, kuszące usta. Było w niej cos zagadkowego, niebanalnego, czego wcześniej nie zauwa ył pod warstewką sadzy. Niewiele myśląc, podniósł dłoń, aby wytrzeć jej policzek. W tej samej chwili dobiegł ich podniesiony męski głos.

- Nie dam rady! Mowie ci, e to niewykonalne! - wołał mę czyzna, zbiegając w niepokojącym tempie po schodach. - To wszystko twoja wina! - W oskar ycielskim geście wskazał palcem na dziewczynę. - Zapamiętaj to sobie!

Niewysoki, szczupły, poruszał się jak na siwowłosego starszego pana wawym krokiem. Nieco przerzedzone falujące włosy sterczały mu naokoło głowy jak aureola. Z tym anielskim wyglądem kontrastowała marsowa mina, jaką teraz przybrał.

- Panie Fairchild, pańskie ciśnienie zwiększa się z ka dą sekundą - ostrzegła dziewczyna, wyraźnie nic sobie nie robiąc z jego wybuchu złości. - Lepiej niech pan weźmie głęboki oddech, bo jak tak dalej pójdzie, będzie pan miał atak.

- Atak?! - wykrzyknął, podbiegając ku niej. - Jaki atak, dziewczyno? Przecie ja nigdy w yciu nie miałem adnego ataku!

- Ale zawsze kiedyś jest ten pierwszy raz - zauwa yła z lekkim uśmiechem. -

Przyszedł pan Adam Haines, chciałby się z panem widzieć.

- Haines? A co Haines ma z tym wspólnego? Mówię ci, to koniec, słyszysz? Koniec! -

Dramatycznym gestem przysnął dłoń do piersi, tak i przez moment zdawało się, e się rozpłacze. - Haines? - powtórzył, a na jego usta natychmiast wypłynął serdeczny uśmiech. -

Byliśmy umówieni, prawda?

- Tak - potwierdził Adam, podając mu dłoń.

- Cieszę się, e pan przyjechał. Od dawna czekałem na to spotkanie. - Fairchild entuzjastycznie potrząsnął jego ręką. - Zapraszam do salonu, napijemy się czegoś na dobry początek.

To powiedziawszy, ujął Adama pod ramię i energicznie poprowadził do sąsiedniego pomieszczenia, które w całości urządzone było antykami. Adam usiadł na wyjątkowo niewygodnej sofie, którą skinieniem dłoni wskazał mu gospodarz. Pokojówka przykucnęła przy ogromnym kamiennym kominku i zajęła się szorowaniem pokrytego sadzą paleniska, pogwizdując przy tym skoczną melodię.

- Mam ochotę na whisky - oznajmił Fairchild, sięgając po karafkę Chivas Regal. - A pan?

- Poproszę o to samo.

- Jestem wielbicielem pańskiego malarstwa, panie Haines - oznajmił gospodarz, podając mu szklankę, wypełnioną złocistobursztynowym płynem. Jego głos brzmiał pewnie, na twarzy malował się niczym nie zmacony spokój, tak e Adam zaczął się zastanawiać, czy burzliwa scena sprzed paru minut nie była aby wytworem jego wyobraźni.

- Dziękuję - odparł, sącąc whisky.

Od kącików ust i oczu Philipa Fairchilda odchodziły wiązki delikatnych zmarszczek, mimo to sprawiał wra enie osoby młodej i niesłuchanie witalnej. Jego niebieskie oczy miały wciąż intensywny odcień, a ich przenikliwe spojrzenie zdawało się prześwietlać rozmówcę na wylot.

Fairchild był niewątpliwie jednym z największych yjących artystów dwudziestego wieku. Jego twórczość prezentowała bogactwo stylów, od pełnego nonszalancji i eksperymentów do eleganckiego, klasycznego, dzięki czemu od ponad trzydziestu lat cieszył

się niezmienną sławą i szacunkiem, nie tylko w kręgach artystycznych, ale tak e wśród szerokiej publiczności. Część tej sławy zawdzięczał swemu nieposkromionemu temperamentowi, który sprawiał, e jednego dnia potrafił przejść cały wachlarz nastrojów.

Znany był z tego, e lubił zapraszać innych artystów do swego domu nad rzeką Hudson, aby przez kilka tygodni czy miesiący mogli wspólnie pracować czy odpoczywać. Potrafił te zamknąć się w swym domu na cztery spusty, odmawiając kontaktu z kimkolwiek przez parę tygodni z rzędu.

- Jestem panu bardzo wdzięczny za zaproszenie, panie Fairchild. Cieszę się, e będę mógł tu

pracować przez kilka tygodni.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł wspaniałomyślnie gospodarz.

- Mam nadzieję, e będę miał okazję przyjrzeć się z bliska pańskim obrazom - ciągnął

Adam. - Pańska twórczość jest niesłychanie zró nicowana.

- To pewnie dlatego, e nie jestem w stanie znieść monotonii. - Uśmiechnął się artysta.

Z okolic kominka dobiegło ich pogardliwe prychnięcie. - Niewdzięczne stworzenie - mruknął.

Pochwyciwszy jego pełne wyrzutu sumienie, pokojówka wzruszyła ramionami, po czym odrzuciła do tyłu warkocz i głośno cisnęła ścierkę do metalowego wiadra.

- Cards! - wykrzyknął Fairchild tak niespodziewanie, e Adam nieomal wypuścił z dłoni szklankę. - Cards!

Chwilę później w drzwiach salonu stanął wyprostowany jak struna kamerdyner, ubrany w garnitur, którego czerń kontrastowała z jego siwymi włosami i jasną karnacją.

- Tak, panie Fairchild? - odezwał się z brytyjskim akcentem.

- Zajmij się samochodem pana Hainesa - polecił artysta. A бага e zanieś do apartamentu Wedgewood.

Kamerdyner zawahał się przez chwilę.

- Oczywiście, proszę pana - odrzekł wreszcie, ułamek sekundy po tym, jak siedząca w palenisku dziewczyna nieznacznie skinęła głową.

- A jego sprzęt zanieś do pracowni Kirby - dorzucił gospodarz, uśmiechając się radośnie na widok pełnego oburzenia wyrazu twarzy pokojówki. - Bez obawy, na pewno się zmieścicie. - Ruchem głowy skazał Adamowi dziewczynę. - To moja córka. Jest rzeźbiarką, pasjonuje się babraniem po łokcie w glinie i odłupywaniem kawałków kamienia i drewna. Ja sobie kompletnie nie radzę z rzeźbą - wyznał ze smutkiem, zwieszając głowę. - Bóg jeden wie, jak się staram. Wkładam w to całą duszę. I nic... - Wyprostował się energicznie. - I nic!

- Niestety, obawiam się... - zaczął nieśmiało Adam.

- Jestem nieudacznikiem - Fairchild wpadł mu w słowo. - W moim wieku nie tak łatwo jest pogodzić się z pora ką. To wszystko twoja wina! - zawołał do córki. - To ty ponosisz za to odpowiedzialność!

Odwróciwszy się od kominka, dziewczyna usiadła po turecku, po czym potarła nos brudną ręką.

- To absurd, nie mo esz mnie obwiniać za to, e masz dwie lewe ręce - zauwa yła, tym razem bez tego północnego akcentu, z jakim przywitała Adama. - Po prostu ustawileś się na z góry straconej pozycji,

próbując udowodnić, e jesteś lepszy ode mnie.

- Na straconej pozycji! Na straconej pozycji, mówisz? - Jej ojciec zerwał się na równe nogi. - Jeszcze zobaczysz triumf Philipa Fairchilda, ty mała niewdzięcznico! - Zawołał, nieświadomie wymachując ręką, w której trzymał szklaneczkę z whisky. - Poczekaj, jeszcze będziesz musiała odwołać te słowa, niedowiarku!

- Nonsens. - Udała ziewnięcie. - Ty masz swoje medium, papo, a ja mam swoje.

Musisz się z tym pogodzić.

- Nigdy! - zawołał, bijąc się w pierś. - Pora ka nie jest w moim stylu.

- To się jeszcze oka e - odparowała, po czym sięgnąwszy po jego szklaneczkę whisky, wychyliła jej zawartość jednym haustem.

Ojciec posłał jej pełne wyrzutu spojrzenie, więc ucałowała go w policzek, przenosząc nań trochę sadzy.

- Jesteś brudna na twarzy - mruknął.

- Ty te - oznajmiła radośnie.

Obydwoje uśmiechnęli się jednocześnie. Adam dopiero teraz spostrzegł ich niesłychane podobieństwo. Było ono tak ogromne, e zastanawiał się ze zdumieniem, jak mogło wcześniej ujść jego uwagi. Kirby Fairchild, jedyne dziecko Philipa, powszechnie znana artystka młodego pokolenia, dorównująca ekscentrycznością swemu ojcu. Adam nie mógł się nadziwić, jak to mo liwe, aby ulubienica wy szych sfer własnoręcznie szorowała palenisko w kominku.

- Chodź, Adamie - Kirby zwróciła się do niego z uprzejmym uśmiechem. -

Zaprowadzę cię do twojego pokoju. Wyglądasz na zmęczonego podróż a. Ach, papo -

dorzuciła w drodze do drzwi. - Przyszło najnowsze wydanie „People”. Le y na tacy na stoliku. To go zajmie na trochę - dorzuciła, gdy szli z Adamem po schodach.

Idąc jej śladem, przypatrywał się jej pełnym gracji ruchom. Kirby poruszała się lekko, elegancko, a warkoczyki łagodnie kołysały się na jej ramionach. Zerknął na tylne kieszenie jej mocno wytartych d insów - nie nosiły metki adnego producenta. Zwykle płócienne tenisówki miały poszarpane sznurówki.

Znaleźli się na drugim piętrze. Minąwszy kilkoro drzwi, zatrzymali się wreszcie.

Kirby zerknęła na swoje dłonie, po czym przeniosła spojrzenie na Adama.

- Lepiej ty otwórz - zaproponowała. - Bo ja wybrudzę całą klamkę.

Posłusznie otworzył drzwi. Zerknąwszy do środka, odniósł wrażenie, jak gdyby cofnął

się w czasie. Pomieszczenie utrzymane było w tonacji niebieskiej, odcieniu typowym dla porcelany słynnej firmy Wedgwood. Misternie rzeźbione fotele i stoliki niewątpliwie pochodziły z najlepszego okresu panowania króla Jerzego. Na ścianach wisiały przepiękne obrazy, ale tym razem to nie one przykuły uwagę Adama.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zapytał, przypatrując się intensywnie towarzyszącej mu dziewczynie.

- Co takiego? - odparła z niewinną miną.

- Udawałaś kogoś zupełnie innego - wyjaśnił, zbliżając się do niej.

Z trudem zapanował nad przemożną chęcią otarcia sady z jej policzka.

- Zrobiłeś na mnie wrażenie straszliwie ugrzecznionego, a przy tym wszystkim wyraźnie wściekłego.

- Oparła się ramieniem o futrynę, przypatrując się mu uważnie. -

Wyraźnie spodziewałaś niezbyt inteligentnej pokojówki, więc postanowiłam wyjść naprzeciw twoim oczekiwaniom. O siódmej podawane są koktajle. Trafisz sam z powrotem, czy mam po ciebie przyjść?

- Trafię - zdecydował.

- To świetnie. Ciao.

Przyglądał się z fascynacją, jak oddalała się długim korytarzem. Nie miał wątpliwości, że Kirby Fairchild była równie fascynującym obiektem, co jej ojciec, ale postanowił, że nią zajmie się w drugiej kolejności.

Zamknąwszy drzwi, przekręcił klucz w zamku. Jego bagaże stały już koło przepastnej szafy z ciemnego drewna. Sięgnąwszy po jedną z walizek, ustawił w odpowiedniej pozycji zamek szyfrowy, po czym wyjął ze środka mały nadajnik.

- Melduję się - powiedział, włączony urządzenie.

- Hasło - padła lakoniczna odpowiedź.

- Mewa - mruknął poryżowany. - To chyba najgłupsze hasło, jakie kiedykolwiek słyszałem.

- Takie są wymagania, Adamie, musimy się ich trzymać.

- Jasne. Melduję się, McIntyre - powtórzył.

- Właściwie tylko po to, eby ci podziękować za to, że mnie wysłałeś do tego domu wariatów.

To powiedziawszy, jednym ruchem kciuka wyłączył urządzenie, nie dając McIntyre'owi szansy na

odpowiedź.

Kirby nie miała głowy do tego, aby brać natychmiast prysznic, tylko popędziła po schodach do pracowni ojca. Znalazłszy się tam, zatrzasnęła za sobą drzwi z takim impetem, e słoiczki i tubki z farbą a zadzwięczały na półkach.

- Coś ty tym razem wymyślił? - zawołała, biorąc się pod boki.

- Zaczynam od początku. - Ojciec nawet nie podniósł na nią wzroku, pochylony w skupieniu nad wilgotną masą gliny. - Od samego początku. Moje dzieło rodzi się na nowo.

- Nie mówię o twoich ałosnych próbach z gliną. Mówię o Adamie Hainesie. - Mimo swej niezbyt imponującej postury potrafiła wyrazić całą sobą niezadowolenie, gdy tylko odczuwała taką konieczność. Teraz zaś oparła dłonie na stole i pochyliwszy się, zbliżyła twarz do oblicza Fairchilda. - Jak mogłeś go zaprosić i nawet nie wspomnieć mi o tym ani słowem?!

- Ale Kirby - zaczął łagodnie, wiedział bowiem, e czasami najlepszą strategią jest unikanie konfrontacji. - Po prostu wyleciało mi to z głowy.

- Akurat, wyleciało ci z głowy, oczywiście - powtórzyła zirytowana, bo przecie знаła swego ojca nie od dziś i wiedziała, e wa ne rzeczy nigdy nie wylatują mu z głowy. - Co ty znowu kombinujesz, papo?

- Kombinuję, ja? Ale skąd! - zaprzeczył z niewinną miną.

- Czemu zaprosiłeś go akurat teraz?

- Wiesz przecie , e od dawna podziwiam jego prace. Zresztą tobie te przypadły do gustu - przypomniał. - Niedawno dostałem od niego przemiły list na temat „Purpurowego księ yca,,”, który ostatnio widział w muzeum Metropolitan.

Przyjrzała mu się podejrzliwie, marszcząc przy tym brwi.

- O ile się nie mylę, dotąd nie miałeś w zwyczaju zapraszać do domu ka dego, kto wypowiedział się pochlebnie o twoim obrazie - zauważyła kąśliwym tonem.

- Oczywiście, kochanie - zgodził się. - To byłoby fizycznie niemożliwe, trzeba umieć dokonywać selekcji. A teraz pozwól, e wrócę do pracy, bo czuję, e mam natchnienie.

- Coś mi tu brzydko pachnie - nie dawała za wygraną. - Papo, jeśli to kolejny z twoich tajnych planów po tym, jak ostatnio obiecałeś...

- Ale Kirby! - westchnął w wyrzucie. - Jak mo esz nie ufać słowu ojca.

Skrzyowała ramiona na piersi, przyglądając mu się z niewzruszonym wyrazem twarzy.

- Moje motywacje są jak najbardziej altruistyczne - jej ojciec oznajmił nie zraony.

Prychnęła śmiechem.

- Adam Haines jest szalenie zdolnym młodym artystą. Sama przecie tak mówiłaś.

- Ale nie zamierzam temu przeczyć. Co więcej, jestem przekonana, e jest doskonałym kompanem. Ale teraz jest nam tu potrzebny jak dziura w moście!

- Ujęła ojca pod brodę.

- Ach, Kirby! - jęknął, przewracając oczami.

- Twoja matka nieboszczka, Panie świeć nad jej duszą, byłaby bardzo rozczarowana, mogąc cię teraz słyszeć.

- Papo, Van Gogh! - wycedziła przez zaciśnięte zęby.

- Ju się robi - zapewnił. - Jeszcze tylko parę dni. Przeczuwając, e jeszcze moment, a zacnie rwać włosy z głowy, Kirby odeszła w kierunku okna, aby uspokoić się, spoglądając na zielony krajobraz.

To pierwsze objawy starości, myślała. Inaczej przecie nawet przez moment nie zastanawiałaby się nad zaproszeniem tego człowieka do domu. Mo e za tydzień, mo e za miesiąc, ale na pewno nie teraz! Nie miała najmniejszych wątpliwości, e Adam Haines był

myślącym, inteligentnym mę czyzną. Był te niesłychanie atrakcyjny. Stanowił idealny model do rzeźby w brązie - prosty nos, ostre rysy, łagodne płaszczyzny. Jego włosy miały lekko miedziany kolor i choć długością przekraczały obecne trendy, prezentowały się nader korzystnie. Kirby czuła, e potrafiłaby oddać tę delikatny wyraz pewności siebie, jaki malował się na jego twarzy. Kiedyś chętnie go wyrzeźbi, ale nie teraz...

Wzdychając głęboko, wzruszyła jednocześnie ramionami. Za jej plecami Philipa Fairchild uśmiechnął się ze zrozumieniem. Gdy ponownie odwróciła się ku niemu, wpatrywał

się intensywnie w le ącą przed nim glinę.

- Wiesz przecie , e będzie chciał tu przyjść. - W zamyśleniu schowała zabrudzone sadzą dłonie do kieszeni. - Zresztą wydałoby się podejrzane, gdybyś nie oprowadził go po swojej pracowni.

- Zaproszę go tu jutro.

- Adam pod adnym pozorem nie mo e zobaczyć Van Gogha! - Ujęła się pod boki. -

Proszę, nie komplikuj naszej sytuacji jeszcze bardziej.

- Zapewniam cię, e nie zobaczy tu Van Gogha.

- Ojciec zerknął na nią przelotnie. - Zresztą to nie jego sprawa.

Kirby zdawała sobie sprawę, e naiwnością jest liczyć, e wszystko jakoś samo się rozwiąze, ale nie wiedzieć czemu słowa ojca trochę ją uspokoiły. Choć Philip Fairchild znany był ze swych ekscentrycznych pomysłów, nie był przecie głupcem, a i ona sama nie uważała się za istotę bezmyślną.

- Dzięki Bogu, e obraz jest ju prawie skończony - westchnęła.

- Jeszcze parę dni i będzie bezpiecznie wisił sobie daleko w górach Ameryki Południowej. - Ojciec uśmiechnął się z zadowoleniem.

Kirby podeszła do stojących w rogu pomieszczenia sztalug i uniosła materiał, przykrywający niemal ukończony obraz. Jej oczom ukazał się pozornie spokojny krajobraz pasterski, który jednak dzięki odważnym kreskom a pulsował życiem - opowiadał o cierpieniu i radości, o nieszczęściach i zwycięstwach, których doświadczał sportretowani na nim prości ludzie. Uśmiechnęła się mimowolnie, jako artystka i córka artysty jednocześnie.

- Papo, jesteś niezrównany! - pochwaliła, spoglądając mu prosto w oczy.

Nim minęła siódma wieczorem, Kirby nie tylko pogodziła się z myślą o tym, e ktoś będzie gościł w ich domu, ale postanowiła nawet, e będzie się doskonale bawić w jego towarzystwie. Napełniając kieliszek wermutem, zdała sobie sprawę, e nie może się doczekać ponownego spotkania z Adamem Hainesem, odniosła bowiem wrażenie, e pod nieskazitelną, uładzoną powierzchnią kryją się fascynujące cechy, które pragnęła w nim odkryć.

Opadłszy na fotel, skrzywowała nogi, po czym ponownie wsłuchiwała się w utyskiwanie ojca.

- Nic mi się nie udaje, nic! - narzekał Philip Fairchild. - Czemu tak jest, Kirby?

Przecie jestem dobrym człowiekiem, dobrym artystą, kochającym ojcem..

- Wszystko opiera się na odpowiednim podejściu, papo - odparła, lekko wzruszając ramionami. - Twoje podejście do sprawy jest zbyt emocjonalne.

- Jak to, zbyt emocjonalne? - obruszył się. - Nie widzę nic złego w moim podejściu.

Problem leży w glinie, a nie we mnie.

- Jesteś zarozumiały, na tym polega twój problem - zawyrokowała.

Jej ojciec ze świstem wciągnął powietrze w płuca.

- Zarozumiały?! - powtórzył z oburzeniem.

- A có to za określenie?

- To przymiotnik - odparła spokojnie. - Rodzaju męskiego. Złoony z pięciu sylab.

Adam miał okazję usłyszeć tę wymianę zdań, gdy, idąc korytarzem, zbliżył się do salonu. Zdążył już trochę wypocząć po podróży, ale nie był pewnie, czy jest gotowy ponownie stawić czoła temu szaleństwu, które zdawało się być obecne w każdym zakamarku tego ogromnego domostwa. Nie miał innego wyjścia, jak zacisnąć zęby i odważyć się wkroczyć sam w środek kataklizmu, obiecując sobie jednocześnie, że McIntyre zapłaci za wszystkie trudy, na jakie go naraził.

Stanąwszy w drzwiach, powędrował wzrokiem w kierunku, który wskazywał

oskarżycielsko wzniesiony palec Philipa Fairchilda. Na moment Adamowi odebrało mowę.

Jego oczy spoczęły na kobiecie, której wygląd był tak odmienny od tego, jak prezentowała się jeszcze przed paroma godzinami, i trudno było uwierzyć, że to jedna i ta sama osoba. Ubrana była w prostą, a przedtem w szalenie elegancką suknię z delikatnego czarnego jedwabiu, ozdobioną jedynie lekkim marszczeniem wzdłuż dekoltu oraz odważnym rozcięciem na lewym udzie. Przyjrzał się jej profilowi, podziwiając prosty, zgrabny nos oraz lekko zarysowane kości policzkowe. Pełne usta układały się w nieznaczny uśmiech, wywołany oburzeniem ojca. Pobawiona ciemnych smug skóra okazała się być złocistobrązową, już daleka sprawiając wrażenie miękkiej i gładkiej. Tylko oczy - duże, szare i rozbawione -

przypominały Adamowi, że ma do czynienia z tą samą kobietą. Uniósłszy dłoń, odrzuciła na ramię opadające na twarz kruczoczarne kosmyki.

Owszem, była piękna, lecz Adam widział w swoim życiu piękniejsze kobiety.

Tymczasem było w niej coś, co sprawiało, że inne gasły przy jej blasku, jednak nie był w stanie określić tego słowami.

Jak gdyby czując na sobie jego spojrzenie, Kirby odwróciła się w jego kierunku, po czym utkwiała w nim zaciekawione spojrzenie, ignorując wciąż monologującego ojca. Powoli, bardzo powoli uśmiechnęła się. W jednej chwili Adam zrozumiał, że słowo, którego mu brakowało, to seksapil - Kirby roztaczało go wokół siebie tak, jak inne kobiety roztaczają wokół siebie woń perfum. Była niesłychanie pociągająca, do tego stopnia, że Adam zapragnął jej, choć właściwie wcale jej nie znał - jeszcze nigdy nie przytrafiło mu się nic podobnego.

Wiedział, że będzie musiał postępować bardzo ostrożnie, aby zdobyć jej zaufanie. Miał przed sobą jeszcze trudniejsze zadanie niż mu się zdawało, gdy tego ranka wyruszał w podróż.

- Witaj, Adamie - powitała go miękkim głosem. - Cieszę się, że nas odnalazłeś.

Wejdziesz, papa już prawie skończył.

- Wcale nie skończyłem! - zaprotestował jej ojciec. - Nazwała mnie żartobliwie.

Wyobraź sobie, Adamie? Co to za czasy, w których córka może bezkarnie zwracać się w ten sposób do ojca.

- Może masz ochotę na aperitif? - zaproponowała Kirby, ignorując ojcowskie oburzenie.

- Tak, chętnie, dziękuję.

- Czy podoba ci się twój pokój? - zapytał Fairchild, uspokoiwszy się w jednej sekundzie.

- Bardzo mi się podoba - odrzekł Adam, dochodząc do wniosku, i jedynym wyjściem z sytuacji jest udawanie, e wszystko jest w najlepszym porządku. - Pański dom jest...

wyjątkowy, panie Fairchild.

- To prawda. Bardzo go lubię - odparł z zadowoleniem gospodarz. - Zbudował go pod koniec dziewiętnastego wieku jakiś niesłuchanie bogaty, a przy tym szalony angielski arystokrata. Kirby, wprowadzisz jutro Adama, dobrze?

- Oczywiście - zgodziła się, podając Adamowi kieliszek wina i patrząc mu przy tym głęboko w oczy.

- Będę zaszczycony - odparł.

Zastanawiał się jednocześnie, jak to mo liwe, aby tak młoda kobieta prezentowała w ka dym ruchu i w ka dym geście a taką klasę. Doszedł szybko do wniosku, i jest to zapewne cecha wrodzona.

- Lubimy sprawiać przyjemność naszym gościom. - Uśmiechnęła się, spoglądając na niego znad brzegu kieliszka.

- Pańska kolekcja zdaje się być bogatsza ni zbiory niejednego muzeum - pochwalił, zwracając się do gospodarza. - Ten Tycjan, który wisi w moim pokoju, jest wspaniały.

Kirby poczuła nagły przypływ paniki. Jak mogła zapomnieć o Tycjanie?! I co teraz powinna zrobić? Wkradanie się do pokoju Adama, aby usunąć stamtąd obraz, nie miało najmniejszego sensu, skoro ju go widział. Nie pozostawało więc nic innego jak przejść nad tym do porządku dziennego.

- Czy ten pejza z rzeką Hudson na zachodniej ścianie to twoje dzieło? - zwrócił się do niej Adam.

- Tak - przyznała z lekkim uśmiechem. - Właściwie ju o nim zapomniałam. Obawiam się, e jest trochę zbyt sentymentalny. Namalowałam go pewnego lata, kiedy zakochałam się synu szofera. Zwykle chodziliśmy nad rzekę, gdy chcieliśmy pobyć trochę sami.

- Miał strasznie krzywe zęby - przypomniał złośliwie jej ojciec.

- Có , miłość podobno zwycię a wszystko - odparła sentencjonalnie.

- Nie wydaje mi się, eby brzeg rzeki Hudson był odpowiednim miejscem do utraty dziewictwa - zawyrokował jej ojciec, spowa niawszy nagle.

- Ale ja nie straciłam dziewictwa nad rzeką Hudson - odparowała Kirby, zdając się bawić jego oburzeniem. - Straciłam je w renaulcie w Pary u. - Uśmiechnęła się prowokująco.

- Podano kolację - oznajmił Cards, stając w drzwiach.

- Najwy sza pora. - Philip Fairchild zerwał się na równe nogi. - Do czego to podobne, eby człowiek głodował we własnym domu.

Odprowadziwszy z uśmiechem oddalającą się sylwetkę ojca, Kirby wyciągnęła rękę w kierunku Adama.

- Pozwól, e zaprowadzę cię do jadalni - zaproponowała.

Najbardziej przykuwającym uwagę elementem wystroju jadalni były obrazy autorstwa gospodarza. Wprawdzie nad ogromnym mahoniowym stołem skrzył się piękny kryształowy yrandol, a rozło ysty kamienny kominek buchał płomieniami, jednak e to właśnie malowidła Philipa Fairchild były tym, co zauwa ało się, wchodząc do jadalni.

Wyglądało na to, e Fairchild nie miał jednorodnego stylu, wszystko było w zasięgu jego mo liwości artystycznych, bez względu na to, czy malował rozświetlony promieniami słonecznymi krajobraz, czy te subtelny portret, utrzymany w przyćmionych tonacjach.

Zdawał się próbować wszystkiego - grubych kresek pędzla i delikatnych, ledwie widocznych smug farby; ociekających farbą olejną płócien i zamglonych akwareli. Adam nie miał

wątpliwości, e Philip Fairchild jest prawdziwym mistrzem.

Tak jak zró nicowana była jego twórczość, podobnie barwne były jego opinie na temat innych artystów.

Siedząc przy długim, suto zastawionym stole, Fairchild opowiadał o ka dym malarzu tak, jak gdyby jakiś cudem cofnął się w czasie i miał okazję zaprzyjaźnić się z Rafaelem, Goya czy te Manetem. Prezentował fascynujące teorie, a jego wiedza była tak rozległa, e Adam, sam będąc malarzem, nie mógł nie podziwiać jego fascynującej osobowości.

Sprzeczne dą enia sprawiały jednak, e czuł się niezręcznie, bowiem jako człowiek sumienny nie był w stanie całkowicie zapomnieć o zadaniu, które go tu przywiodło. Sytuację pogarszał

fakt, e Kirby Fairchild była niesłychanie atrakcyjną kobietą... Adam w duchu po raz kolejny przeklął McIntyre'a.

Nie miał wątpliwości, e te tygodnie, jakie przyjdzie mu spędzić z Fairchildami, będą niesłychanie fascynujące. Wprawdzie nie chciał komplikacji, ale mimowolnie ju poddał się urokowi tej dwójki ekscentryków. Postanowił, e na razie będzie ich bacznie obserwował, aby starannie wybrać stosowny moment do działania.

Informacje, jakich dostarczono mu na temat Fairchildów, były raczej oszczędne.

Wiedział, e Philip ma nieco ponad sześćdziesiąt lat, zaś od niemal dwudziestu jest wdowcem. Jako artysta był szeroko znany, natomiast szczegóły jego ycia prywatnego nie były znane szerszej publiczności - zastanawiał się, czy to z powodu temperamentu malarza, czy mo e z konieczności. O Kirby nie wiedział właściwie nic - do zeszłego roku jej twórczość nie była znana prawie nikomu, a

do momentu wystawy, którą przebojem wkroczyła do świata artystycznego. Mimo to ani ona, ani ojciec nie zabiegali o powszechną popularność dla swych dzieł, zresztą nie było takiej potrzeby, gdy klasa ich twórczości zapewniała im zastronę podziwu. Jeśli chodzi o życie prywatne Kirby, zarówno brat, jak i kolorowe magazyny rozpisywały się z lubością o jej wypadkach do Saint Moritz w towarzystwie aktualnego tenisowego mistrza świata lub wyprawach na Martynikę u boku najmodniejszego hollywoodzkiego aktora. Powszechnie wiadomo było, że ma dwadzieścia siedem lat i jest nadal niezamężna, jak się Adam domyślał, nie z braku propozycji, ponieważ należała do kobiet, które nieustannie przyciągały uwagę mężczyzn. W dawnych czasach niewątpliwie byłaby sprawczynią wielu pojedynków, co - nie miał najmniejszych wątpliwości - na pewno niesamowicie by ją bawiło.

Podobnie Fairchildowie wiedzieli o nim niewiele, tylko tyle, co zasłyszeli od innych artystów, czy też przeczytali w prasie. Zdawali sobie sprawę, że urodził się w bogatej rodzinie, dzięki czemu mógł bez przeszkód rozwijać swój nieprzeciętny talent. W wieku dwudziestu lat zdobył pierwsze pochwały dla swej twórczości, zaś obecnie, przekroczywszy trzydziestkę, uznawany był powszechnie za jednego z najznakomitszych twórców swego pokolenia. Mieszkał w Paryżu, potem w Szwajcarii, a wreszcie ponownie osiadł w Stanach.

Przez ostatnie kilka lat podróżował, jednocześnie malując, sztuka bowiem zajmowała w jego życiu najważniejsze miejsce. Mimo że sprawiał wrażenie chłodnego i opanowanego, w głębi duszy lubił przygody i nie zatrzymywał się przed przeszkodami, poszukując sprytnych sposobów ich obejścia. To właśnie najbardziej cenił w nim McIntyre. Adam obiecał sobie solennie, że gdy następnym razem Mac będzie próbował wciągnąć go w swój plan, odmówi mu stanowczo i bez chwili wahania.

Gdy powrócili do salonu, aby wypić tam kawę, doszedł do wniosku, że w ciągu kilku tygodni powinien rozwikłać zagadkę. Zadowolony z podjętego postanowienia, skoncentrował

się na obserwowaniu Kirby. W tym momencie była wcieleniem doskonałej gospodyni, czarującej i uważnej, a jednocześnie pełnej klasy i wyrafinowania. Kirby zdawała się mieć wszystkie cechy, których zawsze szukał w kobietach - była zadbana, dobrze wychowana, inteligentna i miła.

- Możliwe, że byś nam zagrała, Kirby - przerwał mu rozmyślenia Philip Fairchild. - Lubię, kiedy grasz, to pomaga mi się skupić.

- Oczywiście. - Dziewczyna uśmiechnęła się do Adama, po czym podeszła do instrumentu, który Adam początkowo wziął za nieduży fortepian. Wystarczyło jednak kilka dźwięków, by zorientował się ze zdumieniem, że jest to klawesyn. Niemal w tej samej chwili rozpoznał jedno z preludium Bacha. Poczł się, jak gdyby nagle wpadł w pętlę czasową, bo czy to możliwe, aby jeszcze gdziekolwiek w świecie, w dwudziestym pierwszym wieku, ktoś całkiem na serio grał Bacha na klawesynie?

Philip Fairchild przymknął z lubością oczy, postukując lekko palcem w rytm granej przez córkę melodii. Na twarzy Kirby malowało się skupienie, tym bardziej więc Adam zdumiał się, gdy ni z tego, ni z owego puściła do niego oczko. Jak gdyby nigdy nic przeszła płynnie do Brahmsa, podczas gdy Adam przyglądał jej się z niedowierzaniem. Poczł

przemocne pragnienie namalowania jej portretu. Znał siebie, wiedział, że nie spocznie, póki jej do

tego nie przekona...

- Mam! - krzyknął nagle Fairchild, zrywając się na równe nogi. - Mam! Ju wiem!

Czuję przyływ natchnienia.

- Akurat - mruknęła Kirby.

- Ju ja ci poka ę, ty niedowiarku! - Jej ojciec pochylił się nad klawesynem z szerokim uśmiechem, który na moment upodobił go do stojących przez głównym wejściem gargulców. - Zobaczysz, nie minie tydzień, a będziesz zmuszona ze wstydem przyznać, e cały twój dorobek w porównaniu z moją rzeźbą to zwykle rękodzieło.

- Jasne - odparła, unosząc brwi, po czym uniósłszy się nieco, cmoknęła ojca w czoło.

- Jeszcze sobie przypomnisz moje słowa! - zawołał Fairchild, wychodząc spieszonym krokiem z salonu.

- Wątpię - skomentowała, wstając zza instrumentu.

- Papa podchodzi do wszystkiego niesłuchanie ambicjonalnie - wyjaśniła, jednocześnie sięgając po kieliszek. - Mo e masz jeszcze ochotę na brandy?

- Twój ojciec ma... - zawahał się - ...nieprzeciętną osobowość.

- Jesteś urodzonym dyplomata, prawda, Adamie?

- Posłała mu ciepły uśmiech.

- Tak, w pewnych okolicznościach - przyznał ostro nie.

- Tylko w pewnych okolicznościach? Mam wra enie, e nawet częściej. A szkoda.

Poniewa lubiła utrzymywać stały kontakt ze swymi rozmówcami, nie spuszczała z niego spojrzenia, sącząc powoli brandy.

- Uwa am, e byłbyś bardzo interesującym mę czyzną, Adamie, gdybyś sam się tak nie ograniczał - ciągnęła. - Zało ę się, e z zasady musisz wszystko trzy razy przemyśleć zanim cokolwiek powiesz.

- Czy sądzisz, e to wada? - zapytał chłodno. - To bardzo ciekawa obserwacja, zwłaszcza biorąc pod uwagę, e znamy się tak krótko.

Usatysfakcjonowana faktem,

e udało jej się go sprowokować, uznała, i

zdecydowanie nie jest nudziarzem.

- Wydaje mi się, e wystarczyłaby godzina, aby dojść do takiego wniosku. Poza tym widziałam twoje obrazy i uznałam na ich podstawie, e jesteś osobą bardzo opanowaną, dumną i masz silne poczucie tego, co przystoi, a co nie - zawyrokowała.

- Nie wiem czemu, ale odnoszę wrażenie, e powinienem się za to obrazić.

- A do tego jesteś spostrzegawczy. - Uśmiechnęła się. Podjąwszy błyskawicznie decyzję, odstawiła brandy, nie spuszczając z niego spojrzenia. - Natomiast ja jestem impulsywna. I koniecznie muszę spróbować, jak to smakuje.

Zanim Adam zdążył się zorientować, jej ramiona opłotły jego szyję, a na ustach poczuł smak jej warg. Był tak zaskoczony, e nim się na dobre rozsmakował tym pocałunku, Kirby wymknęła mu się z objęć. Na jej twarzy gościł przekorny uśmiech.

- To było miłe - oceniła. - Śniadanie mo esz zjeść od siódmej. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, po prostu zadzwoń po Cardsa. Dobranoc.

Odwróciwszy się, ruszyła ku wyjściu, gdy niespodziewanie pochwyciły ją silne ramiona.

- Zaskoczyłaś mnie - powiedział cicho Adam. - Stać mnie na więcej ni to, co przed chwilą widziałas.

Przycisnąwszy ją mocno do siebie, pocałował ją namiętnie, wyzwalając w niej spontaniczną reakcję. Jej dłonie badały jego twarz, szyję, ramiona, jak gdyby ju zaczynała rzeźbić jego popiersie. Ta gorączka udzieliła się równie jemu, choć miał w zwyczaju nie poddawać się emocjom, kierować się rozsądkiem, a nie uczuciami czy te impulsem.

Tymczasem w tym momencie rządziło nim jedynie przemo ne pragnienie, które nie słuchało argumentów rozumu.

Wreszcie niechętnie podniósł głowę, próbując uspokoić przyspieszone bicie serca.

Widział w jej oczach, e nie spodziewała się po nim czegoś takiego, e ona tak e stara się ukryć emocje.

- Lepiej? - zapytał, chcąc nacieszyć się tą niewątpliwie krótką chwilą przewagi.

- Znacznie lepiej - odparła dr ącym nieco głosem. - Robisz postępy. - Wysunęła się z jego ramion. - Jak długo zamierzasz z nami pozostać?

- Cztery tygodnie - odrzekł, zaskoczony, e tego nie wie.

- Czy zamierzasz przespać się ze mną zanim wyjedziesz?

Spojrzał na nią z rozbawieniem, a jednocześnie z podziwem. Szanował osoby, które nie wahały się wyrażać szczerze swych opinii, zarazem jednak nie był przyzwyczajony do a takiej otwartości.

- Owszem - przyznał, biorąc z niej przykład. Skinęła głową. Uwielbiała wszelkie gry, oparte na

niedopowiedzeniach, wciągała ją rywalizacja. Oczywiście pod warunkiem, że przewaga była po jej stronie.

- Będę musiała się nad tym zastanowić. Dobranoc, Adamie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Jasne promienie porannego słońca wpadały do jadalni przez wysokie okna, malując świetliste wzory na drewnianej podłodze. Na zewnątrz drzewa zdradzały nadchodzącą coraz szybszymi krokami jesień - setki liści w gorących odcieniach od złocistego, poprzez łososiowy, a po purpurę pokrywały trawnik, nieliczne tylko uparcie zieleniły się na gałęziach. Niektóre krzewy zdawały się płonąć na tle nieco już wyblakłej zieleni trawy. Adam stał tyłem do tego pysznego widoku, skupiony na obrazach, które zdobiły ściany jadalni.

Ponownie nie mógł się nadziwić niesamowitej wręcz różnorodności stylów, jakie uprawiał Philip Fairchild. Była tam martwa natura, gra światła i cienia przypominająca dzieła Goi, pejzaż w typowych dla Van Gogha kontrastowych barwach, a także portret, którego subtelność rysunku przywodziła na myśl Rafaela.

To właśnie ów portret w szczególności intrygował Adama. Z płótna spoglądała ku niemu delikatna ciemnowłosa kobieta, roztaczająca wokół siebie aurę spokoju oraz cierpliwości. Jej oczy miały tę samą szarą barwę, co oczy Kirby, ale jej rysy twarzy były łagodniejsze i bardziej regularne. Matka Kirby niewątpliwie była wyjątkowo piękna, a przy tym sprawiała wrażenie osoby jednocześnie silnej i wyrozumiałej, zatem mimo że sama zapewne nie szorowałaby paleniska w kominku, nie zabraniałaby tego córce, gdyby tylko wyraziła ona taką chęć. Fakt, że Adam był w stanie wyczytać to wszystko z portretu, nie spotkawszy nigdy Rachel Fairchild, świadczył o geniuszu Philipa.

Następny obraz, tym razem utrzymany w stylu Thomasa Gainsborough, przedstawiał

ciemnowłosą dziewczynkę, ubraną w białą muslinową sukienkę o suto marszczony spódnicy. Na nogach miała nieskazitelnie białe podkolanówki oraz czarne pantofelki, zapinane na wąski pasek. Utrzymany w jasnych barwach portret ożywiały dwie kolorowe plamy - szeroka czerwona owa szarfa wokół talii dziewczynki oraz purpurowe róże, które trzymała w koszyku. Mimo sielankowego nastroju obrazu, dziewczynka nie sprawiała wrażenia małego aniołka, wręcz przeciwnie - uniesiona wysoko głowa świadczyła o pewności siebie i arogancji, zaś goszczący na jej ustach lekki półuśmiech zdradzał krnąbrne usposobienie.

Adam ocenił, że miała nie więcej jak jedenaście lat. Nawet w tym wieku Kirby musiała być trudna do opanowania.

- Urocza dziewczynka, prawda? - dobiegł go znajomy głos.

Nie wiedział, że Kirby już od pięciu minut stała w progu, obserwując go i analizując jego zachowanie, podobnie jak on analizował jej portret. W ciągu tych paru minut doszła do wniosku, że ukończyła dobrą szkołę z internatem, ponieważ stał wyprostowany jak struna.

Wyczuła w nim niejednoznaczność, gdy mimo nienagannej postawy pozwalał sobie na trzymanie rąk w kieszeniach. Mimo e był ubrany w d insy i sweter, w jego wyglądzie było coś oficjalnego. Tym bardziej ją intrygował, ponieważ zarówno jako kobieta, jak i artystka lubiła kontrasty.

Odwróciwszy się, Adam przyjrzał się jej uwa nie, tak jak przypatrywał się jej portretowi. Poprzedniego dnia przeszła metamorfozę od wybrudzonej sadzą prostej dziewczyny do wyrafinowanej kobiety z wy szych sfer. Dziś z kolei była uosobieniem niezale nej artystki - bosa, nieumalowana, z włosami nisko zebranymi w dwa kucyki, ubrana w obszerny czarny sweter oraz znoszone, pochlapane farbą d insy. Mimo to, ku ogromnej irytacji Adama, wciąż wydawała mu się szalenie pociągająca.

Nie wiadomo, czy to bezwiednie, czy specjalnie Kirby odwróciła głowę, tak e promienie słoneczne zalały jej twarz, a jej widok zaparł Adamowi dech w piersiach.

Westchnęła, przypatrując się swemu portretowi.

- Prawdziwy aniołek - westchnęła.

- Wydaje mi się, e jej ojciec miał nieco inne zdanie.

Roześmiała się dźwięcznie.

- To prawda, ale nie ka dy to zauwa a. - Była zadowolona, i właśnie on to spostrzegł, ponieważ ceniła spostrzegawczych, inteligentnych ludzi. - Jadłeś ju śniadanie?

Gdy odwróciła się ponownie, tak e promienie ju nie rozświetlały jej twarzy, Adam odetchnął z ulgą. W jedne chwili stała się po prostu atrakcyjną, sympatyczną młodą kobietą.

- Jeszcze nie, byłem zajęty podziwianiem.

- Och, to fatalnie, nie powinno się podziwiać na pusty ołodek, to straszliwie niezdrowe. -

Przycisnąwszy jakiś guzik, ujęła go pod ramię i poprowadziła do stołu. - A po śniadaniu oprowadzę cię po domu.

- Świetnie - ucieszył się.

Do jadalni weszła szczupła, siwiejąca kobieta o dziwnie skrzywionym nosie oraz wystających kościach policzkowych. Głębokie pionowe zmarszczki na czole sugerowały raczej pesymistyczne usposobienie. Odwracając się w jej kierunku, Kirby uśmiechnęła się mile.

- Dzień dobry, Tulip. Obawiam się, e będziesz musiała posłać papie tacę ze śniadaniem na górę, bo wątpię, eby wychynął dziś ze swojej wie y. - Zdjęła metalowe kółko ze lnianej serwetki. - Poproszę o tosta i kawę. Tylko błagam, nie rób mi wykładu, bo przecie doskonale wiem, e ju dawno przestałam rosnać.

Mruknąwszy coś pod nosem, Tulip przeniosła spojrzenie na Adama, który zamówił

jajecznice na bekonie. Tulip ponownie coś wymamrotała, po czym wyszła.

- Mo e nie jest to najbardziej towarzyska osoba na świecie, ale ma prawdziwy talent organizacyjny - wyjaśniła Kirby, gdy zostali sami. - Od piętnastu lat prowadzimy wojnę o jedzenie. Odkąd pamiętam Tulip utrzymuje, e urosnę, jeśli będę jadła, podczas gdy od kilku lat nie urosłam ani centymetra i marne są szanse, eby się to zmieniło Zastanawiam się, czemu dorośli wmawiają dzieciom takie głupoty.

Energiczna młoda pokojówka, która poprzedniego wieczoru podawała do kolacji, przyniosła dzbanek z kawą oraz fili anki, uśmiechając się przy tym promiennie do Adama.

- Dziękujemy, Polly. - W głosie Kirby słychać było ostrze enie. Uwagi Adama nie uszło jej karcące spojrzenie oraz rumieniec, który wypłynął na twarz słu ącej.

Polly bez słowa, nie oglądając się za siebie, wyszła pospiesznie z salonu, zaś Kirby osobiście nałła kawy.

- Nasz Polly jest bardzo słodka, ale ma w zwyczaju zbyt się spoufalać z ka dym niemal mę czyzną - wyjaśniła Kirby, odstawiając dzbanek z powrotem na stół. - Jeśli nie przepadasz za dziewczynami, które lubią być podszczypywane i poklepywane, to radę ci jej zbyt nie zachęcać. Swego czasu musiałam jej zwrócić uwagę, eby nie zadreślała papy.

Natychmiast przed oczami Adama stanęła wizja Polly, napastującej przypominającego nieco satyra Philipa Fairchilda. Obraz ten był tak wyraźny i tak zabawny, e nie mógł

opanować wybuchu śmiechu Kirby przypatrywała mu się z zaciekawieniem. Doszła do wniosku, i mę czyzna, który potrafi tak serdecznie się śmiać ma prawdziwy potencjał, zastanawiała się więc, jakie niespodzianki ją jeszcze czekają. Miała nadzieję, e w ciągu najbliż szych paru tygodni zdą y odkryć parę fascynujących szczegółów jego osobowości.

- Daję słowo, e oprę się pokusie - zapewnił, sięgając po dzbanuszek z mlekiem.

- Polly jest fantastycznie zbudowana - zauwa yła Kirby, przypatrując się mu znad krawędzi fili anki.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się prowokacyjnie. - Nie zauwa yłem.

- Nie doceniłam cię, Adamie - przyznała, starając się opanować to idiotyczne dr enie głosu, jakie wywołał jego uśmiech. - Nie jesteś taki, na jakiego wyglądasz.

- A czy znasz kogoś, kto jest dokładnie taki, jakim się zdaje na pierwszy rzut oka? -

zapytał, starając się nie myśleć o nadajniku, który znajdował się w jego walizce.

- Tak, znam całe mnóstwo takich ludzi. Czasem jest to pozytywna cecha, a czasem wręcz przeciwnie.

- A ty? Czy ty jesteś taka, jak się wydajesz? - pytał nie w imieniu McIntyre'a, nie z powodu zadania, z jakim tu przyjechał, ale ze względu na siebie samego, po prostu chciał to wiedzieć.

Przez chwilę milczała, a na jej ustach błędził lekki uśmiech.

- Jestem taka, na jaką wyglądam... danego dnia - podsumowała samą siebie. - A oto i nasze śniadanie.

Podczas posiłku rozmawiali o wszystkim i o niczym, jak dwójka dobrze wychowanych obcych sobie ludzi, którzy potrafią prowadzić uprzejmą konwersację, z której tak naprawdę nic wiążącego nie wynika. W tym samym czasie Kirby walczyła z dręciem serca, wywołanym bliskością Adama. Była tym niesłychanie poirytowana, bo wcale nie chciała tak na niego reagować, nie lubiła sytuacji, w których nie miała nad sobą pełnej kontroli.

Przypatrywała się mu przy jedzeniu, zastanawiając się jednocześnie, jakim był

człowiekiem, doszła ju bowiem do wniosku, że nie był tak ułomny i poprawny, na jakiego wyglądał. Z pewnością nie bał się wyzwania, ponieważ sama wizyta u nich była nieco ryzykowną przygodą. A z jakim ją całował, dowodził, że był fascynującym, namiętnym kochankiem. Kirby obawiała się, że nie będzie jej łatwo kierować nim tak, jak by sobie tego życzyła, a przecie w obecnej sytuacji zmuszona była znaleźć sposób, aby go sobie podporządkować. Dopijając kawę, pomodliła się szybko w duchu, by ojciec jak najprędzej ukrył Van Gogha.

- Pozwolisz, że wycieczkę rozpoczniemy od parteru - odezwała się pogodnym tonem, podnosząc się zza stołu. - Lochy wprawdzie są interesująco mroczne i wilgotne, ale wydaje mi się, że powinniśmy przełożyć wizytę w nich na inny termin, w trosce o twój piękny kaszmirowy sweter.

- Lochy? - powtórzył, przyjmując jej ramię.

- Wprawdzie ju z nich nie korzystamy, ale wciąż słychać jęki i pogrzechywanie łańcuchami - wyjaśniła tak zwyczajnym tonem, że na chwilę udało jej się nabrać Adama. -

Lord Wickerton, pierwszy właściciel zamku, był dość antypatycznym typem.

- Czy byś popierała jego metody? - zainteresował się.

- Czy je popieram? - powtórzyła w zamyśleniu. - W praktyce raczej nie, ale nietrudno jest fascynować się wydarzeniami sprzed niemal stu lat. Zgodzisz się chyba, że po pewnym czasie nawet zło zdaje się być szalenie romantyczne.

- Nigdy na to nie patrzyłem w ten sposób...

- Być może dlatego, że potrafisz bez wahania odróżnić zło od dobra - zawyrokowała.

Adam zatrzymał się w pół kroku, a ona szli pod rękę, Kirby tak ona musiała przystanąć.

- A ty tego nie odróżniasz?

Otworzyła usta, ale od razu je zamknęła, by nie palnąć nic głupiego.

- Powiedzmy, e jestem skłonna do ustępstw - określiła samą siebie dyplomatycznie. -

Ten pokój powinien ci się spodobać - zapowiedziała, otwierając drzwi. - Jest taki solidny i powa ny.

Postanowiwszy nie reagować na tę ewidentną zaczepkę, Adam bez słowa podą ył

śladem Kirby. Przez kolejną godzinę przemierzali rozliczne pomieszczenia, tak e w końcu przekonał się, e na pierwszy rzut oka nie docenił rozmiaru zamku, było w nim tak wiele pokoi ró nego metra u, a tak e krętych, na przemian szerokich i wąskich korytarzy. Doszedł

do wniosku, e jeśli będzie miał szczęście, uda mu się wykonać zadanie w ciągu paru tygodni, ale jeśli szczęście mu nie dopisze, mo e tu utknać nawet na parę miesięcy.

Popchnąwszy dwoje cię kich rzeźbionych drzwi, Kirby wprowadziła go do biblioteki, która mieściła się na dwóch poziomach, zaś rozmiarem zbli ona była do przeciętnego trzypokojowego mieszkania. Na podłodze rozrzucone były przyblakłe perskie dywany, zaś du e okno na przeciwległej do wejścia ścianie jak wszystkie pozostałe podzielone były na liczne romby. Wzdłu trzech pozostałych ścian stały wysokie a do samego sufitu regały pełne ksią ek. Ju pierwszy rzut oka na ich grzbiety wystarczył, aby przekonać się, e były one ustawione na chybił trafił, gdy Chaucer sąsadował z D.H. Lawrencem, a Steven King z Miltonem. W pomieszczeniu unosiła się woń skóry, kurzu oraz olejku cytrynowego. Była to zapewne jedna z niewielu części domu, gdzie nie było miejsca na obrazy, znajdowało się tam natomiast du o rzeźb.

Adam przemierzył bibliotekę, chcąc lepiej przyjrzeć się figurze rumaka, wyrzeźbionego w kasztanowcu. Uwieczniony w dynamicznej pozie koń zadawał się pulsować yciem, symbolizował ruch, wolność i niezale ność. Nieopodal na wysokim okrągłym pos-tumencie stało popiersie Philipa Fairchilda, przedstawionego z poczuciem humoru, a jednocześnie miłością oraz czułością, na jaką stać jedynie kochającą córkę.

W milczeniu przechadzał się po pomieszczeniu, zaś Kirby wodziła za nim spojrzeniem, powa nie zaniepokojona swoją reakcją na zainteresowanie, jakie wykazywał jej sztuką. Nie nale ała do osób, które denerwowały się z byle powodu, a ju na pewno nie lubiła się do tego przyznawać. Starła się uspokoić, przekonując samą siebie w duchu, e przecie to nie pierwszy raz, gdy jej rzeźby poddawane są ocenie. Splótlszy palce, obserwowała go w milczeniu, wmawiając sobie jednocześnie, i jej opinia nie miała dla niej najmniejszego znaczenia.

Tymczasem Adam podniósł bryłę marmuru, ukształtowany tak, e przedstawiał masę wijących się płomieni. Choć kamień miał białą barwę, przypominał ogień do tego stopnia, e zdawał się parzyć dłonie. Tak jak jej ojciec, Kirby miała niesamowity talent do przedstawiania martwych przedmiotów tak, jak gdyby tętniły yciem.

Przez dłu szy moment Adam zdawał się nie pamiętać, w jakim celu tu przybył, jego myśli skupione były na stojącej przed nim świetnej artystce i pięknej kobiecie w jednej osobie.

- Gdzie studiowałaś?

Kpiąca uwaga, którą właśnie miała w tym momencie wypowiedzieć, zupełnie wyleciała jej z głowy, gdy Adam posłał jej pełne zachwyty spojrzenie.

- W Akademii Sztuk Pięknych w Paryżu - wyjaśniła. - Ale odkąd pamiętam, papa uczył mnie sztuki.

Obrócił w dłoniach marmurowe płomienie, pełny podziwu dla jej sztuki. Jako artysta miał wyobraźnię wrażliwszą niż zwykły śmiertelnik, dlatego oprócz ciepła ognia czuł także jego zapach.

- A od jak dawna rzeźbisz? - dopytywał się.

- Tak naprawdę nie to od czterech lat.

- To dlaczego, do licha, miałaś tylko jedną wystawę?! - wybuchnął niespodziewanie. -

Czemu kisisz tu to wszystko?

Nie spodziewała się takiej reakcji. Domyślała się wprawdzie, że pod tą powłóczką dobrych manier kryje się człowiek z krwi i kości, ale nie podejrzewała, że okaże emocje podczas oglądania jej dorobku.

- Planuję kolejną wystawę wiosną - oznajmiła spokojnie. - Organizuje ją Charles Garson. Wzruszyła ramionami. - Właściwie nie chciałam następnej wystawy, nie czułam się na nią gotowa, ale zostałam w pewnym sensie zmuszona.

- To absurd - prychnął, unosząc marmurową rzeźbę, jak gdyby chciał jej coś zademonstrować. - Kompletny absurd.

- Nie czułam się gotowa - powtórzyła, wodząc palcem po krawędzi nosa popiersia Philipa Fairchilda.

- Chciałam mieć pewność, że mam swoją drogę, że nie odcinam tylko kuponów od sławy papieża. Byli ludzie, którzy właśnie tak uważali. Dlatego musiałam sama dojść do wniosku, że tworzę dla siebie, a nie z rozpędu, jako córka swego ojca.

Gdyby nie miał okazji podziwiać jej dzieł, nie podejrzewałby jej o taką wrażliwość, natomiast przyjrząwszy się jej rzeźbom, był przekonany, że nie udawała przed nim skromności, nie grała.

- A teraz już wiesz - domyślił się.

- Tak, teraz już wiem - odparła, podchodząc ku niemu. - Jeszcze nigdy nikomu o tym nie mówiłam.

- Wyjęła mu z dłoni marmur. - Nawet papież. - Spojrzała na niego z autentycznym zdumieniem. - Nie mam pojęcia, czemu powiedziałam o tym właśnie tobie.

- Ciekaw jestem, czemu się cieszę, że to właśnie ja. - Nie mogąc się powstrzymać, odgarnął kosmyk włosów z jej twarzy.

Cofnęła się, zaskoczona swą gwałtowną reakcją na jego dotyk.

- W takim razie będziemy musieli się nad tym zastanowić - stwierdziła lekkim tonem.

- Na tym kończy się pierwsza część naszej wycieczki. - Odstawiła rzeźbę na stół. - Wszelkie komentarze i pytania są mile widziane.

- Twój dom jest... obezwładniający - dokończył, nie znalazłszy bardziej trafnej określenia. - Czuję się rozczarowany, e nie ma tu fosy ani smoka.

- Zapewniam cię, e jeśli zostawisz choć trochę warzyw na talerzu, Tulip przemieni się w najprawdziwszego smoka i połknie cię za karę. Jeśli natomiast chodzi o fosę... -

przerwała nagle, przypomniawszy sobie coś niesłychanie ważnego. - A niech to, jak mogłam zapomnieć!

Nie czekając na jego reakcję, złapała go za rękę i pociągnęła z powrotem do salonu.

- Nie ma fosy - oznajmiła, podchodząc do kominka. - Ale jest cała masa sekretnych przejść.

- Mogłem się domyślić...

- Minęło ju wprawdzie kilkanaście lat odkąd... - urwała. Mruczając coś pod nosem, przyciskała po kolei różne rzeźbione ornamenty na gzymsie kominka. - Jestem pewna, e to w którymś z tych kwiatów ukryty jest przycisk. Trzeba tylko odpowiednio nacisnąć. -

Zniecierpliwionym gestem odrzuciła warkoczyk na plecy. - To na pewno gdzieś tutaj, ale nie mogę... Ot i proszę! - Z zadowolonym uśmiechem cofnęła się o krok, podczas gdy część ściany odsuwała się z głośnym skrzypieniem. - Zdecydowanie trzeba naoliwić zawiasy.

- Niesamowite! - Adam nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu. - Czy to przejście prowadzi do lochów?

- Korytarze wiją się w całym domu - poinformowała, zaglądając ostro nie w czarną dziurę.

- Niemal w każdym pokoju znajduje się wejście do labiryntu. Oczywiście od drugiej strony te jest przycisk do otwierania i zamykania wejścia. - Cofnęła się ponownie, drżąc z obrzydzenia. - W korytarzach jest ciemno i unosi się zapach pleśni. Być może e właśnie dlatego w ogóle zapomniałam o ich istnieniu. Ciekawe, e jako dziecko bardzo lubiłam się tam bawić, doprowadzając tym do szaleństwa całą słu bę.

- Ju to sobie wyobra am. - Adam uśmiechnął się, ale szybko spowa niał, wiedząc autentyczny przestach w jej oczach.

- W końcu się to na mnie zemściło. Pewnego dnia zgasła mi latarka i nie mogłam znaleźć w tej ciemności wyjścia. Warto wiedzieć, e mieszkają tam pająki wielkie jak spodki.

- Roześmiała się, cofając się jednocześnie o jeszcze jeden krok. - Nie mam pojęcia, jak długo tam przebywałam, ale kiedy papa wreszcie mnie odnalazł, byłam na skraju hysterii. Po tym musiałam opracować sobie nowy sposób gnębienia słu by.

- Ale nadal się boisz, prawda? - zauważył, spoglądając jej prosto w oczy.

- Tak, rzeczywiście, boję się - przyznała uczciwie, choć nie zwykła ujawniać swych słabości. - Dobrze, skoro ju znasz jedną z moich fobii, mo emy iść dalej.

Gdy ponownie przycisnęła guzik, ruchomy kawałek ściany z nieznacznym zgrzytem wrócił na swoje miejsce. Adam miał wra enie, e dobiegło go westchnienie ulgi Kirby. Ujął

jej dłoń, która okazała się być lodowata, przykrył ją więc drugą ręką, aby przekazać choć trochę swojego ciepła. Jednocześnie intensywnie rozważał, do czego mogłoby mu się przydać to nowe odkrycie. Doszedł do wniosku, e dzięki sekretnym korytarzom będzie mógł zbadać ka de pomieszczenie, nie ryzykując przy tym natknięcia się na któregokolwiek z domowników. Byłby głupcem, gdyby nie skorzystał z tak wyśmienitej okazji, postanowił

więc, e jeszcze tego wieczoru rozpocznie poszukiwania.

- Przesyłka do pani, panno Fairchild - rozległ się głos kamerdynera.

Kirby przyjrzała się podłuce nemu białemu pudełku, które trzymał Cards.

- O, nie, tylko nie to... - jęknęła Kirby.

- Niestety, obawiam się, e tak.

- A niech to! - mruknęła, krzywiąc się z niezadowoleniem. - Będę musiała być bardziej stanowcza. Wiem, e to trochę nieładnie, ale czy mógłbyś zanieść je Polly? Nie wiem, czy dam radę spojrzeć na kolejne czerwone ró e.

- Jak sobie pani yczy. - Cards wyprostował się jak struna. - A co zrobić z bilecikiem?

- Połó go proszę na moim biurku, zajmę się nim później. Przepraszam cię, Adamie. -

Ruszyła po schodach w górę. - Od trzech tygodni dzień w dzień dostaję czerwone ró e.

Mówiłam Jaredowi nie raz, e nie zostanę jego kochanką, ale on jest wyjątkowo uparty. Zdaje się, e będę musiała powiedzieć o wszystkim jego onie.

- To faktycznie niezły pomysł - zgodził się Adam.

- Doprawdy, czy mę czyzna po sześćdziesiątce nie powinien mieć więcej rozumu? -

Przewróciwszy oczami, przyspieszyła kroku. - Nie mam pojęcia, co on sobie w ogóle myśli.

Choć była ubrana w luźne spodnie i sweter, idąc tu za nią Adam był w stanie dokładnie sobie wyobrazić, o czym myślał ów Jared, obsypując ją czerwonymi różami...

Na pierwszym piętrze znajdowały się same sypialnie, każda urządzone inaczej, wszystkie bez wyjątku z klasą i fantazją jednocześnie. Obejrawszy sporą część domu, Adam był jeszcze bardziej oczarowany jego charakterem, jednocześnie uświadamiając sobie, jak skomplikowane będzie jego zadanie.

- Ostatni pokój na tym piętrze to mój buduar - oznajmiła Kirby, otwierając przed nim kolejne drzwi. - Obiecuję, że nie będę cię molestować, pod warunkiem, że nie będziesz mi miał za złe, jeśli w przypływie słabości złamię tę obietnicę. - Roześmiała się pogodnie. - A niech mnie kule biją!

- Co takiego? - zdumiał się.

- Widziałeś?! - Ręką wskazała na łóżko, gdzie na samym środku pięknej satynowej narzuty leżał szarobury pies.

Zmarszczywszy brwi, Adam podszedł nieco bliżej.

- Co to takiego?

- Oczywiście pies - wyjaśniła.

- Rzeczywiście, to bardzo mądre - zdecydował, przypatrując się futrzanej kuli, która zdawała się nie mieć przodu ani tyłu.

Cienki ogon zaczął miarowo uderzać w materac.

- To wcale nie jest śmieszne, Montique - skarciła psa Kirby. - Później to ja obrywam, a nie ty.

Zwierzę poruszyło się, ukazując mały czarny nos oraz różowy język. Oczy wciąż były ukryte pod gęstą grzywą.

- Przyznam szczerze, że wyobraziłem sobie siebie raczej z gromadą chartów afgańskich, a nie z czymś takim - wtrącił się Adam.

- Co takiego? Ach, rozumiem. - Uśmiechnęła się, klepiąc psa przyjaźnie po grzbiecie.

- To nie mój pies, należy do Isabelle. - Posłała zwierzęciu karcące spojrzenie. - Zobaczysz, będzie bardzo niezadowolona.

Słyszając nieznaną imię, Adam zmarszczył brwi. Czy by McIntyre kogoś pominął?

- Isabelle? - powtórzył głośno. - Czy to ktoś ze słuch?

- Och, nie! - Kirby roześmiała się serdecznie. - Skądże znowu! Isabelle nigdy nie zniżyłaby się do tego, aby komuś słuchać. A oto i ona. Teraz się dopiero zacznie.

Adam odwrócił się w kierunku drzwi, Ju miał otworzyć usta, by powiedzieć, e nikogo w nich nie ma, gdy jakiś ruch przyciągnął jego uwagę. Opuściwszy nieco wzrok, spostrzegł kotkę syjamską, w której skośnych jasnoniebieskich oczach wyraźnie mo na było wyczytać pełną wyniosłości złość. Kotka usiadła przed Kirby, po czym utkwiała w niej oskar ycielskie spojrzenie.

- Nie patrz tak na mnie, nie mam z tym nic wspólnego - broniła się Kirby. - Wiesz dobrze, e wszedł tu bez mojego zaproszenia. - Isabelle potrząsnęła ogonem i wydała z siebie niskie, głębokie warczenie.
- Nie zamierzam tolerować twoich pogró ek ani zamykać drzwi do swojego pokoju. Nie będę zmieniała starych przyzwyczajień tylko dla twojego widzimisie.

Musisz go po prostu lepiej pilnować.

Adam w milczeniu przypatrywał się tej dziwacznej scenie. W oczach Kirby gościła autentyczna złość, jak gdyby ta wymiana zdań toczyła się między ludźmi, a nie człowiekiem i zwierzęciem. Położył dłoń na jej ramieniu, czekając, a spojrzy na niego.

- Kirby, kłócisz się z kotem - zauwa ył łagodnym tonem.

- Nie martw się. - Poklepała jego dłoń. - Dam sobie radę. - Ponownie przeniosła spojrzenie na kotkę.
- W takim razie zabierz go sobie i uwią na smyczy, jeśli nie chcesz, eby sobie chodził. A kiedy następnym razem będziesz wchodzić do mojego pokoju, bądź

łaskawa zapukać.

Ponownie potrząsnąwszy ogonem, Isabelle podeszła do łó ka i utkwiała spojrzenie w psie, który zaraz zeskoczył niezgrabnie na podłogę i powędrował razem z kotką w kierunku wyjścia.

- Poszedł z nią - zauwa ył Adam, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

- Nic dziwnego, Isabelle ma wyjątkowo trudny charakter.

Adam postanowił, e dłu ej nie pozwoli robić z siebie głupca.

- Czy chcesz mi wmówić, e ten pies nale y do kota?

- Isabelle twierdzi, e Montique sam za nią przyszedł do domu, ale ja uwa am, e go porwała. To byłoby w jej stylu.

Znowu jakaś gra, pomyślał z irytacją. Dobrze, skoro tak chciała to rozegrać, postanowił się włączyć.

- A do kogo nale y Isabelle?

- Do kogo nale y Isabelle? - Kirby powtórzyła pełnym niedowierzania głosem. -

Isabelle nale y tylko do siebie samej. Zresztą kto by chciał zostać właścicielem tak samowolnego i przebiegłego stworzenia?

- Jeśli tak jej nie lubisz, to czemu się jej nie pozbędziesz? - zapytał Adam, udając, e się niczemu nie dziwi.

- Póki płaci czynsz, nie mam podstaw, by ją wyrzucić - odparła rzeczowo, kierując się w stronę drzwi. - Teraz pójdziemy do pracowni papy. Pozwolisz, e pominiemy drugie piętro? Nie ma tam nic godnego uwagi, wszystkie sprzęty nakryte są płótnem, eby nie osiadał na nich kurz.

Adam otworzył usta, ale szybko zamknął je ponownie, uznał bowiem, e na pewne tematy lepiej nie dyskutować. Starając się wymazać z pamięci wspomnienie dziwnego kota oraz pokracznego psa, podą ył śladem Kirby. Zatrzymali się na moment na podeście, prowadzącym w głąb drugiego piętra.

- Układ pomieszczeń jest taki sam, jak na pierwszym piętrze - wyjaśniła. - Na końcu korytarza znajduje się jeszcze jedna klatka schodowa, która prowadzi do mojej pracowni.

Pozostałe pomieszczenia nie są u ywane. Oczywiście całe piętro jest nawiedzone. -

Uśmiechnęła się, wyciągając ku niemu rękę.

- Oczywiście - odparł, zupełnie tym nie poruszony.

ROZDZIAŁ TRZECI

Wszędzie le ały tubki i pojemniczki z farbą, na stole stało kilkanaście słoików z przeró nymi pędzlami. W powietrzu unosił się zapach oleju i terpentyny. Adam poczuł się jak u siebie w domu.

Pracownia Philipa Fairchilda mieściła się w okrągłym pomieszczeniu, oświetlonym ze wszystkich stron przez promienie słoneczne, wpadające przez łukowato zakończone okna.

Podłoga w czasach swojej świetności musiała być wyjątkowo piękna, teraz jednak pokrywały ją plamy z farby, rozpuszczalnika i innych substancji. Na podłodze stały, oparte o ściany, dziesiątki płócien, niektóre tylko zagruntowane, a niektóre gotowe, czekające na oprawienie.

Kirby obrzuciła pomieszczenie szybkim spojrzeniem. Przekonawszy się, e wszystko jest w nale ytm porządku, uspokoiła się nieco. Podeszła do ojca, który nieruchomo wpatrywał się w le ącą przed nim na stole bryłę gliny. Pochyliwszy się, równie jęła się przypatrywać glinie, oglądając ją ze wszystkich stron. Po kilkudziesięciu sekundach wyprostowała się i potarłszy nos wierzchem dłoni, wydeła usta.

- Hmm... - mruknęła wieloznacznie.

- To tylko twoja opinia - odparował Philip Fairchild.

- Ale oczywiście - zgodziła się, przygryzając kciuk. - Masz prawo usłyszeć niezale ną ocenę. Pozwól tu, Adamie, rzuć na to okiem.

Posławszy jej mordercze spojrzenie, chcąc nie chcąc Adam podszedł do stołu, by przyjrzeć się bli ej przedmiotowi sporu. Był to częściowo ukształtowany jastrząb o obna onych szponach oraz rozchylonym nieco dziobie. Niby nie było się do czego przyczepić, rzeźba wykonana była poprawnie,

ale brakło w niej tej pasji i ekspresji, którą cechowały się zarówno obrazy Fairchilda, jak i rzeźby jego córki. Rozdarty pomiędzy dobrymi manierami a wrodzonym zamiłowaniem do szczerości, Adam bezskutecznie szukał

wyjścia z tej krępującej sytuacji.

- Hmm... - zaczął, a Kirby a klasnęła z radości.

- Widzisz, Adam potwierdza moją opinię. - Z zadowoloną miną poklepała ojca po czubku głowy.

- A co on tam wie! - obruszył się Fairchild. - Przecie jest malarzem, a nie rzeźbiarzem.

- Właśnie! To tak jak ty, drogi papo, tak jak ty. Jesteś świetnym malarzem - odparła z naciskiem na ostatni wyraz.

Jej ojciec zmarszczył groźnie brwi, wyraźnie nie chcąc dać po sobie znać, jak wielką przyjemność sprawiła mu ta ocena.

- Ju wkrótce się przekonasz, ty okropny niedowiarku, e jestem tak e świetnym rzeźbiarzem - zapowiedział, dłubiąc palcem w glinie.

- Przypomnij mi, ebym ci kupiła w prezencie urodzinowym paczkę plasteliny. A teraz pójdziemy z Adamem do mojej pracowni, eby mógł się w niej rozgościć.

- Świetnie, świetnie. - Ojciec pogłaskał ją po dłoni. - Piekielnie ładna dziewczyna z tej mojej córki, prawda? - zwrócił się do Adama.

- Owszem, bardzo ładna - zgodził się tamten. Kirby westchnęła głęboko, przewracając jednocześnie oczami.

- Widzisz, moje złotko? - Ojciec posłał jej szeroki uśmiech. - Teraz chyba jesteś mi wdzięczna za to, e tyle lat zmuszałem cię do noszenia aparatu na zębach?

- Papo! - Córka pogroziła mu palcem. - Przecie ja nigdy nie nosiłam aparatu!

- Oczywiście, przecie masz zęby po mnie. - Fairchild mrugnął porozumiewawczo do Adama. - Zajrzyj tu do mnie, gdy się ju rozpakujesz. Desperacko potrzebuję męskiego towarzystwa. - Delikatnie uszczypnęła córkę w policzek. - Tylko nie myśl sobie, moja panno, e Adam będzie czcił ślady twoich stóp, tak jak Rick Potts.

- Adam w niczym nie przypomina Ricka - oceniła. - Rick jest bardzo słodkim chłopakiem.

- Ten maniery odziedziczyła po mleczarzu, nie po mnie - zapewnił jej ojciec.

- Ale nie wątpię, e Adam tak e bywa słodki.

- Uśmiechnęła się prowokująco. - Rick specjalizuje się w akwarelach. Nale y do tych mę czyn,

którzy wyzwalają w kobietach uczucia macierzyńskie.

- I jest po uszy zakochany w naszej Kirby - dorzucił jej ojciec, z radości zacierając ręce.

- Tak mu się tylko wydaje - sprostowała. - W każdym razie ja nigdy nie dałam mu ku temu najmniejszego powodu.

- Nie? A może wyjaśnisz nam, dlaczego Rick w przyszłym tygodniu przyjeżdża do nas na parę dni?

- Nie mam pojęcia. - Wzruszyła ramionami. - Ale wiem, co zrobię. Powiem mu, że Adam i ja jesteśmy kochankami, a w dodatku Adam jest o mnie wściekle zazdrosny, więc na wszelki wypadek nosi w lewej skarpetce sztylet. - To powiedziawszy, odwróciła się na pięcie i wyszła z pracowni.

- Dobry Boże! - westchnął Adam, ruszając za nią.

- Na pewno to zrobi.

- Ale oczywiście! - zgodził się radośnie Philip.

- Masz to jak w banku.

Druga pracownia znajdowała się w identycznym pomieszczeniu, lecz różniła się znacząco zawartością, bo oprócz pędzli, płócien i farb znajdowały się w niej również dłuta oraz młotki. Na półkach, stole i blatach leżały bryły piaskowca i marmuru, a także kawałki drewna. Jedynym uporządkowanym elementem pomieszczenia były sprzęty Adama, które Cards przyniósł tu i ułożył osobiście. Pełen sprzeczności charakter Kirby także i tutaj znalazł

swoje odzwierciedlenie - obok najnowszego sprzętu grającego wysokiej klasy stał stary jak świat grzejnik gazowy, zdobny w misterne okucia. Adam przyzwyczajony był do tego typu artystycznego nieporządku, toteż pracownia całkowicie przypadła mu do gustu.

- Jak widzisz, jest tu całe mnóstwo miejsca - odezwała się Kirby. - Ustaw się, gdzie ci pasuje, nie sądzę, abyśmy sobie za bardzo wchodzili w drogę.

W głębi duszy wątpiła, czy rzeczywiście nie będą sobie przeszkadzać, ale wolała się poświęcić przez tych kilka tygodni nie pozwolić, by malował w pracowni ojca, gdzie mógłby się natknąć na Van Gogha.

- Czy jesteś porywczy? - zapytała ni z tego, ni z owego.

- Nie, nie uważam się za porywczego - odparł, rozpakowując swoje sprzęty. - Chociaż pewnie są tacy, którzy by się z tym nie zgodzili. A ty?

- Och, tak - przyznała z uśmiechem. - Jestem strasznie zmienna, w jednej chwili się złościę, a w następnej popadam w melancholię. Mam nadzieję, że nie będzie ci to za bardzo przeszkadzać.

- Sięgnęła po spory kawałek drewna i zaczęła powoli obracać go w dłoniach. -

Ostatnio zajęłam się rzeźbieniem swoich uczuć, więc siłą rzeczy muszę się im poddawać, eby móc je później przedstawić.

Zaciekawiony jej słowami Adam przerwał rozpakowywanie i podszedł do półki, na której stało dziesięć nie dokończonych rzeźb.

- Uczucia - powtórzył, wodząc palcem po jednej z nich.

- Tak. To jest...

- Ból - wpadł jej w słowo. - Widzę.

- To radość, a to zwątpienie - ciągnęła, zaskoczona, e reprezentował podobny typ wra liwości. - Postanowiłam pozostawić namiętność na sam koniec. A to będzie gniew. -

Uniosła surowy kawałek drewna na wysokość oczu. - Zawsze się dziwiłam, e gniew nale y do siedmiu grzechów głównych. Nie zgadzam się z tym zupełnie, przecie potrzebujemy gniewu.

Adam dostrzegł zmianę, jaka nastąpiła w jej twarzy, gdy tak wpatrywała się w drewno, które wkrótce miało stać się przekaźnikiem jej emocji i poglądów na ycie. Była zagadkowa, czaiło się w niej tyle sprzeczności, zastanawiał się, czy uda mu się dotrzeć do jej wnętrza, poznać prawdę o tym, kim jest.

- Jako e teraz pracuję nad gniewem, będziesz musiał znieść moje wybuchy -

roześmiała się. - A czy ty nad czymś pracujesz?

- Owszem, ale zmieniłem zdanie, chcę zacząć coś nowego. Chcę namalować ciebie.

Błyskawicznie przeniosła spojrzenie z kawałka drewna na jego twarz. W jej oczach wyczytał wrogość, co zaskoczyło go niepomiernie.

- Dlaczego? - zapytała krótko.

Podszedł o krok bli ej, po czym ujął jej twarz w dłoń. Nie reagowała, gdy przyglądał

się uwa nie ka demu szczegółowi, jej oczom, brwiom, policzkom, ustom. Przesunął palcem po jedwabistej skórze, wprawiając ją w lekkie dr enie.

- Dlatego, e twoja twarz wydaje mi się fascynująca. Chcę to oddać na obrazie, tak e tę przejrzystość skóry i tę twoją zmysłowość.

Zacisnęła dłonie na drewnie, gdy poczuła na wargach szorstki dotyk jego palca.

- A jeśli się nie zgodzę? - Jej głos nawet na sekundę nie zadr ał.

Ta wy szość, jaką czasem okazywała, tak e bardzo go intrygowała. Był pewien, e wielu mę czynn

padają jej do nóg, gdy obdarzała ich tym lekko pogardliwym spojrzeniem.

Pochylił się, by ją pocałować. Nie zareagowała. Chłonęła całą sobą to niezwykle doznanie, jakim ją obdarzał, ale za adne skarby świata nie chciała mu tego okazać. Zdradzały ją jedynie zbielełe kłykcie dłoni silnie zaciśniętych na kawałku drewna.

- I tak cię namaluję - wyszeptał, podnosząc twarz. Odwróciwszy się, wyszedł, aby dać jej czas na przemyślenie tego, co się zdarzyło.

Faktycznie Kirby spędziła pół godziny, siedząc w bezruchu i rozmyślając o tym, e pocałunek Adama poruszył w niej coś, czego do tej pory nigdy nie odczuła. Był wyjątkowy, co do tego nie miała wątpliwości, ale był to najgorszy moment na jakiekolwiek zauroczenie.

Powinna raczej myśleć o tym, e w świetle osobliwego hobby ojca obecność Adama jest im bardzo nie na rękę. Nie mogąc liczyć na rozwagę i ostro ność ojca, będzie musiała sama zatroszczyć się o to, by zarówno obraz Van Gogha, jak i Tycjana zniknęły stąd jak najszybciej.

Podejrzewała, e w tej chwili Adam jest w pracowni ojca, więc nie mogła się natychmiast zająć tą palącą kwestią, ale obiecała sobie, e w ciągu kilku najbliższych dni rozwiąże problem. Wtedy nie będzie musiała się niczym martwić, wręcz przeciwnie, będzie mogła bez przeszkód cieszyć się obecnością Adama.

Z uśmiechem sięgnęła po narzędzia oraz drewno. W jednej chwili zapomniała o kłopotach, o Adamie, o Van Gogh, skoncentrowała się na materiale, który zdawał się być w jej rękach. Malarstwo nie przynosiło jej takiej satysfakcji jak rzeźba. Owszem, lubiła malować, bawiła się barwami, ale czuła, e nie jest w stanie wyrazić wszystkich emocji za pomocą pędzla.

Była tak pochłonięta pracą, e nie usłyszała skrzypnięcia otwieranych drzwi. Na dźwięk swego imienia a podskoczyła ze strachu.

- Jasny gwint! - zawołała, kładąc dłoń na piersi.

- Strasznie cię przepraszam, Kirby!

- Melanie! Nie słyszałam, jak wszedłeś. - Odłożyła narzędzia. - Chodź, obiecuję, e nie będę więcej na ciebie krzyżeć.

- Mo e powinnaś. - Uśmiechnęła się Melanie, wciąż stojąc w progu. - Przeszkodziłam ci.

- Owszem, ale wybaczam ci to wspaniałomyślnie. Wejdz proszę. - Gestem wskazała fotel. - Jak było w Nowym Jorku?

Jak zwykle płowe włosy Melanii były elegancko ułożone, kości policzkowe perfekcyjnie podkreślone delikatnym różem, zaś usta bezbłędnie pociągnięte różowym błyszczakiem. Po raz tysięczny Kirby doszła do wniosku, e jej przyjaciółka Melanie Burgess jest najpiękniejszą i najdoskonalszą istotą na świecie.

- Cudownie wyglądasz, Melly - pochwaliła. - Dobrze się bawiłaś?

Melanie zmarszczyła lekko nos, trzepiąc siedzenie fotela.

- Nie miałam czasu na zabawę - odparła. - Ale bardzo się cieszę, bo moja wiosenna kolekcja została świetnie przyjęta.

Kirby podciągnęła w górę kolana i oparła na nich brodę.

- Naprawdę, nigdy chyba nie zrozumieję, jak można zdecydować, co będziemy nosić wiosną, gdy za oknem dopiero koniec lata. - Pokręciła głową z niedowierzaniem. - Przyznaj się, znowu majstrowałaś przy długości spódniczek.

- Przecie ty i tak nigdy nie zwracasz na to uwagi, jaka jest obowiązująca długość w danym sezonie - przypomniała jej przyjaciółka, spoglądając znacząco na sweter Kirby.

- Jestem zdania, że garderoba prawdziwej kobiety powinna być raczej ponadczasowa niż supermodna.

- Uśmiechnęła się Kirby. - Na przykład ten sweter ma zaledwie dwanaście lat.

- Na tyle to wygląda - odparowała Melanie.

- Wyobraź sobie, że wpadłam na Ellen Parker w klubie Twenty - one.

- Naprawdę? Nie widziałam jej od kilku miesięcy. Czy nadal mówi po francusku, kiedy chce sprawić wrażenie tajemniczej i nieodgadnionej?

- Och, nie uwierzysz, czego się dowiedziałam!

- Melanie aż zadrżała z emocji. - Sama nie wierzyłam, póki nie przekonałam się na własne oczy. Powiedział mi o tym Jerry. Pamiętasz Jerry'ego Turnera, prawda?

- To ten, który projektuje damską bieliznę.

- Nie mówi się bieliznę, Kirby, tylko garderobę intymną - poprawiła ją przyjaciółka, westchnąwszy z rezygnacją. - Naprawdę, mogłabyś się wreszcie nauczyć.

- Jak zwał, tak zwał. - Kirby machnęła ręką. - No i co takiego powiedział ci Jerry?

- Wyobraź sobie, że Ellen ma romans! - wyrzuciła z siebie Melanie.

- Te mi nowość! - rozczarowała się Kirby. - Czy to pan numer dwieście trzy, czy może kogoś pominęłam?

- Ale to nie wszystko. - Jej przyjaciółka pochyliła się z przejęciem. - Tym razem ma romans z ortodontą swojego syna!

Wesoły, serdeczny śmiech Kirby sprawił,

e Adam, wędrujący pod górę

prowadzącymi do pracowni schodami, zatrzymał się w pół kroku. Dźwięk długo odbijał się echem od kamiennych ścian korytarza.

- Ale zastanów się tylko! Z ortodontą! - Melanie nie podzielała jej rozbawienia. - To takie drobnomieszczańskie.

- Och, Melly, jesteś taką cudowną snobką! - wykrztusiła z trudem Kirby, nie mogąc przestać się śmiać. - A więc Ellen mo e mieć tyle romansów, ile jej się ywnie podoba, pod warunkiem, e wybierać będzie tylko mę czyzn z odpowiedniego środowiska?

- Nie, oczywiście nie pochwalam adnych skoków w bok, ale... - Melanie próbowała znaleźć jakiś przekonywujący argument. - Ale nawet jeśli dojdzie do zdrady, trzeba być dyskretnym i...

- I starannie wybierać kandydata na kochanka, tak? Czy nie uwa asz, e to ra ąca niesprawiedliwość? Ellen sobie romansuje z ortodontą, a Harold wydaje bająnskie sumy na korektę zgryzu syna.

Ponownie westchnąwszy z rezygnacją, Melanie spróbowała po raz kolejny zmienić temat.

- A jak się miewa Stuart?

Adam miał właśnie wejść do pracowni, ale w ostatniej chwili zatrzymał się tu za progiem. Przez niedomknięte drzwi obserwował, jak uśmiech znika z twarzy Kirby. Jej oczy z roześmianych stały się zimne, nieprzyjemne.

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia - odparła chłodnym tonem.

- Ojej! - Melanie przygryzła wargę. - Czy byście się pokłócili?

- Czy się pokłóciliśmy? - powtórzyła z nieprzyjemnym uśmiechem. - Có , mo na to i tak nazwać. Od początku wiedziałam, e nie powinnam przyjmować jego oświadczyn. Trzeba było z tym skończyć od razu, niepotrzebnie się ociągałam.

- Rzeczywiście, wspominałaś,

e masz wątpliwości. - Melanie ujęła dłonie

przyjaciółki. - Myślałam, e to nerwy. W końcu aden z twoich poprzednich związków nie doprowadził do zaręczyn.

- To nie nerwy, ale błąd w ocenie sytuacji. Na szczęście ju go naprawiłam.

- Jak znam Stuarta, pewnie wpadł w furję?

- Nie, bo sam dał mi doskonały powód zerwania. - Na usta Kirby powrócił bolesny uśmiech. - Wiesz, e naciskał na mnie, ebyśmy ustalili datę.

- A ty go cały czas zbywałaś.

- I dzięki Bogu! Kiedy wreszcie zebrałam się na odwagę, eby się wycofać, poszłam bez zapowiedzi do niego do domu. Powinam była się domyślić, e coś jest nie tak, gdy tylko otworzył drzwi, ale byłam tak skupiona na przemowie, którą sobie wcześniej przygotowałam, e dopiero po dłu szej chwili spostrzegłam kilka części... nazwijmy to intymnej garderoby, porozrzucanych po salonie.

- Och, Kirby! - wykrzyknęła jej przyjaciółka, wyraźnie poruszona opowieścią.

- Wina le y tak e po mojej stronie - przyznała Kirby, nabrawszy głęboko powietrza w płuca. - Nie chciałam pójść z nim do łó ka, w ogóle mnie nie pociągał. Brakowało... -

zawahała się w poszukiwaniu odpowiedniego określenia. - Brakowało namiętności. Chyba po tym właśnie zorientowałam się, e nie mogę za niego wyjść. Ale byłam mu wierna! -

Zacisnęła pięści. - Byłam wierna, Melly.

- Nie wiem, co ci teraz powiedzieć - przyznała Melanie, wyraźnie poruszona tym, co usłyszała. - Tak mi przykro.

- Nie byłabym taka zła, gdyby nie wmawiał mi, e mnie kocha, podczas gdy w tym samym czasie inna kobieta grzała mu łó ko. To było takie poni ające.

- To głupiec!

- Wcale nie jestem przekonana, kto z nas dwojga popisał się większą głupotą. W

końcu przestaliśmy rozmawiać o miłości i wtedy dopiero zrobiło się nieprzyjemnie. - Kirby zamilkła na moment, prze ywając na nowo nieprzyjemne zdarzenie. - Tamtego wieczoru dowiedziałam się du o ciekawych rzeczy.

- Musiałaś być zdruzgotana, gdy dowiedziałaś się, e Stuart zdradził cię jeszcze przed ślubem - domyśliła się jej przyjaciółka.

- Tak, oczywiście, z tego powodu te .

- Jak to, te ? Co jeszcze?

- Nic takiego. - Kirby pokręciła głową, chcąc otrząsnąć się ze złych wspomnień. - To było dawno i nieprawda.

- Czuję się okropnie. - Melanie zmarszczyła czoło. - Przecie to ja was ze sobą poznałam.

- Jeśli chcesz, mo esz ogolić głową na łyso na znak skruchy, ale jak dla mnie nie musisz niczego

odpokutowywać - odparła wspaniałomyślnie Kirby.

Uznawszy, że najwyższa pora dać o sobie znać, Adam wszedł do środka. Kirby podniosła na niego spojrzenie, w którym nie było nawet śladu chłodu ani złości.

- Witaj, Adamie. - Uśmiechnęła się. - Pogawędziłeś sobie z papą?

- Tak, porozmawialiśmy sobie miło.

Zerkając w stronę Melanie, doszedł do wniosku, iż z bliska jest jeszcze piękniejsza niż się spodziewał. Klasyczne rysy twarzy, nienaganna sylwetka, odziana w elegancko skrojoną bladą ową sukienkę, jednym słowem miała w sobie du o klasy.

- Nie przeszkadzam? - upewnił się.

- Ale skąd, tak sobie plotkujemy. Poznajcie się: Melanie Burgess, Adam Haines.

Adam będzie naszym gościem przez kilka najbliższych tygodni.

Adam uściśnął smukłą dłoń, zakończoną pomalowanymi na różowo paznokciami.

Była delikatna, miękka w dotyku, bez żadnych zgrubień, w przeciwieństwie do dłoni Kirby, na której widniały lekkie odciski od dłuta i młotka. Adam zastanawiał się, co to zmieniło się w jego życiu w ciągu ostatniej doby, że nieporządna, nonszalancka artystka wydawała mu się bardziej atrakcyjna niż czarująco uśmiechnięta, wypielęgnowana piękność.

- Ten Adam Haines? - zapytała z naciskiem Melanie. - Ale tak, oczywiście -

odpowiedziała sama sobie. - To miejsce przyciąga wielu znanych artystów. Mam jeden z pańskich obrazów.

- Naprawdę? A który, jeśli mogę wiedzieć?

- „Studium w błękicie„ - odparła, przechylając kokieteryjnie głowę. - Bardzo mi się podobał ze względu na swoją wyrazistą wymowę. Niemal wymknął mi się z rąk, pamiętasz, Kirby?

- Tak, pamiętam. - Kirby roześmiała się wesoło i naturalnie. - Postraszyłam ją, że jeśli nie przestanie się mazać na jego widok, sama go kupię i nigdy więcej jej nie pokażę. Papa był

strasznie zły, że tego nie zrobiłam.

- Wuj Philip i tak ma tyle obrazów, że mógłby nimi zapełnić Luwr - zauważyła z przekąsem Melanie.

- Cóż, jedni zbierają znaczki, a inni obrazy. A wiesz Adamie, że ta martwa natura w moim pokoju to dzieło Melanii? - pochwaliła Kirby. - Studiowałyśmy razem we Francji.

- Ale ja nie śmiem nazywać siebie artystką - pospieszyła z zapewnieniem jej przyjaciółka. - Bawię

się w projektowanie mody. A teraz wybaczcie, ale muszę ju iść. Ucałuj wuja Philipa ode mnie, Kirby, nie chcę mu przeszkadzać.

- Zostań na obiad, Melly - poprosiła Kirby. - Nie widzieliśmy cię od dwóch miesięcy.

- Innym razem - obiecała Melanie, podnosząc się z gracją. Adam wstał razem z nią. -

Zobaczymy się ju w ten weekend na przyjęciu. Pan te przyjdzie, prawda? - zwróciła się do Adama.

- Z chęcią.

- Świetnie - ucieszyła się Melanie. Sięgnęła do torebki po cieniutkie skórzane rękawiczki. - Nie zapomnij, Kirby, przyjęcie zaczyna się o dziewiątej wieczorem. - Ruszyła do wyjścia, ale po dwóch krokach później zatrzymała się gwałtownie. - Och! Ojej!

Zaproszenia zostały ju wysłane... Kirby, obawiam się, e Stuart te tam będzie.

- Nie bój się, nie będzie skandalu. Obiecuję, e dubeltówkę zostawię w domu -

roześmiała się Kirby. - Do zobaczenia w sobotę.

- Piękna kobieta - zauwa ył Adam, gdy zostali sami.

- Tak, wyjątkowa - przyznała Kirby bez cienia zazdrości.

- Jak to mo liwe, eby dwie tak urocze kobiety, tak od siebie odmienne stylem, były przyjaciółkami?

- Mo liwe, bo adna z nas nie próbuje na siłę zmienić tej drugiej - wyjaśniła, biorąc w dłonie nie dokończoną drewnianą rzeźbę. - Staram się nie widzieć tego, co uwa am za jej wady, a ona stara się nie dostrzegać moich. - Zauwa yła w jego dłoni szkicownik i ołówek. -

A co ty robisz?

- Wstępne szkice. A jakie masz wady?

- Zbyt liczne, by je teraz wymieniać - odparła wymijająco.

- Masz jakieś zalety? - nie dał się zbić z pantafyku.

- Znajdzie się z tuzin - podjęła wyzwanie. - Jestem lojalna, uczciwa, czasem cierpliwa...

- Tylko czasem?

- Nie chciałabym być doskonała. - Uśmiechnęła się prowokująco. - Do tego jestem świetna w łó ku.

Przyjrzał jej się uwa nie, zastanawiając się, jaką prowadzi grę.

- Nie mam co do tego adnych wątpliwości.

- Widzę, e nie dajesz się tak łatwo zbić z tropu - zauważyła. - Tym bardziej zachęca mnie to, eby dalej próbować.

- Kim jest Stuart? - zapytał prosto z mostu.

- Były narzeczony - odpowiedziała, starając się nie dać po sobie poznać, jak bardzo boli ją ten temat.

- Stuart Hiller, mo e obilo ci się o uszy to nazwisko.

- Ten sam Hiller, który prowadzi Merrick Gallery? - upewnił się, przystępując do szkicowania.

- Ten sam - przytaknęła.

Z tonu jej głosu wywnioskował, e był to dla niej nadal bolesny temat, zastanawiał się więc, czy go nie porzucić, ale poczucie obowiązku przeważało.

- Znam go tylko ze słyszenia - odparł, nie podnosząc wzroku znad szkicownika. -

Miałem w planach wizytę w galerii. To jakieś trzydzieści kilometrów stąd, prawda?

Kirby zbladła nieco, ale zdołała opanować drzenie głosu.

- Tak, to niedaleko. Niestety, obawiam się, e w obecnej sytuacji nie będę ci mogła towarzyszyć.

- Kto wie, mo e się pogodzicie w ten weekend?

- podsunął.

- Raczej wątpię. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Dotarło do mnie niedawno, e nazywałabym się Fairchild - Hiller, a to okropne zestawienie.

- Mo e jednak powinnaś to poważyć - nie ustępował. - Merrick Gallery cieszy się ogromną sławą.

- Owszem, ale galeria należy do matki Melanie.

- Jak to? - zdumiał się. - Mówiłaś, e Melanie nazywa się Burgess.

- Burgess to nazwisko jej byłego męża - uściśliła.

- A więc Melanie jest córką Harriet Merrick... Czyli pani Merrick przekazała zarządzanie galerią Hillerowi?

- W większości spraw. O czasu do czasu angażuje się w niektóre przedsięwzięcia.

Adam przyjrzał się jej oczom, nie mogąc zdecydować, jaki mają kształt. Nie były całkowicie okrągłe, ale te nie do końca migdałowe. Trudne do opisanego, jak sama Kirby.

- Bez względu na moją prywatną opinię na jego temat, Stuart jest prawdziwym znawcą dzieł sztuki - oceniła. - Dzięki jego profesjonalizmowi Harriett może bez przeszkód podróżować po świecie. Kiedy parę dni temu dzwoniłam do niej, właśnie wróciła z safari w Afryce. Chwaliła się, że przywiozła naszyjnik z najprawdziwszych zębów krokodyla.

- Zatem wasze rodziny dobrze się znają - wywnioskował. - Domyślam się, że twój ojciec przeprowadził wiele transakcji za pośrednictwem Merrick Gallery?

- O, tak - przyznała. - Ponad trzydzieści lat temu papa miał tam swoją pierwszą wystawę, która przyniosła ogromny sukces i jemu, i Harriet. Pokaż, co naszkicowałaś. -

Wyciągnęła rękę w jego kierunku.

- Za moment - mruknął.

W tym momencie dobiegło ich przeraźliwe zawodzenie. Adam spojrzał na Kirby z niepokojem, ona jednak zdawała się w ogóle nie przejmować tym, co się dzieje. Wręcz przeciwnie, uśmiechała się lekko, jak gdyby nigdy nic.

- Co to takiego? - zapytał.

- Co?

- To zawodzenie - wyjaśnił.

- Ach, to! - Z szelmowskim uśmiechem sięgnęła przez stół i wyrwała mu z ręki szkicownik. - To papa. W ten sposób wyraża swoją frustrację związaną z tym, że nie wychodzi mu rzeźba. Czy faktycznie mam taki zadarty nos? - Na próbę przesunęła palcem po nosie. - Może rzeczywiście. Ciekawe, nigdy nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Odłóż szkicownik, wstała i zaczęła się przechadzać po pracowni, a nie z tego, nie z owego opadła na kolana Adama.

- Pocałuj mnie jeszcze raz, dobrze? - poprosiła, odchyliwszy do tyłu głowę. -

Naprawdę nie mogę się powstrzymać.

Jest niesamowita, nie ma drugiej takiej jak ona, myślał Adam, całując jej wargi, tak jak sobie zażyła. Wtuliła się w jego ramiona, posłuszna, oddana, jak jeszcze nigdy dotąd.

Jej pocałunki były miękkie i delikatne, ale paradoksalnie rozpałały w nim ogień, jakiego jeszcze nie doświadczył.

- Czy nie moglibyście się wstrzymać, a zjemy obiad? - od drzwi dobiegł ich głos Philipa Fairchilda.

Z cichym westchnieniem Kirby wstała z kolan Adama. Nieznacznie oblizła dolną wargę, aby dłużej delektować się jego smakiem. Podświadomie czuła, że już wkrótce zapagnie znów go posmakować.

- Ju idziemy - odparła, ujmując jego dłoń. - Adam mnie szkicuje - pochwaliła się.

- Tak, właśnie zauważyłem - prychnął kpiąco jej ojciec. - Moje sobie szkicować, jak długo chce, ale po obiedzie. Jestem głodny.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jedzenie zdawało się łagodzić temperament Philipa Fairchilda. Pochłaniając łososia gotowanego na parze, wdał się w długi wywód na temat surrealizmu. Jak się okazało, metoda oddziaływania na wyobraźnię poprzez łamanie wszelkich konwencji na tyle do niego przemówiła, że spędził ponad rok na jej studiowaniu oraz próbach zastosowania w praktyce.

Artysta przyznał tak i szczerze i z właściwą sobie dozą poczucia humoru, że jego własne próbki malarstwa surrealistycznego były raczej mało udane, podobnie zresztą jak obrazy o charakterze abstrakcyjnym.

- Zamknął tamte obrazy na strychu - poinformowała Kirby, dłuźbiąc widelcem w sałatce. - Mój ulubiony przedstawia dziesiątki topniejących i zwisających smętnie zegarów w odcieniach niebieskiego i ółci, a do tego dwa lewe buty. To wielkie dzieło nosi tytuł

„Nieobecność czasu”.

- To był eksperyment - wyjaśnił jej ojciec, gromiąc ją spojrzeniem.

- Jakiś maniak oferował mu za ten obraz absurdalną sumę pieniędzy, ale papa odmówił i zamknął swe dzieło na strychu, jak, nie przymierzając, szalonego krewnego. -

Kirby sprytnie przeniosła swą porcję ryby na talerz ojca. - Tylko patrzeć, a rzeźba ta tam powędruje.

Fairchild przełknął kęs ryby, po czym uniósł dumnie głowę.

- Popamiętasz moje słowa, za rok nazwisko Philip Fairchild będzie utożsamiane z najlepszym współczesnym rzeźbiarstwem.

- Papo, muszę przyznać, że ten z tym odcieniem różu bardzo ci do twarzy. - Pochyliła się, by cmoknąć ojca w policzek. - Jesteś niemal purpurowy.

- Chyba jesteś jeszcze dostatecznie młoda, aby pamiętać, że jako twój ojciec mogę sprawić, że ten sam kolor pojawi się na twojej pupie - zagroził.

- Brutal - mruknęła, po czym objęła ojca za szyję i przytuliła się. - Idę na spacer, aby się przewietrzyć. Idziesz ze mną?

- Nie, nie, muszę coś dokończyć. - Fairchild poklepał ją po dłoni. - Zabierz ją na spacer - zwrócił się do Adama. - A potem może wrócić do tego... szkicowania. A tak w ogóle, to czy już zapytałeś Kirby, czy może ją malować? Nie wiem, czy wiesz, że nie jesteś pierwszy, który by miał na to ochotę, ale do tej pory adnemu nie pozwoliła.

Adam spokojnie uniósł kieliszek z winem.

- Powiedziałem jej, e zamierzam namalować jej portret - odparł z naciskiem.

Fairchild zachichotał z satysfakcją, a jego bladoniebieskie oczy zaśniły radośnie.

- Świetnie! - pochwalił. - Kirby potrzebuje twardej ręki. Nie wiem, po kim odziedziczyła tę krnąbrność. Pewnie po rodzinie matki.

Adam spojrzał na łagodne oblicze kobiety na wiszącym w jadalni obrazie.

- Niewątpliwie - zgodził się z przekazem.

- Widzisz ten obraz? - Fairchild ruchem głowy wskazał portret Kirby z czasów dzieciństwa. - Jeden jedyne raz zgodziła się dla mnie pozować, ale musiałem ją przekupić.

Zaledwie dwanaście lat, a ju taka materialistka.

- Je eli zamierzacie nadal rozmawiać o mnie tak, jakby mnie tu nie było, to ja idę po buty. - Nie obejrzawszy się za siebie, wyszła z jadalni.

- Niewiele się od tamtego czasu zmieniła, prawda? - zagadnął Adam.

- Ani trochę - przyznał dumny ojciec. - Uwa aj, mój chłopcze, będzie się z tobą bawić w kotka i myszkę. Mam nadzieję, e masz wystarczającą kondycję i cierpliwość.

- Jako student uprawiałem bieg z przeszkodami. Philip Fairchild wybuchnął

zaraźliwym śmiechem.

A niech to, pomyślał Adam, lubię go. To zdecydowanie komplikowało sprawę, a przecie zadanie, jakie miał wypełnić, było i bez tego dostatecznie trudne.

- Chodź, Adamie. - Kirby zajrzała do jadalni.

- Naprawdę, ile mo na siedzieć przy stole!

Jak na wrzesień było wyjątkowo ciepło i pogodnie. Ogród mienił się jesiennymi barwami cynii i astrów, rosnących w nieuporządkowanych kępkach nie tylko na grządkach, ale i gdzieniegdzie wśród trawy. Obok płomiennie czerwonego klonu starszy mę czyzna, ubrany w połatany kombinezon roboczy, powolnymi ruchami grabił trawnik, zgarniając w jedno miejsce martwe liście. Gdy się do niego zbli yli, powitał ich bezzębny uśmiechem.

- Nie przejmuj się, Jamie, i tak nie uda ci się ich zebrać co do jednego - zawołała Kirby.

- Wcześniej czy później dam sobie z nimi radę, panienko - odparł. - Mam mnóstwo czasu.

- Jutro ci pomogę - obiecała.

- Tak, najpierw zagrabisz je na kupę, a potem będziesz po nich skakać jak zwykle. -

Uśmiechnął się ciepło. - Zajmij się lepiej tym swoim struganiem, a ja posprzątam i mo e przygotuję ci kupę kiści do poskakania.

Pomachawszy staruszkowi, Kirby pociągnęła Adama za rękę i ruszyli dalej.

- Czy to ten dziadziuś zajmuje się ogrodem?

- zainteresował się Adam.

Na jego oko grunty otaczające zamek zajmowały grubo ponad sto hektarów, tote wydawało mu się niemo liwe, by tak ogromny obszar był pod opieką jednego, w dodatku mocno posuniętego wiekiem człowieka. Z drugiej jednak strony, w tym domu natknął się na wiele zjawisko pozornie niemo liwych...

- Tak, odkąd przeszedł na emeryturę - wyjaśniła. - To było jeszcze zanim się urodziłam. Miał wtedy sześćdziesiąt pięć lat. Twierdzi, e ma teraz dziewięćdziesiąt dwa, ale oczywiście ma dziewięćdziesiąt pięć, tylko za adne skarby świata nie chce się do tego przyznać. Zwykła pró ność. - Pokręciła głową z dezaprobatą.

Podeszli do krawędzi urwiska. W dole wiła się srebrzysta wstą ka rzeki Hudson, a poło one na jej brzegu domy wyglądały z tej odległości jak małe białe punkciki.

- Czemu ciągle tu mieszkasz? - zapytał nagle Adam.

- Bo tu jest moja rodzina, dom i praca.

- I tutaj mo esz yć z dala od ludzi - dopowiedział.

- Nie yjemy w odosobnieniu, bardzo często podejmujemy gości - zaproponowała.

- A nie masz ochoty podró ować? Zobaczyć Florencję, Rzym, Wenecję?

- Zanim skończyłam dwanaście lat, odwiedziłam Europę pięć razy. Przez cztery lata studiów mieszkałam w Pary u. Spałam z bretońskim hrabią w najprawdziwszym francuskim zamczysku, jeździłam na nartach w szwajcarskich Alpach i wędrowałam po wzgórzach Kornwalii - wymieniła, wpatrując się w przestrzeń. - Ale zawsze wracam do domu. Chyba głównie ze względu na papę.

- Bardzo go kochasz - zauwa ył Adam.

- Bardziej ni kogokolwiek czy cokolwiek na świecie - przyznała z niespodziewaną tkliwością.

- Dał mi wszystko to, czego potrzebowałam: poczucie bezpieczeństwa, niezale ność, lojalność, przyjaźń. Nauczył mnie te to wszystko odwzajemniać. Mam nadzieję, e przyjdzie kiedyś dzień, w

którym spotkam kogoś, kogo będę mogła tym wszystkim obdarować. Wtedy moje miejsce będzie przy nim, to do niego będę wracać.

Poruszony do głębi jej słowami, Adam pogłaskał ją czule po policzku. Wiedział, że nie powinien sobie pozwalać na takie gesty ani te na adne odruchy sympatii wobec Fairchildów, bo to tylko komplikowało i tak trudne zadanie, które go tu przywiodło. Jego serce zdręźniało niespodziewanie, gdy na dłoni poczuł delikatny dotyk jej ręki.

- Nie wiem, czemu ci to wszystko mówię.

- Uśmiechnęła się z zaskoczeniem. - Generalnie nie mam w zwyczaju opowiadać innym o sobie. A moim jest to ty masz jakiś szczególny dar wydobywania z ludzi zwierzeń?

- Nie, niczego takiego u siebie nie zaobserwowałem.

- Nie wyglądasz mi na kogoś, komu wszyscy powierzaliby największe sekrety -

oceniła, przypatrując się mu krytycznie. - Trzymasz się na dystans, a do tego sprawiasz wrażenie odrobinę pompatycznego.

- Ja jestem pompatyczny? - achnął się. - Na jakiej podstawie wyciągnęłaś taki wniosek?

- Tylko odrobinę - powtórzyła, a jej oczy śmiały się wesoło. - Nie gniewaj się, uważam, że pompatyczni ludzie tak są potrzebni na tym świecie. Bardzo mi się podoba, jak unosisz prawą brew, kiedy jesteś zdenerwowany.

- Nie jestem pompatyczny - powtórzył z uporem, czym wywołał u niej wybuch śmiechu.

- Moim jest faktycznie użyłam nieodpowiedniego słowa - wycofała się.

- Całkowicie nieodpowiedniego - zgodził się.

- Jesteś odrobinę konwencjonalny - określiła, po czym poklepała go lekko po policzku.

- To właśnie chciałam od samego początku powiedzieć.

- Nie wątpię, że obydwa określenia znaczą dla ciebie to samo i za każdym z nich powinienem się obrazić.

Przechyliwszy głowę, przyjrzała mu się uważnie.

- Moim jest się mylę - odezwała się po chwili. - Przecież nikt nie jest nieomylny. Ponoś mnie na barana - poprosiła niespodziewanie.

- Co takiego?!

- Ponoś mnie na barana - powtórzyła.

- Jesteś stuknięta - zawyrokował.

Owszem, była inteligentna, bystra i utalentowana, ale Adam odnosił wrażenie, że jakaś część jej rozumu przebywała permanentnie na urlopie.

Wzruszywszy ramionami, odwróciła się i ruszyła z powrotem w stronę domu.

- Wiedziałaś, że się nie zgodzisz - oznajmiła pełnym wyśzości tonem. - Pompatyczni ludzie nigdy nikogo nie biorą na barana. To wynika z samej definicji.

- A niech to! - mruknął pod nosem.

Nie miał zamiaru dać się wciągnąć w jej gierki, jeśli tak bardzo potrzebowała się z kimś zmierzyć, miała od tego ojca.

- Jesteś nie do wytrzymania - zawołał, doganiając ją. - Wskakuj. - Nastawił się plecami.

- Skoro nalegasz - zgodziła się łaskawie, po czym zgrabnie wskoczyła mu na plecy. -

Ojej, jakiś ty wysoki! - zauważyła, spoglądając w dół.

- To nie ja jestem wysoki, tylko ty niska - poprawił, podrzucając ją lekko, aby wygodniej mu się trzymało.

- W następnym wcieleniu będę miała metr siedemdziesiąt wzrostu.

Pomachała radośnie ogrodnikowi Jamiemu, który wciąż grabił liście.

- Mógłbyś od czasu do czasu zrobić coś spontanicznego - zaproponowała. - Na przykład pochodzić bez skarpetek.

- Mam lepszy pomysł. Co ty na to, ebym cię spontanicznie upuścił na tę twoją atrakcyjną pupę? - zasugerował złośliwie.

- Naprawdę jest atrakcyjna? - ucieszyła się. - Niestety, tak rzadko ją widuję... -

Pochyliwszy się, cmoknęła go w ucho. - Dziękuję za miłą przejażdżkę. Zanim zdążył w jakikolwiek sposób zareagować, zniknęła za drzwiami domu.

Późnym wieczorem Adam siedział po ciemku w swojej sypialni, ściskając w dłoni nadajnik, którym miał ochotę cisnąć z całej siły o ścianę. Był na siebie wściekły, ponieważ złamał elazną zasadę, zabraniającą mu angażować się w sprawy, które prowadził. Nigdy nie miał z tym najmniejszego problemu, nigdy mu to nie przeszkadzało. Do niedawna...

Przełamując swą niechęć włączył urządzenie.

- McIntyre?

- Hasło? - odezwał się trzeszczący głos.
- Daj spokój! - zirytował się. - Na litość boską, nie jesteśmy bohaterami filmu o Jamesie Bondzie.
- Takie są procedury.

Na kilkanaście sekund zapłała cisza.

- Niech ci będzie - ustąpił wreszcie McIntyre.
- Czego się dowiedziałeś?
- Dowiedziałem się, e kiedy następnym razem do mnie zadzwonisz z jakąś nową sprawą, natychmiast odło ę słuchawkę - odparował Adam.
- Jakies kłopoty? Miałeś informować o wszelkich trudnościach.
- Rzeczywiście, mam kłopot - zgodził się Adam.
- Polubiłem Fairchilda, a jego córka coraz bardziej mnie intryguje.
- Nie mo esz się teraz wycofać - przypomniał McIntyre. - Podjęliśmy ju zobowiązanie.
- Wiem - mruknął Adam, starając się zebrać myśli.
- Dowiedziałem się, e bliską przyjaciółką rodziny jest Melanie Merrick Burgess, córka Harriet Merrick. To szalenie elegancka projektantka mody, którą niespecjalnie obchodzi malarstwo. Wydaje mi się, e jest bardzo oddana Fairchildom. Ponadto Kirby niedawno zerwała zaręczyny ze Stuartem Hillerem.
- O, to ciekawe - zainteresował się McIntyre.
- A kiedy konkretnie?

- Tego nie wiem i nie jestem pewien, czy się dowiem, bo nie chcę wypytywać ją o tego typu bolesne sprawy. Podejrzewam, e stało się to w ciągu ostatniego miesiąca, czy dwóch, bo ciągle ją to boli. Zostałem zaproszony na przyjęcie w najbliższy weekend, powinienem wtedy poznać Harriet Merrick i Hillera. Aha i mam dla ciebie dobrą wiadomość.

W zamku są kilometry sekretnych przejść.

- Co takiego?
- To, co słyszałeś. Jeśli mi się poszczęści, będę mógł dzięki nim zwiedzić cały budynek. Zobaczymy, dokąd mnie doprowadzą.

To powiedziawszy, wyłączył nadajnik i szybko wrzucił go do walizki, eby przypadkiem nie ulec

pokusie ciśnięcia nim za okno. Podszedł do kominka, aby znaleźć przycisk uruchamiający wejście do labiryntu korytarzy. Spędził niemal dziesięć minut na przyciskaniu wszystkich mo liwych ornamentów, a wreszcie płyta odsunęła się powoli.

Przecisnąwszy się przez wąski otwór, oświetlił latarką ścianę, aby odnaleźć przycisk zamykający wejście. W korytarzu panowała nieprzyjemna wilgoć, a w powietrzu unosiła się woń stęchlizny. Adam ruszył powoli, starając się stąpać jak najciszej, aby nikt z domowników go nie usłyszał. Raz po raz dobiegały go charakterystyczne piski oraz cichy tupot szczurzych łapek. Na moment zatrzymał się przy drzwiach, prowadzących do sypialni Kirby. Miał

ogromną ochotę nacisnąć przycisk i wejść, nie zwa ając na McIntyre'go oraz zadanie, które miał wykonać. Kirby miała jednak co do niego rację - był realistą i w ka dej chwili potrafił

odró nić to, co złe od tego, co dobre. Ruszył ponownie wzdlu korytarza, który nagle skręcił

w lewo. Wspiąwszy się na kilka schodków, doszedł do kolejnego korytarza. Na przeciwległej ścianie siedział ogromny pająk, którego rozmiary zbli one były do tego, o czym wcześniej wspominała Kirby. Otrząsnąwszy się z obrzydzeniem, Adam nacisnął najbli szy guzik i wszedł do pomieszczenia, w którym wszystkie sprzęty nakryte były białym płótnem. Powoli rozejrzał się dookoła.

Tymczasem Kirby przewracała się w swym łó ku, bezskutecznie czekając na sen. W

tym samym momencie, gdy Adam stał za ścianą jej sypialni, ona rozwa ała udanie się do pracowni, w nadziei, e praca przyniosłaby jej ukojenie. Z drugiej strony wiedziała jednak, e cokolwiek by stworzyła w obecnym stanie umysłu, nie byłoby nawet godne uwagi.

Zirytowana, wstała z łó ka i usiadła na parapecie okiennym, by wpatrując się w noc, przeanalizować swe poło enie. Była gotowa przyznać przed samą sobą, e jej niepokój spowodowany jest faktem, i coraz bardziej zale y jej na Adamie. Nie było to tylko zwykłe zauroczenie, z czymś takim poradziłaby sobie bez problemu. Sytuacja była znacznie bardziej powa na, poniewa nie wiedzieć kiedy zaanga owała się emocjonalnie do tego stopnia, e stała się łatwym celem, tak e mo na było ją powa nie zranić byle słowem.

Có , przezorny zawsze ubezpieczony, pomyślała, rozwa ając, w jaki sposób mo e się zabezpieczyć przed zranieniem. Przede wszystkim musi zrobić wszystko, aby jej zaanga owanie pozostało minimalne. Tak, musi zachowywać obojętność, nie dać się wciągnąć w jakąkolwiek za yłość. Odetchnęła z ulgą. Powoli odzyskiwała kontrolę nad swoim yciem.

Ju miała się ponownie poło yć, gdy spostrzegła zbli ające się światła samochodu.

Ojciec miał w zwyczaju zapraszać gości o przeró nych godzinach, ale nie wspominał jej o adnej wizycie, tote zaniepokoiła się nieco. Jak się okazało chwilę później, jej niepokój był

jak najbardziej uzasadniony.

- Co za bezczelny typ! - wycedziła przez zęby. - To ju szczyt wszystkiego!

Poderwawszy się na nogi, zaczęła chodzić szybko w tę i z powrotem po pokoju, a wreszcie chwyciła szlafrok i wyszła na korytarz.

Dokładnie piętro wyżej Adam szykował się do ponownego wejścia do labiryntu, gdy tak e i jego uwagę przykuły światła na podjeździe. Szybko wyłączył latarkę, a następnie podszedł do okna, aby przyrzeć się mężczyźnie, który wysiadł z luksusowego mercedesa i skierował się ku głównemu wejściu. Zaintrygowany, zamiast wrócić do labiryntu, wyszedł na korytarz i ukrył się za drzwiami. Najpierw dobiegły go głosy, potem odgłos kroków. Ze swej kryjówki obserwował, jak Cards prowadzi smukłego, ciemnowłosego mężczyznę w kierunku pracowni Fairchilda.

- Pan Hiller do pana - zaanonsował kamerdyner, jak gdyby była to typowa pora odwiedzin, a nie środek nocy.

- Stuart, jak miło, e do mnie zajrzałeś - dał się słyszeć głos gospodarza. - Wejdz, wejdz.

Policzywszy do dziesięciu, Adam powoli wychynął z ukrycia i już się kierował w stronę drzwi do pracowni, gdy nagle coś białego przebiegło koło niego z furkotem. W

ostatniej chwili zdołał się wycofać do pobliskiej wnęki. Odczekał a Kirby - bo to ona pędziła po schodach w zwiewnym białym szlafrocisku - znalazła sobie dogodnie miejsce przy drzwiach, po czym bezszelestnie zakradł się na górę, gdzie ukrył się w załomie muru.

- Chyba masz mnie za skończonego głupca!

- grzmiał Stuart po drugiej stronie ściany.

- Skoro tak mówisz... - zgodził się pogodnie Philip Fairchild. - Usiądź, mój drogi chłopcze.

- Posłuchaj mnie wreszcie! Mieliśmy układ, prawda? Czy naprawdę sądziłeś, e się nie zorientuję, e mnie wykiwałeś?

- Przyznam, e nie podejrzewałem, e zajmie ci to a tyle czasu. - W głosie Fairchilda słychać było rozbawienie. - Nie jesteś tak sprytny, za jakiego cię miałem, Stuarcie.

Powinieneś był to odkryć ju parę tygodni temu. Przyznaję, kopia była doskonała, ale sprytny człowiek na wszelki wypadek zleciłby ekspertyzę, eby mieć pewność, e obraz jest autentyczny.

Nie mogąc się zorientować, o co tak naprawdę chodzi, Kirby przysunęła się jeszcze bliżej ściany, aby nie uronić ani słowa. Poły jej szlafrocka rozchyliły się, ukazując wybitnie skąpą koszulkę nocną. Adam, mający ją cały czas na oku, zaklął pod nosem.

- Ale umawialiśmy się... - zaczął znowu Hiller.

- Tylko nie mów mi, e wierzysz w bajki o honorowych złodziejach - wpadł mu w słowo gospodarz. - Jeśli chcesz nadal grać w tę grę, najwy sza pora dorosnąć.

- Oddaj mi Rembrandta, Fairchild - wycedził przez zęby Stuart.

Kirby zamarła w bezruchu.

A więc jednak go ma, pomyślał w tym samym momencie Adam.

- Podaj mnie do sądu - zaproponował z rozbawieniem Philip Fairchild.

- Albo mi go oddasz, albo skręcę ci kark!

Na kilkanaście sekund w pracowni zaległa głucha cisza.

- W ten sposób na pewno go nie dostaniesz. Pogró ki straszliwie mnie irytują. Poza tym muszę powiedzieć, e bardzo mi się nie spodobało to, jak potraktowałeś Kirby. - W jego głosie słychać było, e z nieszkodliwego ekscentryka przeistoczył się w groźnego mę czyznę, ojca broniącego swojej ukochanej jedynaczki. - Zawsze wiedziałem, e za ciebie nie wyjdzie, jest na to zbyt inteligentna. W dodatku te twoje groźby, próby szanta u naprawdę mnie denerwują, a kiedy jestem zdenerwowany, robię się mściwy. Mściwość to brzydka cecha, ale ka dy musi mieć jakieś wady. Radzę ci, ebyś się uzbroił w cierpliwość, Stuarcie, dam ci znać, kiedy będę gotowy. A w międzyczasie trzymaj się z dala od Kirby.

- Tak łatwo się nie wywiniesz! - wycedził przez zęby tamten.

- Nie zapominaj, e to ja rozdaję karty. To ja mam Rembrandta i tylko ja wiem, gdzie jest. Jeśli będziesz mi się dalej naprzykrzał, być mo e zdecyduję się go zatrzymać na zawsze.

W przeciwieństwie do ciebie, nie potrzebuję desperacko pieniędzy. Dam ci dobrą radę: nigdy nie nale yć ponad stan.

- Jeszcze mi za to zapłacisz! - odgra ał się Stuart. - Nie pozwolę z siebie robić głupca.

- Na to ju trochę za późno. A teraz idź ju . Sam trafisz do wyjścia, czy mam znowu obudzić Cardsa?

Zanim Kirby zdołała się zorientować, Stuart ju był przy drzwiach. Nie miała dokąd uciec, od najbliższego uskoku w murze dzieliło ją co najmniej kilka kroków, więc wtuliła się we wnękę za drzwiami i zamknawszy oczy, modliła się, eby jej nie zauwa ył. Na szczęście Stuart był tak rozsierzony, i nie dostrzegał nic dookoła. Nie obejrzawszy się nawet za siebie, zbiegł szybko po schodach. Adam, który zdą ył dostrzec wyraz jego twarzy, zaniepokoił się nie na arty. Hiller miał wypisaną na obliczu chęć zemsty, im bardziej krwawej, tym lepiej. Tym razem nie miał broni, ale nie było gwarancji, e nie posunie się do zbrodni, aby zadośćuczynić swojej ura onej dumie.

Kirby odczekała w kompletnym bezruchu, a odgłosy kroków ucichły, po czym nabrawszy powietrza głęboko w płuca, weszła do pracowni.

- Papo - odezwała się pełnym wyrzutu głosem.

- O, witaj, kochanie. - Fairchild udawał pochłoniętego rzeźbieniem. - Mój jastrząb zaczyna ju

oddychać. Chodź, zerknij tylko.

Ponownie wykonała głęboki oddech, a następnie podeszła do stołu, nie przestając nawet na moment patrzeć ojcu prosto w oczy.

- Widzę, e nie informujesz mnie na bie ąco, papo - zaczęła oskarżycielskim tonem. -

Zadam ci zagadkę. Co mają wspólnego Stuart Hiller, Philip Fairchild i Rembrandt? Znasz odpowiedź.

- Zawsze byłaś świetna w rozwiązywaniu zagadek...

- Papo!

- No dobrze. Odpowiedź brzmi: wspólne interesy - odparł wymijająco.

- A mo e tak dokładniej? Tylko nie patrz na mnie z miną niewiniątka, nie dam się na to nabrać - ostrzegła, mocno ju poirytowana. - Przypadkiem znalazłam się na korytarzu, więc coś niecoś usłyszałam, ale chętnie poznam szczegóły.

- Podśluchiwałaś? - Pokręcił głową z dezaprobatą. - Nieładnie! No dobrze ju , dobrze

- dodał pojednawczo, widząc jej groźną minę. - Jakiś czas temu Stuart przyszedł do mnie z pewną propozycją. Oczywiście jak wiesz, wbrew temu, co utrzymuje na swój temat, tak naprawdę nie ma grosza przy duszy. Na domiar złego, jest chorobliwie wręcz chciwy.

Potrzebował du ej sumy pieniędzy, ale nie przyszło mu do głowy, e mo e ją uczciwie zarobić, postanowił raczej przywłaszczyć sobie autoportret Rembrandta z galerii Harriet.

- Ukradł Rembrandta?! - zawołała, kompletnie zaskoczona. - Nie podejrzewałam, e ma a taki tupet.

- Stuart sądził, e jest wyjątkowo sprytny - ciągnął Fairchild, podchodząc do umywalki, aby zmyć z rąk glinę. - Przyszedł do mnie z propozycją, raczej marną finansowo, ebym sporządził kopię tego obrazu.

- Ale papo, przecie ten obraz nale y do Harriet!

- Wiem, córeczko. - Objął ją ramieniem. - Znasz mnie przecie , wiesz, e nie zrobiłbym nic, co mogłoby jej zaszkodzić. W ka dym razie, podczas gdy Harriet była na tym swoim safari, Stuart dostarczył mi obraz, ebym mógł go skopiować. Po jakimś czasie zadzwoniłem do niego, e mo e odebrać oryginał, bo nie jest mi potrzebny. Oczywiście oddałem mu kopię. ałużę, e nie mo esz jej zobaczyć, była naprawdę świetna. Ta gra światła i cienia, te barwy...

- Papo! - przerwała mu ostro, wiedząc, e zanosí się na wykład.

- Dobrze, dobrze, ju mówię dalej. Powiedziałem mu więc, e potrzebuję jeszcze trochę czasu, eby postarzyć obraz, tak by wyglądał wiarygodnie. Naiwny, dał się na to nabrać. - Fairchild pokręcił

głową z dezaprobatą. - Minęły trzy tygodnie, a jemu dopiero teraz przyszło do głowy, eby sprawdzić jego autentyczność. Oczywiście bardzo się starałem, eby moja kopia przeszła negatywnie wszystkie podstawowe testy.

- Oczywiście - mruknęła bez entuzjazmu Kirby.

- Teraz Stuart nie ma wyjścia, jak pozostawić kopię w galerii, a ja zatrzymam oryginał.

- Ale czemu to zrobiłeś, papo? - dopytywała się.

- Przecie to nie jest byle jaki obraz, to obraz Harriet! To coś zupełnie innego! Co zrobiłeś z oryginałem?

- Co zrobiłem? - powtórzył, marszcząc brwi. - Jak to, co zrobiłem?

- Gdzie jest Rembrandt? - zapytała powoli i wyraźnie, jak gdyby mówiła do mało pojętnego dziecka.

- Przecie nie mo esz tak po prostu trzymać go sobie w domu. Zwłaszcza, e zaprosiłeś sobie gościa.

- Gościa? Ach, masz na myśli Adama? - domyślił się. - To wartościowy chłopak, ju zdą yłem go polubić. - Uniósł znacząco brwi. - Tobie chyba te przypadł do gustu.

- Nie mieszaj w to Adama - za ądała, spoglądając na ojca spod przymru onych powiek.

- Ojej, a ja myślałem, e to ty wspomniałaś o nim jako pierwsza. Pewnie się przesłyszałem. - Uśmiechnął się szelmowsko.

- Gdzie... jest... Rembrandt? - wycedziła, kontrolując się z trudem.

- W bezpiecznym miejscu, moja słodka - odparł Fairchild z satysfakcją w głosie. - W bezpiecznym miejscu. Wło yłem du o serca w znalezienie odpowiedniej kryjówki.

- Tutaj? W domu?

- Ale oczywiście. Chyba nie sądzisz, e przechowywałbym go gdzieś indziej. - Posłał jej zdumione spojrzenie.

- Gdzie? - nie dawała za wygraną.

- Nie musisz przecie wszystkiego wiedzieć. - Ojciec zdjął fartuch roboczy i swobodnym ruchem rzucił go na oparcie krzesła. - Bądź pewna, e jest w bezpiecznym miejscu. Kirby, dziecko powinno mieć zaufanie do rodzica - pouczył, widząc, e córka wciąż ma wątpliwości. - Chyba mi ufasz, prawda?

- Ufam, ufam - westchnęła z rezygnacją. - Choć podejrzewam, e pominąłeś całą masę wa nych

szczegółów.

- Co tam szczegóły. - Fairchild machnął lekceważąco ręką. - Jak na mój gust świat przywiązuje zbyt wiele uwagi do szczegółów. Jako artystka wiesz dobrze, e nadmiar szczegółów zaciemnia obraz. Ale chodźmy ju , pora spać. - Ujął córkę pod ramię.

- Odprowadź swego staruszka do sypialni.

Adam ze swej kryjówki obserwował, jak ramię w ramię schodzili powoli po schodach.

- Papo. - Kirby zatrzymała się na podeście.

- Oczywiście istnieje jakieś logiczne wyjaśnienie tej historii?

- Ale oczywiście, córeczko. - Philip Fairchild uśmiechnął się dobrodusznie. - Czy ja kiedykolwiek postąpiłem nielogicznie?

Kirby zachichotała, a jej śmiech zadźwięczał echem w wąskiej klatce schodowej.

Śmiała się coraz głośniej i serdeczniej, a w jej oczach pojawiły się łzy.

- Och, mój kochany papo - wykrztusiła z trudem, opierając głowę na jego ramieniu. -

Jesteś bezkonkurencyjny.

Ruszyli ponownie w dół, gawędząc wesoło. Gdy zniknęli za zakrętem, Adam wyszedł ze swej kryjówki.

- Ciekawe, bardzo ciekawe - wyszeptał sam do siebie.

Doszedł do wniosku, i zarówno ojciec, jak i córka są z lekka niepoczytalni.

Niewątpliwie czekały go fascynujące tygodnie w ich towarzystwie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Porannie niebo było zasnuwane ciemnymi szarymi chmurami, z których siąpił chłodny deszcz. Adama kusiło, by przekręcić się na drugi bok, zamknąć oczy i udawać, e jest w swoim wygodnym, uporządkowanym mieszkaniu, w którym nie straszyły gargulce ani pretensjonalne wie yczki.

Z tego, co usłyszał poprzedniego wieczoru, nie miał co liczyć, e dowie się czegokolwiek od Kirby, najwyraźniej wiedziała o sprawie Rembrandta jeszcze mniej ni on.

Jednocześnie był święcie przekonany, e bez względu na to, jak dyskretnie będzie się starał

wybadać Philipa Fairchilda, ten nawet nie puści pary z ust. Mo e wyglądał dobrodusznie, a czasem nawet nieporadnie, ale tak naprawdę był kuty na cztery nogi. Ponadto sposób, w jaki ostatniego

wieczoru poradził sobie z Hillerem, sugerował, a Fairchild potrafił być

niebezpieczny, gdy sytuacja tego wymagała. Jedynym rozwiązaniem było kontynuowanie nocnych poszukiwań z wykorzystaniem sekretnej korytarzy, w dzień zaś planował zająć się malowaniem, które zwykle pomagało mu uspokoić się i zebrać myśli.

Stojąc pod gorącym prysznicem, Adam po raz setny w ciągu ostatnich kilku dni obiecywał sobie, a to ostatnia akcja, w jakiej bierze udział, a ju nigdy więcej nie da się namówić McIntyre'owi na adną tego typu eskapadę.

Ju ubrany, zadowolony ze swej decyzji nieanga owania się kolejne zadania, wędrował korytarzem, myśląc z przyjemnością o czekającej go przy śniadaniu fili ance kawy.

Przechodząc obok otwartych drzwi do sypialni Kirby, zajrzał do środka i zmarszczywszy brwi, zatrzymał się.

- Dzień dobry, Adamie - stojąca na głowie dziewczyna przywitała go uśmiechem. -

Jaki piękny dzień, prawda?

Zerknął za okno, aby się upewnić, czy nic się nie zmieniło od czasu, gdy wychodził ze swego pokoju.

- Pada deszcz - zauwa ył rzeczowo.

- Nie lubisz deszczu? Ja bardzo lubię. - Potarła nos wierzchem dłoni. - Jak widzisz, wszystko jest kwestią nastawienia. Wypałeś się?

- Tak, dziękuję.

Nawet w tej niecodziennej pozycji sprawiała wra enie wypoczętej, nie widać było po niej nawet śladu stresujących wydarzeń poprzedniego wieczoru.

- Wejdz, proszę, i poczekaj chwilę - zaprosiła.

- Zaraz będę gotowa i pójdziemy razem na śniadanie.

- Czemu stoisz na głowie? - zapytał wprost, podchodząc do niej.

- Mam taką teorię: przez całą noc znajduję się w pozycji horyzontalnej, a przez cały dzień głową do góry, więc codziennie przed wstaniem i przed snem stają na głowie, eby krew dobrze się przemieszała w organizmie. Rozumiesz?

- Chyba tak i to mnie powa nie martwi.

- Te powinienes spróbować - zasugerowała.

- Wolę sobie krwi nie mieszać - odmówił.

- Jak sobie chcesz. A teraz lepiej się odsuń, wracam do standardowej pozycji.

Opuściła stopy i jednym zwinnym ruchem podniosła tułów.

- Jesteś strasznie czerwona na twarzy - zauważył.

- Niestety, to nieunikniony skutek uboczny.

- Uśmiechnęła się promiennie. - To jedyna okazja, gdy się rumienię, więc jeśli chcesz mnie zawstydzić lub powiedzieć mi komplement, to proszę bardzo...

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, objął ją w talii. Nie zareagowała, nie broniła się ani go nie zachęcała, po prostu czekała.

- Twój rumieniec powoli blednie, chyba trochę się spóźniłem.

- Mo esz spróbować jeszcze raz jutro o tej samej porze. Głodny?

- Bardzo - odparł, spoglądając na jej usta. Był głodny jej pocałunków, ale na razie nie czuł się na siłach podjąć tego ryzyka. - Po śniadaniu chciałbym przejrzeć twoją garderobę.

- Naprawdę? A po co? - zainteresowała się.

- Pod kątem twojego portretu - wyjaśnił.

- A ja myślałam, że zechcesz namalować mój akt.

- Wyduła wargi, udając rozczarowaną.

- Nie rzucam słów na wiatr - oznajmił ostro. - Namalujecie, bo właśnie tego chcę. I będę się z tobą kochał, bo właśnie tego chcę.

Nie dała sobie po znać, że to wyznanie zrobiło na niej tak ogromne wrażenie, tylko jej serce biło jak oszalałe. Nie była na tyle naiwna, aby udawać przed samą sobą, że to ze złości.

- Jesteś wyjątkowo pewny siebie i arogancki - odparowała, wymykając mu się z objęć.

Podeszła do toaletki i sięgnąwszy po szczotkę, zaczęła się czesać.

- Jeszcze nie zgodziłam się, ebyś mnie malował, Adamie, ani że ebyś się ze mną kochał. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Tak naprawdę, wcale nie jestem przekonana, czy mam w ogóle na to ochotę. Idziemy?

Nie zdążyła dojść do drzwi, gdy ponownie pochwycił ją w ramiona. Tym razem nie marnował czasu na zbędne pytania, lecz nie czekając na jej reakcję, pocałował ją gorąco, tak jak tego pragnął. Nie opierała się, nie miała w zwyczaju opierać się temu, czego sama chciała.

Delektowała się rozkosznym ciepłem, które rozchodziło się po jej ciele. Zawsze wyobrażała sobie, e tak właśnie będzie się czuć w objęciach tego jedyne go mę czyzny.

Tak e i serce Adama biło znacznie szybciej ni by sobie tego yczył, a jego umysł nie funkcjonował tak jasno, jak powinien. Jak miał ją zdobyć, jeśli tracił grunt pod nogami ilekroć miał ją w ramionach?

- Będiesz mi pozować - wyszeptał wprost w jej usta. - I będziesz się ze mną kochać.

Nie masz wyboru.

Nabrała powietrza, aby zaprotestować, ale poło ył palec na jej wargach.

- Ja te nie mam wyboru - dokończył. - Po śniadaniu wybierzemy dla ciebie odpowiednie strój.

Aby nie dać jej czasu na odpowiedź, szybko wyprowadził ją z pokoju.

Godzinę później wprowadził ją tam ponownie. Przy śniadaniu zachowywała się spokojnie, ale Adam nie dał się oszukać, domyślał się, e tak naprawdę gotowała się ze złości, nie przywykła bowiem do tego, by ktoś nią manipulował. Oczywiście fakt, e udało mu się ją wymanewrować, dawał mu ogromną satysfakcję, zwłaszcza, e chciał oddać na portrecie tę jej hardość, która teraz czaiła się w jej spojrzeniu.

- Czerwony - zdecydował. - Najlepiej ci będzie w czerwonym.

Kirby niedbałym ruchem ręki wskazała mu drzwi do garderoby, sama zaś opadła na łó ko. Wpatrując się w sufit, rozwa ała swoją pozycję. Poza ojcem nikomu do tej pory nie pozwoliła się sportretować, a to dlatego, e nie chciała nikogo dopuścić do siebie dostatecznie blisko. Jako artystka doskonale zdawała sobie sprawę, jak intymna i bliska więź tworzy się między twórcą i jego modelem, a nie miała ochoty dzielić się z nikim swoim wewnętrznym światem. Tylko e przypadek Adama był inny ni wszystkie do tej pory. Przede wszystkim wyró niał go niekwestionowany talent, a poza tym chęć namalowania jej była spowodowana autentyczną artystyczną potrzebą, a nie pragnieniem przypochlebiania się jej. Gdyby Kirby była wobec siebie całkowicie szczerą, przyznałaby się sama przed sobą, e przede wszystkim powoduje ją ciekawość, jak wygląda w jego oczach, z jego perspektywy.

Wodząc za nim spojrzeniem, obserwowowała, jak przebierał między strojami. Adam tymczasem nie mógł się nadziwić rónorodności stylów ubrań, które wisiały gęsto jedno za drugim na metalowym drą ku. Niektóre pasowały w sam raz do sierotki, inne do ekscentrycznej nastolatki. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek wło yła tę fioletową minispódniczkę i jak w niej wyglądała. Eleganckie kreacje z ekskluzywnych butików Pary a i Nowego Jorku sąsiadowały z elementami munduru z demobilu. Jeśli to prawda, e ubiór odzwierciedla osobowość, znaczyło to, i Kirby Fairchild mogła się poszczycić całą kolekcją zupełnie odrębnych osobowości. Adam ciekaw był, ile z nich będzie miał okazję poznać.

Gdy jego spojrzenie wreszcie spoczęło na purpurowej jedwabnej sukni, wiedział, i znalazł dokładnie to, czego szukał. Była elegancka, ale nie przesadnie szykowna, dopasowana u góry, z pełną, zwiewną

spódniczką, a pod nią kilkoma warstwami czarnych, białych i ciemnopurpurowych halek. Krótkie, bufiaste rękawy wykonane były z materiału w pasy w tych samych odcieniach. Suknia przywodziła na myśl cygańskie stroje, była idealnie taka, jakiej potrzebował.

- Ju wybrałem - oświadczył, podchodząc do le ącej na łó ku Kirby. - Ubierz się i przyjdź do pracowni, chcę zrobić pierwsze szkice.

Przez chwilę milczała, nie odrywając spojrzenia od sufitu.

- Czy zdajesz sobie sprawę, e ani razu nie poprosiłeś mnie, ebym ci pozowała? -

zapytała wreszcie, wciąż na niego nie patrząc. - Oznajmiłeś mi, e chcesz mnie namalować i e mnie namalujesz, ale dotąd w ogóle mnie nie poprosiłeś o zgodę. - Zaczęła postukiwać palcem wskazującym prawej dłoni w wierzch lewej. - Sprawiasz wra enie d entelmena, Adamie, mo e więc po prostu zapomniałeś powiedzieć „proszę„?

- Nie zapomniałem - odparł, rzucając suknię na łó ko. - Ale odnoszę wra enie, e zbyt często słyszysz to słowo z męskich ust. Wystarczy, e skiniesz ręką, a mę czyźni padają na kolana. Niestety, ja akurat nie cierpię tej pozycji. - Usiadł obok niej. - I tak jak ty jestem przyzwyczajony do tego, e dostaję to, na co mam ochotę.

Przyjrzała mu się spod przymkniętych powiek.

- Mo liwe - zgodziła się. - Ale, o ile pamiętam, jeszcze nie skinęłam na ciebie ręką.

Delikatny półuśmiech, który wypłynął na jej usta, rozpalił go niemal do czerwoności.

Pocałował ją, początkowo chcąc udowodnić, e jest górą, chcąc zademonstrować jej swoją dominację, ale szybko zatracił się w tym pocałunku na tyle, e myśl o jakichkolwiek komplikacjach kompletnie wywietrzała mu z głowy. Jej zło ony charakter, pełen zagadek i niedopowiedzeń, był dla niego jeszcze bardziej pociągający ni piękne ciało. Nie byłaby bardziej kusząca, gdyby ubrała się skąpą koronkową bielizną. Miękkie, uległe wargi oraz silne, wra liwe dłonie stanowiły mieszankę wybuchową, której nie był w stanie się oprzeć.

Adam musiał zebrać w sobie wszystkie pokłady silnej woli i determinacji, jakimi dysponował, aby wreszcie oderwać usta od jej warg. Nie anga uj się, powtarzał głos rozsądku. Odnajdź Rembrandta i zmykaj, gdzie pieprz rośnie.

- Adam... - szepnęła ledwo dosłyszalnym głosem. Jeszcze nigdy nie czuła się tak błogo, a jednocześnie nigdy nie buzowało w niej tyle ognia, jak właśnie w tym momencie.

Coś się w niej otworzyło, a ona nawet nie miała zamiaru się temu opierać.

- Przebierz się - zakomenderował, siadając się czym prędzej, zanim będzie za późno.

- Adam... - powtórzyła. Z trudem podniósłszy ramię, pogłaskała go lekko po policzku.

- Podkreśl oczy - polecił, po czym wstał i odsunął się o krok od łóżka. - I nie spinaj włosów, zostaw je rozpuszczone. - Podeszedł do drzwi. - Dwadzieścia minut powinno ci wystarczyć.

Nie chciała mu okazać, jak bardzo było jej przykro, i ją odrzucił.

- Jesteś taki zimny, tak? - zapytała miękko, bez złości. - Ale kto wie, może jeszcze będziesz musiał paść na kolana.

Miała rację, wiedział, że tak się może zdarzyć, ale nie był gotowy przyznać tego głośno.

- Podejmę to ryzyko - rzucił przez ramię, wychodząc na korytarz. - Do zobaczenia za dwadzieścia minut.

Kirby zacisnęła pięści.

- Jeszcze padniesz na kolana - wyszeptała sama do siebie. - Obiecuję ci to.

Adam, korzystając z okazji, że jest całkiem sam w pracowni Kirby, zajął się poszukiwaniem przycisku, uruchamiającego wejście do sekretnego korytarza. Szukał głównie z ciekawości, bo nie podejrzewał, aby zaistniała potrzeba przetrząśnięcia pomieszczenia, do którego cały czas miał wolny dostęp, ale nie zaważało się upewnić. Chwilę później z ogromną satysfakcją przycisnął guzik, a ukryte w ścianie drzwi otworzyły się z takim samym skrzypieniem, jak w pozostałych pomieszczeniach, które zdążył odwiedzić. Zamknąwszy je, zajął się tym, po co tu przybył, a więc przygotowaniem do malowania.

Choć zajmował się głównie malarstwem, nie uważał tego za zawód, raczej sposób na życie. Czasem potrzeba malowania była lekka, nienachalna, a czasem tak nagła, że nie spoczął, póki nie wzięła do ręki. Niektórzy uznawali takie zajęcia za rozrywkę, ale Adam wiedział, że czasem jest to praca cięższa niż kopanie rowów.

Przywiązywał dużą wagę do szczegółów, zarówno w sztuce, jak i w życiu, być może dlatego Kirby nazwała go konwencjonalnym. Nie znaczyło to jednak, że nie działał pod wpływem impulsu czy natchnienia, wręcz przeciwnie, jego proces twórczy przebiegał w podobny sposób, jak i u niej. Podobnie jak ona potrafiła się godzinami wpatrywać w kawałek drewna, nim dostrzegła w nim inspirację, tak i on czasem czekał na przyływ weny twórczej, siedząc pozornie beczynnym przy sztalugach. Czasem potrzebował jednej kreski, by go zainspirowała do namalowania całego obrazu, czasem koncepcja wyłaniała się dopiero po sporządzeniu kilku, bądź kilkunastu szkiców.

Rozpoczął przygotowania od rozstawienia sztalug, po czym wybrał trzy kawałki węgla. Już miał zacząć szkicowanie, gdy z korytarza dobiegł go odgłos kroków.

W drzwiach stanęła Kirby. Gęste, lśniące włosy opadały jej na ramiona, a na ich ciemnym tle połyskiwały złote kolczyki w kształcie dużych obręczy. Kilkanaście cienkich złotych bransoletek pobrzękiwało na przegubach jej dłoni, gdy nonszalanckim gestem odrzuciła do tyłu opadające na twarz pasmo włosów. W jej ciemnoszarych oczach wciąż płonął ogień. Świadoma wrażenia, jakie na nim zrobiła, położyła dłonie na biodrach i zmysłowo kołysząc się, weszła do pracowni. Zatrzymała

się na środku, gdzie wykonała dwa pełne obroty, a zafurkotały kolorowe halki.

- Chcesz namalować portret Katriny, tak? - zapytała ze śpiewnym słowiańskim akcentem, przeciągnąwszy palcem po jego policzku. - Ale najpierw musisz zło yć w jej dłoni trochę srebra.

Czy jakikolwiek mę czyzna zdołałby się jej oprzeć? Adam miał co do tego powa ne wątpliwości, bo czuł, e jego zapasy silnej woli topnieją w zastraszającym tempie.

- Podejdz do wschodniego okna - zakomenderował, aby nie dać po sobie poznać jakiegokolwiek słabości. - Tam jest najlepsze światło.

- Ile zapłacisz? - nie ustępowała. - Katrina nie pozuje darmo.

- No, dalej! Pod okno! - wycedził. - Nie zapłacę ani centa, póki nie skończę.

Niespodziewanie zmieniając wyraz twarzy, wygładziła fałdy spódniczki.

- Czy coś jest nie tak? Mo e jednak nie podobam ci się w tej sukience? - upewniła się.

- Zaczynajmy ju - mruknął.

- Myślałam, e ju zaczęliśmy. - Uśmiechnęła się promiennie. - Przypominam, e to ty upierałeś się, e chcesz mnie malować.

- Nie doprowadzaj mnie do szału, Kirby!

- ostrzegł.

- Mo e właśnie tego ci trzeba? - odparowała, zadowolona z wyrównania rachunków. -

To gdzie mam stanąć?

- Przy wschodnim oknie.

Przez kolejne minuty prawie się do niej nie odzywał, czasami tylko nakazywał, by uniosła brodę, czy te odwróciła głowę. Był tak skoncentrowany na szkicowaniu, i nie dostrzegał padającego za oknem deszczu. Przypatrywał się, obserwował ją, chłonał ją wzrokiem, licząc na to, e przelewając jej portret na płótno, będzie mógł łatwiej ją zrozumieć, a tak e zrozumieć samego siebie.

W pewnym momencie zorientował się, e Kirby uśmiecha się do niego, słodko, rozbrajająco i szczerze. Na widok tego uśmiechu zaparło mu dech w piersiach.

- Czy Hiller tak e maluje? - zapytał ni z tego, ni z owego.

- Czasami - odparła, a uśmiech momentalnie zgasł na jej twarzy.

- I nie pozowałaś mu?

- Nie.
- Czemu nie? - drą ył.
- Powiedzmy, e nie podobał mi się jego styl - odrzekła wymijająco.
- Czy mam to rozumieć jako komplement dla mojego stylu?
- Jak sobie yczysz. - Wzruszyła ramionami.
- Dziwię się, e nie miał o to do ciebie alu - zauwa ył. - Skoro cię kochał...
- Nie kochał mnie - wycedziła lodowatym tonem.
- Przecie poprosił cię o rękę.
- Jedno z drugim nie ma nic wspólnego.
- Jak to? - Spojrzał jej prosto w oczy.
- Zgodziłam się wyjść za niego, choć tak naprawdę wcale go nie kochałam - wyjaśniła.
- Dlaczego? - Przerwał szkicowanie.
- Bo jego propozycja przyszła w odpowiednim czasie.
- Czyli w czasie, gdy uznałaś, e najwy sza pora wyjść za mą ? - domyślił się.
- Stuart jest atrakcyjnym, czarującym i układnym mę czyzną. W pewnym momencie zdałam sobie sprawę, e wcale nie chcę takiego mę a., ale nie zrywałam zaręczyn, bo sądziłam, e mnie kocha. Poza tym istnieją plusy posiadania mę a. - Westchnąwszy, zamilkła na moment. - Na przykład takim plusem są dzieci.
- Chcesz mieć dzieci?
- Czy widzisz w tym coś złego? - wybuchła. - Czy dziwi cię to, e chciałabym zało yć rodzinę? - Bransoletki zadźwięczały gwałtownie. - Mo e cię to zdziwi, ale mam uczucia i potrzeby, jak ka dy. I nie muszę ci się z nich tłumaczyć!

Była ju z połowie drogi do wyjścia, gdy udało mu się ją pochwycić.

- Kirby, przepraszam! - zawołał, nie zwalniając uścisku. - Naprawdę jest mi przykro, wybacz.
- Co mam ci wybaczyć?
- e cię zraniłem - odparł cicho. - Tymi głupimi pytaniami.
- Nie ma sprawy - westchnęła po chwili, łagodniejąc. - Po prostu trafiłeś w czuły punkt. - Zdjęła z

ramion jego dłonie. - Przyjmując oświadczyzny Stuarta...

- Nie musisz mi nic tłumaczyć - przerwał jej.

- Mam w zwyczaju dokańczać to, co zaczęłam - wpadła mu w słowo. - Przyjmując oświadczyzny Stuarta, powiedziałam mu, e go nie kocham. Uwa ałam, e byłabym wobec niego nie w porządku, gdybym udawała, e jest inaczej. Zgodzisz się chyba ze mną, e podstawą ka dego udanego związku jest szczerłość?

Adam pomyślał o nadajniku, ukrytym w jego walizce, a tak e o McIntyre, czekającym na kolejny meldunek.

- Masz rację - potwierdził.

- Powiedziałam mu uczciwie, e oczekuję od niego wierności oraz dzieci, a w zamian mogę ofiarować mu to samo oraz największe przywiązanie, na jakie będzie mnie tylko stać.

Gdy tylko zdałam sobie sprawę, e to się nie uda, poszłam się z nim zobaczyć. To wcale nie było takie proste, jak teraz brzmi, naprawdę kosztowało mnie wiele nerwów, rozumiesz?

Skinął w milczeniu głową.

Była zdumiona, jak wiele znaczył dla niej ten prosty gest. Więcej ni współczucie Melanie, więcej nawet ni wsparcie, jakiego udzielił jej ojciec.

- Rozmowa potoczyła się znacznie gorzej, ni się spodziewałam - ciągnęła, opadłszy na fotel. - Spodziewałam się kłótni, ale sytuacja całkowicie wymknęła mi się spod kontroli.

Stuart uczynił kilka uszczypliwych uwag na temat moich predyspozycji macierzyńskich oraz poprzednich związków. Wreszcie wyszło te , dlaczego tak naprawdę chciał się ze mną o enić. Okazało się, e wcale mnie nie kochał i e cały czas mnie zdradzał. Zresztą, to chyba nawet nieistotne. - Zamilkła, z czego Adam wywnioskował, e wbrew temu, co powiedziała, jednak ją to obchodziło. - Rzecz w tym, e chciał się ze mną o enić, bo byłam dla niego u yteczna. - Podniosła kawałek drewna, w którym chciała wyrzeźbić gniew. - U yteczna... Co za okropne słowo! Chyba jeszcze się z tym nie pogodziłam.

Adam zapomniał o McIntyre'rze, o Rembrandcie, o zadaniu, jakie miał wypełnić.

Wiedziony impulsem, podszedł do niej i usiadłszy na brzegu fotela, ujął jej dłonie w swoje.

- Nie wyobra am sobie, eby jakikolwiek mę czyzna mógł cię sklasyfikować jako u yteczną - wyznał szczerze.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się roztkliwiająco. - Jak miło, e to mówisz. Cieszę się, e idziesz ze mną na to przyjęcie w sobotę. Będiesz mógł posyłać mi powłóczyste spojrzenia, tak e wszyscy pomyślą, e rzuciłam Stuarta dla ciebie. Bywam czasem mściwa - wyjaśniła.

Roześmiał się serdecznie. Podniósłszy jej dłonie do ust, pocałował najpierw jedną, a potem drugą.

- Nie zmieniaj się - poprosił.

- Nie mam najmniejszego zamiaru! - odparła z udawaną arogancją. - To jak, malujesz mnie, czy nie?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Przejdźmy się - zaproponowała Kirby późnym popołudniem.

Ojciec jeszcze nie wychynął ze swej wieży, najwyraźniej był bardzo zajęty dopracowywaniem szczegółów Van Gogha. Czekała, a jeśli się nie wyrwie z domu, zwariuje, zastanawiając się, kiedy wreszcie pozbędą się tego obrazu.

- Pada deszcz - zauważył Adam, sącząc kawę.

- Ju to mówiłeś. - Wstała od stołu. - Dobrze, jak sobie chcesz. Poproszę Cardsa, aby przyniósł ci plecak i filiżankę herbaty.

- Czy próbujesz mnie wziąć na ambicję?

- A co, podziałało? - zainteresowała się.

- Poczekaj, pójdę po kurtkę - odparł wymijająco, udając, że nie słyszy jej triumfalnego chichotu.

Na zewnątrz panowała lekka mgła, a deszcz mijał jednostajnie. Adam skulił się, przeklinając w duchu fatalną pogodę, zaś Kirby z zadowoleniem podniosła twarz ku niebu. Po raz pierwszy od wielu tygodni czuła się szczęśliwa - wbrew chłodnej, szarej, nieprzyjemnej aurze. Była nawet zadowolona z niepogody, bo dzięki temu naturalnym uzupełnieniem takiego spaceru było siedzenie przy płonącym kominku ze szklaneczką brandy w rękę.

- Adamie, czy widzisz tamte klomby astrów? - zapytała ni z tego, ni z owego.

- Owszem - odparł nieco zdziwiony.

- Chciałabym trochę nazrywać. Postoisz na czatach?

- Jak to, na czatach? - nie rozumiał. - Po co?

- Jamie nie cierpi, gdy ktoś dotyka się do jego kwiatów - wyjaśniła.

- Przecie to twoje kwiaty.

- Nie, Jamie'go.

- Ale Jamie pracuje dla ciebie - nadal nie pojmował, o co w tym wszystkim chodzi.

- To nie ma nic do rzeczy. Jak mnie przyłapie, wścieknie się i nie zostawi mi liści.

Obiecuję, e się sprę ę. Ju nie raz to robiłam - zapewniła.

- Ale... - chciał zaprotestować.

- Nie ma czasu na spory - ucięła. - Obserwuj tamto okno - poleciała, wskazując kierunek ruchem głowy. - Jamie pewnie pije teraz kawę z Tulip. Daj mi znać, gdy tylko go zauwa ysz.

Sam nie był pewien, czy wypełnił jej polecenie dla świętego spokoju, czy te dlatego, e powoli zaczął się przyzwyczajać do postępowania wbrew sobie dla jej widzimisię, w ka dym razie posłusznie podkradł się do okna i zajrzał. Istotnie Jamie siedział przy du ym okrągłym stole z kubkiem kawy w dr ących dłoniach. Adam skinął głową w kierunku Kirby, która jak błyskawica dobiegła do klombu i przykucnęła, by zerwać kwiaty. Wyglądała pięknie, smagła, czarnowłosa z rosnącym naręczem soczyście kolorowych astrów. łował, e nie mo e jej teraz szkicować, ale starał się zapamiętać ka dy szczegół, by móc je potem przywołać przy tworzeniu kolejnego portretu.

Zerknąwszy ponownie przez okno, spostrzegł, i Jamie podniósł się i zmierza do wyjścia. Zapominając o wszelkiej logice, Adam puścił się pędem w kierunku Kirby.

- Idzie! Idzie! - wołał.

Kirby poderwała się natychmiast i ruszyła biegiem alejką, prowadzącą za róg domu.

Adamowi nie było łatwo ją dogonić, tak była zwinna i szybka. Gdy wreszcie znaleźli się za rogiem, zatrzymali się, chichocząc i dysząc z wysiłku.

- Udało się! - cieszyła się Kirby.

- Jakimś cudem - dorzucił.

Wspólna przygoda zbli yła ich na tyle, e wzięcie jej w ramiona wydawało się Adamowi naturalnym gestem. Niewiele myśląc, przytulił ją mocno i zaczął scałowywać z jej policzków krople deszczu. Chciał mieć ją jak najbli ej, czuć zapach jej włosów, słodki smak jej ust, chciał mieć ją tylko dla siebie...

Kirby nie planowała tego. Owszem, pragnęła się zakochać, ale nie tak nagle, w jednej chwili. Miało się to stać powoli, stopniowo, tak by w razie czego miała mo liwość się wycofać. Nie była na to gotowa!

- Zdaje się, e zgnetliśmy je dokumentnie. - Potrząsnęła kwiatami, które jakimś cudem znalazły się między nimi. - Proszę, to dla ciebie.

- Jak to? - zdziwił się.

- Nie lubisz kwiatów? - Sprawiała wra enie autentycznie zmartwionej.

- Bardzo lubię - odparł cicho, starając się ukryć wzruszenie. - Ale chyba nigdy jeszcze nie dostałem

od nikogo kwiatów.

- Naprawdę? - zdziwiła się, bowiem ona na tyle przywykła do otrzymywania kwiatów, e nie przywiązywała ju do nich większego znaczenia. - Gdybym wiedziała, zerwałabym jeszcze więcej.

Za ich plecami okno otwarło się z hukiem.

- Nie macie nic lepszego do roboty jak stać na deszczu i się migdalić? - rozległ się poirytowany głos Philipa Fairchilda. - Natychmiast wracajcie do domu! Nie cierpię, jak ktoś kicha i pociąga nosem. - Zatrzasnął okno.

- Jesteś cały mokry - stwierdziła Kirby, jak gdyby dopiero teraz zauwa yła, e pada.

Ująwszy go pod ramię, pociągnęła do wejścia. Zanim zdą yła poło yć dłoń na klamce, Cards otworzył przed nimi drzwi.

- Dziękujemy. Potrzebujemy wazonu na te kwiaty, Cards. Postaw je proszę w pokoju pana Hainesa, tylko tak, eby Jamie niczego nie zauwa ył - zastrzegła.

- Naturalnie, panienko. - Kamerdyner odebrał od nich ociekające wodą kurtki oraz kwiaty i powędrował korytarzem.

- Skąd go wytrzasnęliście? - nie wytrzymał Adam.

- Jest niesamowity.

- Cards? Papa przywiózł go z Anglii - wyjaśniła, otrząsając się z wody jak psiak. -

Podejrzewam, e był tam albo szpiegiem, albo wykidajłą. W ka dym razie sprawia wra enie kogoś, kto wiele widział w yciu.

- Jak tam, dzieci, dobrze się bawiliście? - zawołał Philip Fairchild, wychylając się z salonu. - Ukończyłem obraz i teraz mogę w pełni skoncentrować się na rzeźbie. - Uśmiechnął

się z satysfakcją. - Pora zadzwonić do Victora Alvareza - zwrócił się do córki.

- Ju wystarczająco długo się naczekał.

- To poczeka jeszcze chwilę, a my tymczasem napijemy się kawy - zdecydowała, posyłając jednocześnie ojcu ostrzegawcze spojrzenie, które uszłoby uwagi Adama, gdyby jej nie obserwował uwa nie.

Przez resztę dnia robiła wszystko, eby go zająć, tote Adam domyślił się, e dzieje się coś, o czym nie chcą, aby się dowiedział. Kirby obsługiwała go starannie podczas kolacji, a gdy siedzieli w salonie przy kawie i brandy, zabawiała go o ywioną rozmową na temat malarstwa baroku. Jednocześnie bez przerwy obserwowała uwa nie ojca.

- Która godzina w Brazylii? - zapytał ni z tego, ni z owego Fairchild.

- Nie mam pojęcia - odparła Kirby, karcąc go wzrokiem. - Czy to takie wa ne?

- Owszem - odrzekł, nic sobie nie robiąc z jej groźnych spojrzeń. - Idę do siebie.

Dobranoc, moi drodzy.

Córka odprowadziła go wzrokiem. Wyraźnie spięta, posiedziała jeszcze kilka minut w salonie, po czym szybko po egnąła się pod pretekstem nie najlepszego samopoczucia. Adam równie udał się do siebie, aby zło yć meldunek z wydarzeń, których był świadkiem poprzedniego wieczoru.

- Wszystko zdaje się układać w logiczną całość - skomentował McIntyre. W jego głosie słycać był ogromną satysfakcję. - Gratuluję, udało ci się zebrać wyjątkowo du o wiadomości w tak krótkim czasie. Sprawdziliśmy Hillera i wyobraź sobie, e potwierdziło się, e yje ponad stan, a jego zdolność kredytowa kurczy się z ka dym dniem. Nie masz adnych podejrzeń, gdzie Fairchild mo e trzymać obraz?

- Niestety nie - westchnął Adam. - Dziwię się, e nie powiesił go najbardziej wyeksponowanym miejscu domu, to byłoby w jego stylu. Wspomniał dziś kilka razy o jakimś Victorze Alvarezie z Brazylii, chyba szykuje jakiś kolejny interes.

- Zobaczę, co mi się uda dowiedzieć. Mo e chodzi właśnie o Rembrandta.

- Wątpię, przecie Fairchildowi pieniędzy raczej nie brakuje - zauwa ył Adam.

- Mo e i tak, ale są ludzie, którym nigdy dosyć.

- Mo e... - powtórzył z powątpiewaniem. - Odezwę się, gdy tylko będę miał jakieś nowe informacje.

Poznawszy ju trochę Philipa Fairchilda, Adam nie mógł uwierzyć, e powodowała nim chęć zdobycia majątku, w ogóle to do niego nie pasowało. Chcąc jak najszybciej rozwikłać zagadkę, udał się na nocne poszukiwania.

Następnego dnia przed południem Kirby pozowała Adamowi przez ponad dwie godziny. Nie dość, e się nie opierała, to jeszcze była miła i czarująca. Adam nie miał

najmniejszych wątpliwości, e chciała go w ten sposób zdezorientować. Nie wiedział, e oprócz tego jej drugim celem było odwrócenie jego uwagi od przygotowań, związanych z wysyłką Van Gogha.

Ostatniej nocy Adam zakończył przeszukiwanie drugiego piętra, ale nie natrafił nawet na ślad Rembrandta. Najwy sza pora rozejrzeć się gdzieś indziej, pomyślał z rezygnacją, kładąc się do łó ka grubo po północy.

Fairchild powiedział córce, e wło ył du o serca w znalezienie odpowiedniej kryjówki dla tego obrazu, co prawdopodobnie wykluczało lochy i tajemne korytarze. Nie pozostawało nic innego, jak przetrząsnąć pokoje samego gospodarza, choć na razie Adam nie miał

pomysłu, jak i kiedy ma to uczynić.

Po zakończeniu pozwania Kirby zajęła się swoją pracą, Adam zaś spacerował

głównym korytarzem na parterze, przez nikogo nie niepokojony. Był tu gościem, nikt nie poddawał w wątpliwość jego obecności. Oczywiście z tego właśnie powodu McIntyre powierzył mu to zadanie, ale Adama coraz częściej dręczyło sumienie. Nikt nie podejrzewał go o szpiegowanie, bo należał do tej samej grupy społecznej i zawodowej, co gospodarze tego domu. A jak on się odwdzięczał za ich serdeczność i gościnność?!

Mam dość, pomyślał, zerkając za okno na ciemniejące niebo. Był już zmęczony targającymi go wątpliwościami, a czekał go jeszcze długi wieczór. Najwyższa pora, by przebrać się na przyjęcie u Melanie Burgess. Westchnąwszy ciężko, ruszył po schodach na pierwsze piętro.

- Przepraszam najmocniej, panie Haines - zatrzymał go w pół kroku damski głos. -

Idzie pan na górę? - zapytała Tulip.

- Tak - odparł, odsuwając się, aby ją przepuścić.

- W takim razie proszę zanieść to pannie Fairchild i nakłonić, eby to wypiała. - Tulip wcisnęła mu szklankę białego płynu. - Do dna - dodała surowo, po czym szybko zawróciła do kuchni.

Zdumiony nietypowym zachowaniem służącej, wpatrywał się w zawartość szklanki.

Có to za pomysł, eby służba wydawał polecenia gościom? Być może ekscentryczność była w tym domu zaraźliwa?

Wąchając biały płyn, Adam zapukał do drzwi Kirby.

- Moesz wejść - zawołała z oddali. - Ale nie łudź się, nie wypiję tego, moesz mnie straszyć, ile chcesz. Zaciekawiony, wszedł do pokoju, ale Kirby tam nie było. Dobiegł go natomiast ciepły, kwiatowy zapach płynu do kąpieli, wydobywający się wraz z parą wodną zza uchylonych drzwi do łazienki.

- Twoje opowieści o awitaminozie i niewydolności układu trawiennego w ogóle mnie nie przekonują - ciągnęła. - Jak widzisz, nadal jestem zdrowa jak ryba.

Wszedł do łazienki. Kirby leżała w wannie pełnej wody i pachnącej piany. Wysoko nad jej głową wisiały egzotyczne rośliny, wilgotne od skraplającej się na nich pary wodnej.

- A więc przysłała cię? - skonstatowała z uśmiechem. Kątem oka sprawdziła, czy piana zasłania ją w wystarczającym stopniu. - Wejdz i przestań robić taką wystraszoną minę, nie bój się, nie poproszę cię, ebyś mi umył plecy. - Sięgnęła po mydło. - Wiesz w ogóle, co mi przyniosłeś? To mikstura autorstwa Tulip, zło ona z surowych jajek i innych obrzydlistw.

- Wysunęła z piany nogę, aby ją namydlić. - Powiedz szczerze, czy z własnej woli wypiłbyś surowe

jajko?

- Przyznam szczerze, e raczej nie - odparł, nie odrywając spojrzenia od jej zgrabnej łydki.
- No właśnie - ucieszyła się. - W takim razie wylej to do umywalki.
- Tulip powiedziała, e mam przypilnować, ebyś wypła do dna - poinformował z rozbawieniem.
- Hmm, to niedobrze. - W zamyśleniu przygryzła dolną wargę. - Wiesz, co zrobimy?

Wypiję łyżeczek, a ty powiesz Tulip, e piłam.

- Nie jestem pewien, jak to się ma do prawdy - zawahał się, podając jej szklanę.
- Chyba, e masz ochotę wypić resztę - zaproponowała, łyknąwszy odrobinę. - Nie mam nic przeciwko temu.
- Nie, nie, chyba dziękuję. - Wylał resztę do umywalki, po czym przysiadł na brzegu wanny.

Zaskoczona tym Kirby upuściła mydło do wanny.

- A niech to! - syknęła. - e te nikt do tej pory nie wpadł na pomysł wyprodukowania mydła, które by się tak nie wyslizgiwało z rąk. - Wyłowiła mydełko.
- Dziękuję ci, Adamie, e przyniosłeś mi ten pyszny napój. Na pewno się spieszysz, eby...
- Ale skąd, mam mnóstwo czasu - zapewnił, sięgając po łyżkę. - Wspominałaś coś o myciu pleców...
- Złodzieje! - W pokoju rozległ się głos Fairchilda.
- Wezwijcie policję. Wezwijcie FBI. Adamie, będziesz świadkiem - zarządził artysta, nie zauważywszy nic nadzwyczajnego w tym, e jego córka kąpie się przy świadkach.
- Tak się cieszę, e mam du ą łazienkę - zauważyła z przekąsem Kirby. - Szkoda tylko, e nie pomyślałam o przygotowaniu poczęstunku. Co zginęło, papo? Portret Renoira czy uliczny krajobraz Moneta? A mo e skarpetki?
- Mój smoking! - wyjaśnił dramatycznym głosem jej ojciec. - Będziemy musieli zdjąć odciski palców.
- Oczywiście złodziejem jest fetyszysta z zamiłowaniem do strojów wieczorowych - podsumowała.

- Uwielbiam zagadki kryminalne. Zaczniemy od listy podejrzanych. Adamie, masz alibi?

- O, tak. - Uśmiechnął się promiennie. - Przez całe popołudnie uwodziłem Polly.

- Kiepskie alibi - zawyrokowała. - Ka dy wie, e na uwiedzenie Polly wystarczy kwadrans. Zapewne masz w szafie smoking.

- To poszlaki - bronił się.

- Nakaz przeszukania! - doznał olśnienia Fairchild. - Zdobędziemy nakaz przeszukania i sprawdzimy cały dom.

- Szkoda czasu. Wiesz, papo, najlepiej od razu idźmy do Cardsa.

- A więc to sprawka kamerdynera! - zachichotał triumfalnie jej ojciec. - Nie, nie, niemo liwe, Cards nie zmieściłby się w mój smoking.

- To prawda - zgodziła się Kirby. - Nie chcę być kapusiem, papo, ale słyszałam przypadkiem, jak Cards mówił Tulip, e zamierza wziąć twój smoking.

- e te nikomu na tym świecie nie mo na ju ufać - Fairchild poskar ył się Adamowi.

- Znam te jego motyw - kontynuowała Kirby.

- Czyszczenie i prasowanie. - Jestem pewna, e od razu się przyzna, gdy tylko go o to oskar ysz.

- Świetnie! - Jej ojciec zatarł ręce z radości. - Sam się tym zajmę, eby nie wzbudzać sensacji.

- Jesteś bardzo dzielny, papo - pochwaliła. - Chyba będziemy musieli kontynuować tę dyskusję w innym terminie, Adamie, piana zaczyna mi opadać.

Błyskawicznym ruchem chwycił za łańcuch i jednym szarpnięciem wyciągnął korek ze staromodnej wanny.

- Nadchodzi moment, gdy zajmiemy się czymś jeszcze poza dyskusjami -
zapowiedział.

Obserwując obni ający się drastycznie poziom wody, Kirby postanowiła się uciec do nonszalancji.

- Daj mi znać, gdy tylko będziesz gotowy - poprosiła.

- Z przyjemnością - odparł, po czym zostawił ją samą.

Gdy jakiś czas później schodził po schodach, dobiegł go oburzony głos Kirby.

- Ale oczywiście, e wypiłam to obrzydlistwo, jak kazałaś, Tulip - tłumaczyła z przekonaniem. - Przecie nie chcę narobić ci wstydu, mdlejąc z niedo ywienia na środku salonu Merricków.

Zamiast odpowiedzi rozległ się pełny niezadowolenia pomruk.

- Przecie od wieków noszę wysokie obcasy i nic mi się jeszcze nie stało -

zaprotestowała Kirby. - Nie są piętnastocentymetrowe, mają tylko siedem centymetrów wysokości! A i tak patrzę z dołu na ka dego, kto przekroczył dwanaście lat. Mo e zajmiesz się pieczeniem jakiegoś ciasta? - zaproponowała.

Mruczając coś pod nosem, Tulip wyszła z salonu.

- Dzięki Bogu, e ju jesteś, Adamie - powitała go Kirby. - Chodźmy, zanim znajdzie jeszcze jakiś powód do narzekania.

Ubrana była w ascetyczną białą suknię z miękkiego, łagodnie układającego się materiału, zakrywającą ramiona i sięgającą wysoko, pod samą szyję. Strój tej był

jednocześnie skromny jak habit zakonnicy i zmysłowy jak gorąca letnia noc. Rozpuszczone czarne, proste włosy opadały jej na plecy. Sięgnąwszy po krótką czarną pelerynę, jednym ruchem zarzuciła ją na ramiona. Wyglądała jak ywcem wyjęta z portretów Maneta, elegancka, romantyczna, ponadczasowa.

- Jesteś przepiękną istotą, Kirby - zauwa ył Adam.

Przez chwilę stali w milczeniu, spoglądając sobie prosto w oczy. Adam prawił ju bardziej wyrafinowane komplementy, ale

aden dotąd nie był tak szczery, jak ten

wypowiedziany przed chwilą. Kirby słyszała pochwały z ust ksią ąt, w wielu językach i w finezyjnej formie, ale nigdy jeszcze nie czuła takiego mrowienia wzdłu kręgosłupa.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się promiennie. - Nawzajem. - Podała mu dłoń. - Jesteś gotowy do wyjścia?

- Tak. A twój ojciec?

- Ju pojechał - odparła, kierując się w stronę drzwi. - Nie jeździmy razem na przyjęcia, zwłaszcza do Harriet. Papa woli być tam wcześniej i zostaje zwykle dłu ej, licząc na to, e uda mu się zaciągnąć Harriet do łó ka. Pojedziemy moim samochodem.

- Poprowadziła go w kierunku zaparkowanego przed wejście srebrzystego porsche. -

Nie masz nic przeciwko, ebym prowadziła?

Nie czekając na jego odpowiedź, zajęła miejsce za kierownicą.

- Piękna noc - zachwyciła się, przekręcając klucz w stacyjce. - Księ yc w pełni, rozgwie d one niebo.

- Przycisnęła pedał gazu. - Czego chcieć więcej?

- Ruszyła tak ostro, e siła bezwładności wcisnęła Adama w niski, sportowy fotel. -

Jestem pewna, e polubisz Harriet - kontynuowała, płynnie zmieniając biegi. - Jest dla mnie jak matka.
- Zredukowawszy bieg, z piskiem opon wjechała na główną drogę.

- Będzie tam oczywiście tak e Melly. Mam nadzieję, e na jej widok nie porzucisz mnie na cały wieczór.

Adam zaparł się stopami o podłogę auta.

- Czy ktokolwiek zwraca na nią uwagę, gdy jesteś obok? - zdumiał się.

I czy w ogóle dojadą ywi do domu Merricków?!

- Ale oczywiście! - zaskoczona jego pytaniem, odwróciła się, by na niego spojrzeć.

- Dobry Bo e, patrz, gdzie jedziesz! - zawołał, odwracając jej głowę z powrotem.

- Melly jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałam. - Ponownie redukując bieg, wjechała w zakręt, po czym gwałtownie przyspieszyła. - Do tego jest świetną projektantką. Podziwiam ją, jest taka honorowa, nie zgodziła się przyjąć ani grosza z pienię-

dzy swojego byłego mę a, gdy się rozwodzili. Za moment na prawo będzie wspaniały widok na dolinę rzeki Hudson - poinformowała, przechylając się na jego stronę, a samochód szarpnął niebezpiecznie w kierunku pobocza.

- Dziękuję, wolę przyjrzeć mu się z daleka - odparł lodowato, wepchnąwszy ją z powrotem w jej fotel.

- Zawsze tak prowadzisz?

- Tak - przyznała spokojnie. - A to droga do galerii. - Machnęła ręką w kierunku mijane go skrzy owania.

Adam zerknął na szybkościomierz.

- Jedziesz prawie sto czterdzieści na godzinę - zauwa ył z wyrzutem.

- Zawsze je d ę wolniej po zmroku.

- A to dopiero świetna wiadomość - mruknął.

- Tam, na szczycie skarpy widać dom Harriet - poinformowała. - Uwielbiam patrzeć na niego po zmroku, kiedy jest tak pięknie oświetlony.

Rzeczywiście, dom na skarpie robił ogromne wra enie, elegancki, stateczny i zupełnie ró ny od domu Fairchildów.

Nie zwalniając nawet na moment, Kirby wjechała pod górę wijącą się jak serpentyną dró ką, a

wreszcie zahamowała z piskiem opon przed głównym wejściem. Sięgnąwszy do stacyjki, Adam wyjął kluczyki i schował jej do kieszeni.

- Z powrotem ja prowadzę - zapowiedział.

- Jak to miło z twojej strony - ucieszyła się Kirby, wysiadając z pomocą lokaja. - Będę mogła wypić więcej ni jednego drinka. W taką noc najodpowiedniejszy będzie szampan -

zdecydowała, idąc w górę po schodach. - Witaj, Harriet! - zawołała, wpadając w objęcia postawnej rudowłosej kobiety. - Wspaniale cię znów widzieć. Auu, twój krokodyl chyba mnie ugryzł.

- Przepraszam, kochanie. - Harriet przytrzymała dłonią ekstrawagancki naszyjnik. - A to zapewne wasz gość - domyśliła się, oglądając Adama od stóp do głów. Ująwszy obydwójce w pól, poprowadziła ich do holu.

- Jestem pewna, Adamie, e masz w zanadrzu wiele fascynujących opowieści, które chętnie usłyszę.

- Uśmiechnęła się czarująco.

- Na pewno coś wymyślę - zapewnił, czym zaskarbił sobie jej pełne aprobaty spojrzenie.

- Cudownie! Jest ju sporo osób, niestety większość to snobistyczni przyjaciele Melanie - westchnęła gospodyni.

- Och, Harriet, musisz być trochę bardziej wyrozumiała - pouczyła ją Kirby.

- Wcale nie muszę - nie zgodziła się. - Ju od ponad godziny jestem szalenie uprzejma, jak przystało na gospodynię. Teraz, kiedy się zjawiłaś, mo esz mnie zastąpić.

- Witaj, Kirby! - zawołała Melanie, ubrana w srebrzystoblękitną suknię, wkraczając do holu. - Wyglądasz cudownie. - Uśmiechnęła się czarująco do Adama. - Cieszę się, e jesteś, zwłaszcza, e jest tu kilkoro twoich znajomych, na przykład Birminghamowie i Michael Towers z Nowego Jorku. Pamiętasz Michaela, Kirby?

- To ten szef agencji reklamowej, który zgrzyta zębami?

Harriet wybuchła serdecznym śmiechem, zaś Adam musiał się bardzo starać, by zachować powagę. Melanie westchnęła, przewracając oczami.

- Błagam, zachowuj się przyzwoicie - mruknęła, nie wiadomo, czy pod adresem przyjaciółki, czy mo e matki.

Adam znalazł się w towarzystwie, do jakiego przyzwyczajony był od urodzenia -

wśród eleganckich ludzi, prowadzących uprzejme, rozsądne rozmowy na czasem banalne tematy.

Po piętnastu minutach, odseparowany od Kirby, nudził się jak mops.

- Planuję wybrać się na wędrowkę po australijskim buszu - Harriet zwierzyła się Kirby. - Mo e pojedziesz ze mną? Pomyśl tylko, jaka to frajda gotować herbatę w kociołku nad ogniskiem?

- Mo e to i niezły pomysł? - zastanawiała się Kirby, która ju od jakiegoś czasu czuła, e potrzebuje zmiany otoczenia.

- Zastanów się - kusiła gospodyni. - Myślę, e wyruszę nie wcześniej jak za sześć tygodni. O, Adam! - Pochwyciła go pod rękę. - Czy by Agnes Birmingham zanudziła cię na śmierć? Nie, nie odpowiadaj, masz to wypisane na czole. Chodź do nas.

- Powiedzmy, e szukałem okazji do bardziej inspirującej rozmowy - odparł wymijająco, chętnie przyjmując zaproszenie.

- Świetnie. Podziwiam twoją twórczość, Adamie. Zapowiadam, e będę zabiegać o twój następny obraz.

- Teraz pracuję nad portretem Kirby - oznajmił.

- Zgodziła się ci pozować? - Harriet niemal zakrzuszyła się szampanem. - Pewnie musiałeś ją przykuć łańcuchem do fotela?

- Jeszcze nie, ale być mo e nadejdzie taka konieczność - odparł, spoglądając znacząco na Kirby.

- W takim razie tym bardziej muszę pozyskać twój obraz do galerii. Jeśli odmówisz, obiecuję, e zrobię ci przykrą scenę.

- A Harriet potrafi to jak nikt - zdradziła Kirby.

- Musisz koniecznie zobaczyć jej portret, który Philip namalował na moje zamówienie. Oczywiście jak zwykle nie chciała pozować, ale końcu się zgodziła się -

opowiadała Harriet, bawiąc się nóg kieliszka. - To było trzy lata temu, po jej powrocie z Pary a.

- Chętnie go zobaczę. Planowałem wizytę w twojej galerii.

- Ale on jest tutaj, w bibliotece - sprostowała.

- Mo e ju tam pójdziecie? - zaproponowała Kirby, spoglądając na nich spod zmarszczonych brwi. - Ju i tak rozmawiacie o mnie, jakby mnie tu nie było, więc równie dobrze mo ecie mnie faktycznie zostawić.

- Nie obra aj się, ty te mo esz z nami pójść, jeśli chcesz... No, no, niektórzy nie mają za grosz poczucia przyzwoitości - zauwa yła zmienionym tonem Harriet.

Kirby powędrowała wzrokiem za jej spojrzeniem. Do salonu wszedł Stuart. Nie minęła chwila, a Melanie znalazła się u jej boku.

- Tak mi przykro, kochanie - wyszeptała. - Liczyłam na to, e mimo wszystko nie przyjdzie.

- Nie przejmuj się tym a tak bardzo. Gdyby przeszkadzała mi jego obecność, nie zjawiałabym się dziś tutaj - zapewniła nonszalancko Kirby.

- Muszę go przywitać, nie wypada inaczej - westchnęła jej przyjaciółka, wyraźnie rozdarta między lojalnością a dobrymi manierami.

- Oczywiście zamierzam go zwolnić - zapowiedziała Harriet, gdy jej córka poszła spełnić powinność gospodyni. - Ale chcę to zrobić dyskretnie.

- Zwolnij go, jeśli jesteś z niego niezadowolona, ale nie rób tego z mojego powodu - poprosiła Kirby.

- Zdaje się,

e będziemy świadkami przedstawienia, Adamie - zauważyła z niesmakiem Harriet, gdy Hiller ruszył w ich kierunku.

- Cudownie wyglądasz, szefowo. - Uprzejmy, wręcz słuchaj ton głosu w niczym nie przypominał tego, który przed paroma dniami dobiegał z pracowni Fairchilda. - Afryka wyraźnie ci posłużyła.

- Nie spodziewaliśmy się ciebie, Stuarcie - odparowała gospodyni.

- Faktycznie, jestem ostatnio szalenie zajęty. Świetnie wyglądasz - zwrócił się do Kirby.

- Ty także - odwzajemniła komplement. - Wy się chyba nie znacie. Adamie, to Stuart Hiller. Stuarcie, znasz chyba obrazy Adama Hainesa, prawda?

- Owszem. - Jego uścisk dłoni był uprzejmy i beznamiętny. - Na długo w naszych stronach?

- Póki nie ukończę portretu Kirby - odparł Adam, z satysfakcją odnotowując triumfalny uśmiech Kirby oraz grymas na twarzy Stuarda. - Obiecałem Harriet, e jako pierwsza pokażę go w swojej galerii.

Tym prostym komentarzem podbił serce Harriet, której twarz rozpromienił uśmiech.

- Z pewnością będzie to cenny nabytek dla naszej galerii - zauważył Hiller. - Nie udało mi się skontaktować się z tobą w Afryce, a od czasu twego powrotu miałem straszliwe urwanie głowy. Sprzedałem portret kobiety Tycjana Ernestowi Myerlingowi.

Znad krawędzi kieliszka Adam obserwował, jak Kirby zbladła jak płótno.

- Nie przypominam sobie, ebyśmy rozmawiali o sprzedaży Tycjana - odparła lodowatym tonem Harriet.

- Jako e ten obraz nie figuruje na liście twojej prywatnej kolekcji, uznałem, e jest do sprzedania - wyjaśnił spokojnie. - Myślę,

e będziesz zadowolona z ceny, jaką

wynegocjowałem. Myerling nalegał na test autentyczności. Obawiam się, e traktuje ten zakup w kategorii inwestycji. Pomyślałem, e mo e chciałabyś być jutro obecna podczas testu.

Kirby poczuła, jak z przerażenia zaczyna jej się kręcić w głowie.

- Test autentyczności?! - powtórzyła z oburzeniem Harriet. - Jak on śmie wątpić w autentyczność obrazu z mojej galerii! Zresztą to nieistotne, Tycjan nie jest na sprzedaż, a już na pewno nie dla takiego ignorantą jak Myerling.

- Ale moja droga, nie ma się co obruszać, takie testy to dziś standardowa procedura -

starał się ją udobruchać, w obawie przed utratą niebagatelnej prowizji. - Myerling jest biznesmenem, a nie znawcą sztuki, więc trudno mu się dziwić. Zresztą wszystkie formalności zostały już dopełnione, więc sprzedaż Tycjana nie da się już uniknąć bez szkody dla reputacji galerii.

- Porozmawiamy o tym jutro rano - zdecydowała gospodyni. - To nie czas ani miejsce na takie dyskusje.

- Pójdę po jeszcze jednego drinka - wtrąciła się nagle Kirby, po czym obróciwszy się na pięcie, wmieszała się w tłum gości.

Po krótkich poszukiwaniach odnalazła ojca, który prowadził ożywioną dyskusję na temat różnorodności dorobku artystycznego Salvadora Dali.

- Papo, muszę z tobą porozmawiać - wyszeptała, ciągnąc go za rękaw. - Natychmiast.

Słyszając w jej głosie stanowcze sądanie, Fairchild pozwolił się wyprowadzić z salonu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zamknawszy starannie drzwi biblioteki, Kirby oparła się o nie plecami.

- Jutro rano Stuart będzie testować Tycjana - oznajmiła bez zbędnych wstępów. -

Sprzedał go.

- Sprzedał?! - powtórzył jej ojciec, czerwieniąc się intensywnie. - Niemożliwe, Harriet by nigdy się go nie pozbyła.

- Stuart sprzedał go, gdy Harriet była w Afryce - wyjaśniła, przeczesując włosy palcami. - Właśnie jej o tym powiedział.

- A nie mówiłem, że to skończony głupiec?! - zdenerwował się Fairchild. - Mówiłem tobie i mówiłem Harriet, ale żadna z was mnie nie słuchała. - Zaczął chodzić w tę i z powrotem. - Jak mogła wyjechać, zostawiając go bez żadnego nadzoru?!

- Papo, nie pora teraz na biadolenie, musimy jak najszybciej zacząć działać.

Philip Fairchild zamknął oczy i kilka razy wciągnął głęboko powietrze w płuca.

- No to mamy problem - oznajmił ju spokojniejszym tonem. - Czy jest jakaś szansa, eby Stuart wycofał się z transakcji?

- Mówi, e od strony formalnej wszystko jest ju załatwione - wyjaśniła. - Kupcem jest Myerling.

- Ten stary drań! - Ojciec ze złością kopnął w nogę biurka. - W takim razie nie ma mo liwości anulowania. Następnym logicznym krokiem jest zamiana obrazów.

- Te o tym pomyślałam - zgodziła się. - Tylko e ktoś umieścił Adama w pokoju, w którym znajduje się obraz. Teraz musimy podmienić Tycjana tak, eby Adam się nie zorientował. Ciekawa jestem, jak zamierzasz tego dokonać? Chyba zdą yłeś się ju przekonać, e Adam nie jest głupcem?

- Potrzebujemy planu...

Westchnąwszy cię ko, Kirby opadła na pobliski fotel.

- Wiem! - oznajmiła triumfalnie po chwili milczenia. - Zadzwonimy do Cardsa i polecimy mu, eby zanim wrócimy przeniósł obraz do mojego pokoju.

- Ty to masz głowę! - pochwalił ojciec.

- To dziedziczne. - Uśmiechnęła się. - Mój pomysł jest następujący... - zni yła głos do szeptu.

- Powinno się udać - zawyrokował Fairchild parę minut później.

- Nie mamy stuprocentowej pewności, ale wygląda na to, e nie ma innego wyjścia.

Jeśli tabletki zadziałają poprawnie, Adam będzie spał na tyle twardo, e nie dowie się o zamianie. - Pokręciła głową z niezadowoleniem. - Czuję się podle, robiąc mu coś takiego.

- Przynajmniej dobrze się wyśpi - pocieszył ojciec. - Chodźmy ju lepiej, bo zaczną nasz szukać.

- Idź pierwszy, ja zadzwonię do Cardsa, eby ju zaczął przygotowania.

Gdy została sama, podeszła do biurka, na którym stał telefon. Poza przykrą częścią, związaną z Adamem, cała akcja wydawała się szalenie ekscytująca, zdecydowanie ciekawsza ni przyjęcie. Przekazawszy Cardsowi polecenia, odło yła słuchawkę na widełki i właśnie miała wrócić do towarzystwa, gdy w drzwiach biblioteki stanął Stuart.

- A, tu jesteś! - Uśmiechnął się fałszywie. - Musimy porozmawiać - oznajmił, zamykając są sobą drzwi.

Tylko nie teraz, pomyślała ze znu eniem. I bez tego dość miała zmartwień, naprawdę nie miała ochoty wracać myślami do tego, jak bardzo zranił ją swymi kłamstwami i obłudą.

- Wydawało mi się, e wyczerpaliśmy temat podczas naszego ostatniego spotkania -

odparła niechętnie.

- Jeszcze nie.

- Nie lubię się powtarzać, ale skoro sam tego chcesz, proszę bardzo. - Wzruszyła ramionami. - Jesteś ałosnym oszustem, Stuarcie. Brzydzą się twoją chciwością i bardzo się cieszę, e nie dałam ci się dotknąć ani do siebie, ani do moich pieniędzy. Chciała go minąć i wyjść, ale chwycił ją za ramię.

- Zanim zaczniesz obrzucać kogokolwiek błotem, pomyśl o wątpliwych moralnie zwyczajach swego ojca - wycodził przez zęby.

Przyjrzała się jego dłoni, po czym przeniosła spojrzenie na jego twarz.

- I ty się chcesz się równać z moim ojcem?

- Zaśmiała się ironicznie. - Nigdy nie będziesz w stanie mu dorównać. Jesteś podrzędnym artystą i podrzędnym człowiekiem.

Stuart zamachnął się i uderzył ją z całej siły w policzek, tak e a się zachwiała.

Nawet nie jęknęła, tylko jej oczy zwęziły się niebezpiecznie, gdy ponownie na niego spojrzała. Nie czuła fizycznego bólu, cierpiała tylko dlatego, e nie mogła mu się odpłacić pięknym za nadobne.

- Potwierdziłeś właśnie moją opinię - odparła, ocierając policzek wierzchem dłoni.

Chciał uderzyć ją ponownie, ale rozsądek zwyciężył, więc tylko zacisnął dłonie w pięści.

- Mam ju dosyć zabawy w kotka i myszkę, Kirby - ostrzegł. - Chcę Rembrandta.

- Gdybym się dowiedziała, e papa chce ci go przekazać, własnoręcznie pocięłabym płótno na kawałki - odparowała.

- Macie dwa dni. - Potrząsnął ją mocno za ramiona. - Daję wam dwa dni, a jeśli nie dostanę obrazu, zapłacisz mi za to!

- Widzę, e twoim jedynym orę em są groźby i przemoc fizyczna. Ja mam bardziej finezyjne sposoby radzenia sobie z takimi jak ty. Myślisz, e jesteś taki przebiegły? -

Zaśmiała mu się prosto w oczy.

- Twoja przewaga nade mną jest tylko przejściowa.

- Powiedziałbym, e nawet bardzo przejściowa - wtrącił się Adam, zamykając za sobą drzwi. - Zabierz ręce, Hiller.

Mocny uścisk na ramionach Kirby ustąpił. Stuart poprawił krawat, wyraźnie starając się odzyskać panowanie nad sobą.

- Zapamiętaj sobie to, co powiedziałem, Kirby - poradził. - Mo e ci się to przydać.

- Wiesz, jak Byron określił kiedyś zemstę kobiety?

- odparowała. - Porównał ją do skoku tygrysa, bo jest tak samo szybka, powalająca i zabójcza. Zapamiętaj to sobie, mo e ci się przydać.

- Dotknij ją jeszcze raz, a będziesz miał ze mną do czynienia - zapowiedział Adam, otwierając drzwi.

- To te powinieneś sobie zapamiętać.

Gdy zostali sami, Adam podszedł do Kirby, która stała przy oknie, wpatrując się w ciemność.

- Niezły z niego drań - skomentował. - A ty jesteś niesamowita. Niejedna kobieta płakałaby i prosiła o litość, będąc na twoim miejscu, a ty nie dałaś mu się zastraszyć.

- Nie mam w zwyczaju prosić o litość. - Uśmiechnęła się słabo, nie odwracając się. -

Płakać przez Stuarta tak e nie zamierzam.

- Dr ysz - zauwa ył z troską, kładąc dłoń na jej ramionach.

- To ze złości - skłamała, nie chcąc okazać słabości, nawet przed nim. - Dziękuję, e byłeś taki rycerski.

- Nie ma sprawy. - Pocałował ją w czubek głowy.

- Mo e byśmy... - urwał gwałtownie, gdy próbując obrócić ją ku sobie, spostrzegł

czzerwony ślad na jej policzku.

Jego oczy załśniły złowrogo. W następnej sekundzie odwrócił się na pięcie i bez słowa ruszył do drzwi.

- Nie! - zawołała, biegnąc za nim. - Proszę, nie mieszaj się do tego!

Złapała do za ramię, ale nie zatrzymał się, więc jednym susem wyprzedziła go i zasłoniła sobą wyjście. Łzy, których nie zdołał wycisnąć z jej oczu Stuart, popłynęły po policzkach.

- Proszę, nie chcę, ebyś załatwiał za mnie moje sprawy. Proszę!

W pierwszej chwili chciał ją odsunąć od drzwi i wmieszać się w tłum gości, aby dostać w swe ręce Hillera, ale jej łzy sprawiły, e zmienił zdanie.

- Dobrze, skoro tego sobie yczysz - zgodził się.

- Ale wiedz, e tylko odwlekasz to, co nieuniknione.

Nagle poczucie ulgi sprawiło, e zakreśliło jej się w głowie, więc zamknęła na moment oczy. Gdy ponownie podniosła powieki, Adam wciąż wpatrywał się w nią intensywnie, ale w jego spojrzeniu nie było ju chłodu.

- Pewnie przyszedłeś tu zobaczyć mój portret? - zagadnęła. - Wisi nad biurkiem. -

Wskazała gestem dłoni.

- Zaraz się mu przyjrzę - odparł, nie odrywając od niej wzroku. - Ale najpierw zajmę się oryginałem.

To powiedziawszy, przytulił ją mocno i trzymał tak bez słowa przez parę minut.

Opierając głowę na jego piersi, czuła, jak wypełnia ją spokój, znika napięcie i ból.

- Przepraszam cię, Adamie - wyszeptała nagle, przypomniawszy sobie o planie, który ju zaczęła wprowadzać w ycie.

- Za co? - zdumiał się.

- Nie mogę tego powiedzieć. - Przytuliła się jeszcze mocniej, najmocniej jak umiała. -

Ale przepraszam cię.

Droga powrotna zajęła im więcej czasu ni przyjazd, a to z tej prostej przyczyny, e tym razem to Adam siedział za kółkiem, tak jak to obiecał. Kirby siedziała w milczeniu, co przypisałby zapewne prze yciom, związanym z osobą Hillera, gdyby nie fakt, i obserwował

jej dziwną reakcję na wiadomość o sprzedaży Tycjana.

- A ten obraz Tycjana, który Stuart sprzedał, od dawna nale y do Harriet? - zagadnął

niby od niechcenia, udając, e nie widzi, jakie wrażenie zrobiło na niej to pytanie.

- O, tak, od lat. Ta twoja znajoma, pani Birmingham, wygląda jak wielka gruszka, nie sądzisz? - zmieniła temat.

- Mo liwe, nie zwróciłem uwagi. Szkoda, e Tycjan został ju sprzedany, jestem ogromnym miłośnikiem jego malarstwa. Ten obraz w moim pokoju jest wyśmienity - ocenił.

Kirby wydała z siebie dźwięk, który mógłby uchodzić za nerwowy chichot.

- Ten w galerii jest równie wyśmienity. Ach, nareszcie w domu! Zostaw samochód przed wejściem, Cards się nim zajmie. O, jest ju papa - zawołała, wysiadając z auta. -

Pewnie znowu mi się nie powiodło z Harriet. Mo e masz ochotę na drinka przed snem?

Nie czekając na jego odpowiedź, ruszyła po schodach. Adam domyślił się, e za chwilę zostanie

zamieszany w jakąś pospiesznie zaplanowaną intrygę, dlatego nie opierał się wcale, chcąc się przekonać, co knują.

- Za du o ludzi na tym przyjęciu - oznajmił Philip Fairchild, otwierając im drzwi. -

Wolę bardziej kameralne imprezy. Chodźmy do salonu, napijemy się, poplotkujemy.

Nie rób takiej zatroskanej miny, błagała go w myślach Kirby.

- Pójdę poprosić Cardsa, eby zajął się samochodami - oświadczyła.

Gospodarz zachichotał, po czym klepnął Adama po przyjacielsku w plecy.

- Nie spiesz się - poradził. - Chwilowo mam dość babskiego towarzystwa.

- Jak to miło z twojej strony! - obruszyła się.

- W takim razie pójdę jeszcze do kuchni i wyjem całe ciasto cytrynowe, które Tulip miała upiec pod naszą nieobecność.

- A to łobuzica! - mruknął jej ojciec, z rozrzewnieniem myśląc o słodkiej przekąsce. -

Za to my się napijemy whisky.

Adam obserwował ka dy jego ruch.

- Widziałem portret Kirby w bibliotece Harriet - zagadnął. - Świetny.

- Dziękuję. Rzeczywiście, wyjątkowo mi się udał.

- Fairchild sięgnął po karafkę Chivas Regal. - Harriet bardzo lubi moją Kirby. -

Zwinnym ruchem wydobyl z kieszeni dwie tabletki i wrzucił je do szklanki z alkoholem.

Gdyby Adam go nie obserwował, nie miałby najmniejszej szansy spostrzec, e coś takiego w ogóle miało miejsce. Najwyraźniej chcieli go na jakiś czas usunąć z drogi. Z

uśmiechem przyjął szklaneczkę z rąk gospodarza, po czym odwrócił się, aby nacieszyć oczy pejza em pędzla Corota.

- Podziwiam sposób, w jaki Corot oddaje grę światła i cienia - zauwa ył, pociągnąwszy maleńki łyk whisky.

- Ja te mam ogromną słabość do jego obrazów - przyznał entuzjastycznie Fairchild. -

Szczególnie podziwiam go za to, e potrafił oddać tak wiele szczegółów, jednocześnie nie przeładowując nimi kompozycji. Popatrz chocia by na te liście tutaj... - Odstawiwszy drinka, wyciągnął dłoń, aby wskazać interesującą go część obrazu.

Adam tylko na to czekał. Nie przestając przysłuchiwać się wykładowi, podmienił

szklaneczki i z przyjemnością posmakował znakomitego napoju.

Jak się okazało na górze, Tycjan ju stał w rogu sypialni Kirby, zapakowany starannie w kilka warstw papieru.

- Dzięki ci, Cards - wyszeptała z wdzięcznością. Zerknąwszy na zegarek, usiadła w fotelu, aby odczekać dziesięć minut, a proszki zaczął działać. Wreszcie podniosła się i jak najciszej potrafiła, zeszła po schodach, dźwigając cię ki obraz.

Tymczasem w salonie Adam stał w milczeniu, przypatrując się jej ojcu, który pochrapywał na sofie. Ju miał się udać na poszukiwanie Kirby, gdy na podjeździe dał się słyszeć ryk silnika porsche.

- Hola, kochanie, samej cię nie puszczę - mruknął pod nosem, po czym wybiegł na zewnątrz i błyskawicznie zasiadł za kółkiem rolls - royce'a Fairchilda.

Kirby, podekscytowana niecodzienną misją, pędziła na złamanie karku krętą drogą, prowadzącą do galerii. Zaparkowawszy w bezpiecznej odległości dwustu metrów od budynku, wyjęła obraz z auta i ruszyła wawym krokiem, postukując obcasami. Przez gałęzie drzew widać było ceglana siedzibę galerii, oświetloną jasnymi promieniami księ yca.

Zerknęła na zegarek. Za jakąś godzinę powinna być z powrotem w domu. Mo e w nagrodę faktycznie zje kawałek tego pysznego cytrynowego ciasta?

Nagle poczuła na ramieniu czyjaś dłoń. Obróciła się na pięcie. O, do licha, pomyślała, spoglądając na Adama.

- Nocny spacer? - zapytał.

- Witaj, Adamie. - Uśmiechnęła się uprzejmie, ałując, e nie mo e tak po prostu rozplynać się w powietrzu. - A co ty tu robisz?

- Postanowiłem dotrzymać ci towarzystwa.

- To miło z twojej strony. Myślałam, e gawędzisz sobie z papą przy szklaneczce whisky o sztuce i innych męskich sprawach.

- Niestety, zasnął - poinformował, patrząc jej prosto w oczy.

- Naprawdę? - Przyjrzała mu się badawczo. - Có , nale ało mu się, pewnie był zmęczony tym tłokiem na przyjęciu. Mam nadzieję, e uło yłeś go wygodnie.

- A co tam masz w tej paczce? - zainteresował się Adam.

- W paczce? - powtórzyła, trzepocząc rzęsami. Postukał palcem w obraz.

- Ach, w tej paczce? Mam pewną sprawę do załatwienia - odparła wymijająco. - Nie powinieneś ju wracać? Robi się późno.

- Nie ma mowy. - Pokręcił głową.

- Tak myślałam - mruknęła z rezygnacją.

- Co masz w paczce, Kirby i co zamierzasz z tym zrobić?

- Dobrze ju , dobrze. - Podała mu pakunek, bo zaczynały ju jej mdleć ręce. - W

sumie winna ci jestem wyjaśnienie, a poza tym i tak wiem, e nie pójdziesz sobie, póki się nie dowiesz. W środku jest portret kobiety Tycjana i zamierzam go powiesić go w galerii.

Zmarszczył brwi. Tyle domyślił się sam, bez jej podpowiedzi.

- Nie wiem czemu, ale odniosłem wra enie, e portret kobiety Tycjana ju tam wisi.

- Nie... - zawahała się. Gdyby tylko mogła skorzystać z jakiegoś kłamstewka, czy półprawdy! - To jest Tycjan - wyznała zgodnie z prawdą. - W galerii wisi obraz Philipa Fairchilda.

Przez chwilę stali w milczeniu.

- Czy dobrze rozumiem, e twój ojciec podrobił obraz Tycjana i przemycił go do galerii jako oryginał?

- Ale skąd! - oburzyła się. - Jeśli będziesz obra ał mojego ojca, nie powiem ci nic więcej! - zagroziła.

- Przepraszam, nie mam pojęcia, skąd mi to w ogóle przyszło do głowy - za artował.

- No dobrze - przyjęła to za dobrą monetę. - Mo e zacznę od początku.

- Dobry pomysł - pochwalił.

- Przed paroma laty Harriet i papa byli na wakacjach w Europie. Natknęli się na ten obraz Tycjana, wpadli w zachwyty i ka de z nich twierdziło, e to ono pierwsze go spostrzegło. Jako e szkoda było przepuścić taką okazję, poszli na kompromis. - Ruchem ręki wskazała na pakunek. - Kupili obraz na spółkę, a po powrocie papa namalował jego kopię. Od tamtej pory zamieniają się co sześć miesięcy. Harriet powiesiła obraz w galerii, a papa na ścianie w pokoju gościnnym. Adam rozwa ał przez moment to, co powiedziała.

- To zbyt dziwaczna opowieść, ebyś mogła być wymyślona na poczekaniu - ocenił.

- Ale oczywiście, bo to szczerą prawdą. - Wydęła usta. - Nie ufasz mi?

- Nie - odparł krótko. - Kiedy wrócimy, będziesz musiała się długo tłumaczyć. A teraz powiedz, jak

zamierzasz dostać się do galerii?

- Za pomocą kluczy Harriet.

- Dała ci swoje klucze?

- Oczywiście! Harriet jest wściekła, a Stuart chce sprzedać ten obraz, ale póki nie zobaczy kontraktu, nie wie, czy zerwanie umowy grozi jakimiś konsekwencjami. Nie możemy ryzykować i poddać kopii testowi autentyczności, bo możemy wykazać, że obraz został

namalowany dużo później niż w szesnastym wieku.

- Czyli Harriet wie, że w jej galerii wisi podróbka? - upewnił się.

- Nie podróbka, ale kopia - poprawiła.

- A czy Merrick Gallery wiszą jeszcze jakieś inne kopie?

- Błagam, nie denerwuj mnie - jęknęła. - Wszystkie obrazy w galerii są autentyczne, podobnie jak należąca do Harriet połowa Tycjana.

- A czemu sama Harriet nie zajęła się podmianą?

- Po pierwsze dlatego, że nie udało jej się wyrwać z przyjęcia - wyjaśniła, zerkając niecierpliwie na zegarek. - Po drugie, gdyby oficjalnie pojawiła się w galerii w środku nocy, strażnik mógłby poinformować o tym Stuartha, który mógłby połączyć fakty i wszystkiego się domyślić.

- A co powie strażnik, gdy w środku nocy w galerii zjawi się Kirby Fairchild? - dąrył.

- Nic nie powie, bo nawet nas nie zauważy - oznajmiła z satysfakcją.

- Nas?! - powtórzył z oburzeniem.

- Skoro już tu jesteś i wiesz o wszystkim, na pewno jako detektyw pomożesz mi dokonać zamiany - podpuściła go. - Tylko musimy się pośpieszyć. Gdyby się jednak zdarzyło, że nas przyłapie, zdam się na mnie, jakoś nas wytłumaczę.

- Jasne, zdać się na ciebie - mruknął. - Zgoda, ale pod dwoma warunkami. Jeśli nam się uda i nie wylądujemy w więzieniu ani w szpitalu, chcę wiedzieć wszystko ze szczegółami.

A jeśli wsadzą nas do więzienia, zamorduję cię.

- To dwa warunki - zauważyła przytomnie. - Ale zgoda.

Stali naprzeciwko siebie, w milczeniu mierząc się wzrokiem. Ona zastanawiała się, ile może wyjawic, on zaś - ile może się dowiedzieć.

- Zabierajmy się do roboty - zarządził, wskazując, aby ruszyła przodem.

Kirby przeszła na skos przez trawnik wprost do głównych drzwi. Z głębokiej kieszeni peleryny wyjęła pęk kluczy.

- Te dwa odłączają alarm - wyjaśniła, przekręcając kolejno klucze w zamkach. - A tym otwiera się drzwi. - Uśmiechnęła się, słysząc szcęk odblokowujących się zapadek.

Odwróciwszy się, przyjrzała się uwa nie Adamowi. - Cieszę się, e obydwójce jesteście stosownie ubrani.

- Cóż, miejsce włamania zobowiązuje. Nie wypada wkradać się do tak szacownego gmachu w niedbałym stroju.

- Święte słowa. - Wsunęła klucze z powrotem do kieszeni peleryny. - Tycjan wisi w zachodnim skrzydle na pierwszym piętrze. Strażnik siedzi tu na parterze, w pomieszczeniu na tyłach budynku. Co godzinę powinien robić obchód, ale nie mam pewności, czy jest na tyle sumienny, by rzeczywiście stosować się do tej zasady.

- A o której godzinie rozpoczyna obchód, oczywiście zakładając, e go w ogóle rozpoczyna? - zainteresował się.

- O równej godzinie, co oznacza, e mamy dwadzieścia minut - poinformowała, zerknąwszy na zegarek. - Powinno wystarczyć, choć mielibyśmy więcej czasu, gdybyś nie był

taki dociekliwy.

Wyjąwszy latarkę z przepastnej kieszeni peleryny, oświetliła drogę po schodach.

Najwyraźniej doskonale orientowała się w układzie pomieszczeń w budynku galerii, gdy bez wahania skręciła w korytarz na pierwszym piętrze, a z niego do przestronnego pomieszczenia.

Oświetliwszy po kolei kilka obrazów, zatrzymała się przez kopią portretu Tycjana.

- A oto i on - wyszeptwała.

W tym świetle trudno było zorientować się, czy to faktycznie kopia, ale Adam obiecał

sobie, e gdy tylko znajdą się w bezpiecznym miejscu, przyjrzy się obrazowi uwa nie.

- Trudno je odróżnić, nawet ekspertowi - poinformowała Kirby, jak gdyby czytała w jego myślach.

- Harriet zna się na tym jak mało kto, ale ona sama nie zauważyła różnic. Nie jestem pewna, czy test wykazałby, e to nie jest oryginał. Papa ma swój tajemny sposób postarzania obrazów. eby mo na było odróżnić kopię od oryginału, namalował czerwone kółko z tyłu obrazu. Rozpakuję paczkę, a ty zdejmij obraz ze ściany - zarządziła, przyklękając, by zdjąć papier.

- Wiesz, nawet się cieszę, e się zjawileś - wyznała.

- Twój wzrost mo e okazać się bardzo przydatny.

W milczeniu wymienili się obrazami, po czym Kirby zabrała się do pakowania kopii, podczas gdy Adam wieszał oryginał. Oświetliwszy obraz latarką, przyjrzała mu się krytycznie.

- Trochę krzywo - zauwa yła. - Przesuń odrobinę w lewo.

- Słuchaj... - zaczął, ale urwał, gdy dobiegło ich ciche pogwizdywanie.

- Pospiesz się! - wyszeptała, chwytając pakunek.

- Kto by się spodziewał, e taki sumienny.

Szybkim ruchem Adam przycisnął ją do ściany w załomie muru. Rozbawiona tą sytuacją, miała ochotę zachichotać, ale powstrzymała się, wiedząc, e by go to rozwścieczyło.

Gwizdanie nasiliło się.

Kirby oczyma wyobraźni widziała strażnika, przechadzającego się niespiesznie po galerii w ciemności korytarzami, oświetlającego wybiórczo niektóre obrazy. Miała nadzieję, e Tycjan nie wzbudzi w nim większego zainteresowania.

Cienki snop światła przekroczył próg pomieszczenia, w którym się znajdowali. Kirby trzęsa się jak osika, Adam zaś zamarł w bezruchu, świadomy, e jeszcze paręnaście centymetrów, a zostaną zdemaskowani. Światło zatrzymało się w miejscu, chwilę później wycofało się i ponownie zapadła ciemność. Przez jakiś czas trwali jeszcze w bezruchu, czekając, a pogwizdywanie ucichnie.

- Wszystko w porządku - zapewnił szeptem Adam. - Poszedł sobie.

- Byłeś cudowny - pochwaliła, zasłaniając usta, by się nie roześmiać na głos. - Nigdy nie myślałeś o zmianie zawodu? Byłbyś świetnym włamywaczem.

Włoczył sobie pod pachę pakunek, wolną ręką stanowczym gestem ujął ją za ramię.

- Chodźmy! - zarządził, obiecując sobie w duchu, e jeszcze kiedyś odegra się na niej za te wszystkie tarapaty, w które go wpędziła.

- Mo e faktycznie nie jest to najlepsza pora na zwiedzanie galerii, a szkoda. W

następnej sali jest parę ładnych grafik i świetna martwa natura, którą namalował papa.

- Pod swoim własnym nazwiskiem? - zapytał z przekąsem.

- Ej, nie bądź złośliwy!

Zamilkli, aby bez przeszkód wydostać się z budynku. Gdy wreszcie znaleźli się w bezpiecznej odległości, ukryci za drzewami, Adam zatrzymał się.

- Wezmę obraz i pojedę za tobą - zarządził Adam. - Ostrzegam, jeśli przekroczysz osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, własnoręcznie cię uduszę.

Skinęła głową, po czym ruszyli w kierunku zaparkowanych aut.

- Bardzo ci dziękuję za pomoc, Adamie - odezwała się powa nym tonem Kirby. -

Mam nadzieję, e nie masz o nas złego zdania. Naprawdę zale y mi na twojej opinii.

- Jeszcze nie wiem, co o was myśleć - odparł, przesunąwszy palcem po jej policzku.

- To świetnie - ucieszyła się. - Nie spiesz się z decyzją.

- Wsiadaj i jedź - polecił, bo jej promienny uśmiech sprawił, e zmiękły mu kolana.

Ku jego zaskoczeniu Kirby rzeczywiście trzymała się znaczne poni ej limitu prędkości, tote droga powrotna zajęła im du o więcej czasu. Auta zaparkowali na podjeździe, aby Cards mógł się nimi zająć.

Kirby natychmiast udała się do salonu.

- Chyba mu całkiem wygodnie - uznała, spoglądając na pogrą onego w głębokim śnie ojca. - Na wszelki wypadek wyprostuję mu jeszcze nogi.

Adam oparł się o futrynę i przyglądał się, jak z troską układała ojca, zdjawszy mu buty i rozluźniwszy krawat.

- Wymanewrowano cię, papo - wyszeptała, po czym pocałowała go w łysiejące czoło.

- Musimy natychmiast porozmawiać - zdecydował Adam. - Chodźmy na górę.

Wyprostowawszy się, posłała mu łagodne spojrzenie.

- Skoro tak ładnie prosisz... - Sięgnęła po karafkę brandy i dwie szklanki. - Myślę, e mo emy odbyć przesłuchanie w kulturalnych warunkach - wyjaśniła, widząc pytanie w jego oczach.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Zanim naląa brandy do szklaneczek, włączyła ozdobioną ró owym aba urem lampkę, stojącą przy łó ku. Podawszy Adamowi drinka, zrzuciła szpilki i usiadła po turecku na łó ku.

Przypatrywała się, jak Adam rozpakowywał pakunek. Ze zmarszczonymi brwiami przyglądał się uwa nie śladom pędzla, kolorom, technice nakładania farby.

- To jest kopia? - zapytał z niedowierzaniem. Uśmiechnęła się.

- Z tyłu masz czerwone kółko, które papa namalował dla rozró nienia - przypomniała.

Adam zauwa ył znak, ale wciąż nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Dałbym sobie rękę uciąć, e to oryginał - przyznał z podziwem.

- Nie ty jeden.

Oparłszy obraz o ścianę, odwrócił się i popatrzył na nią. Wyglądała egzotycznie -

czarnowłosa, w kontrastowo białej sukni, uśmiechnięta zagadkowo. Postanowił szybko przejść do rzeczy, bo jeśli nie zada jej teraz nurtujących go pytań, a skupi się na podziwianiu jej urody, zaprzepaści tak doskonałą szansę zdobycia cennych informacji.

- Ile obrazów w kolekcji twego ojca to kopie?

- zapytał.

Powoli podniosła do ust kieliszek, chcąc zyskać na czasie. Czowała się ura ona tym pytaniem, ale tłumaczyła sobie, e przecie miał prawo je zadać.

- Wszystkie są autentyczne, poza tym Tycjanem - odparła spokojnie.

- Kiedy wspomniałaś o jego tajemnej technice postarzania obrazów, odniosłem wra enie, e nie dotyczy to tylko jednego obrazu - nie ustępował.

Jak mogła przypuszczać, e nie zwróci uwagi na to zdanie? Była na siebie zła, i nie pilnowała się lepiej i pozwoliła sobie na chwilę nieuwagi.

- Ufam ci - wyznała niespodziewanie. - Ale nie chcę cię mieszać w coś, czego nie powinienes wiedzieć, jeśli chcesz spać spokojnie. Proszę, spróbuj mnie zrozumieć.

Przez chwilę ogarnęły go wyrzuty sumienia. Przecie on tak e nie był wobec niej szczery, a wymagał, by zwierzała się z czegoś, co z ró nych przyczyn wolala zachować dla siebie.

- Pozwól, e to ja się będę martwił o swój spokojny sen - odrzekł, starając się zagłuszyć sumienie. - Ile kopii wyprodukował twój ojciec?

- Dziesięć... nie, jedenaście - wyznała szczerze. - Jedenaście, nie licząc Tycjana, który nale y do zupełnie innej kategorii.

- Do innej kategorii... - powtórzył, jednym haustem opró niwszy szklanke. - A czym się ró ni od pozostałych?

Podszedł do stolika, by nalać sobie kolejnego drinka.

- Kopia Tycjan powstała w wyniku prywatnej umowy papy i Harriet - wyjaśniła. -

Głównie po to, aby uniknąć niesnasek, związanych z tym, do kogo powinien naleeć obraz.

- A co z pozostałymi? W wyniku jakich umów powstały?

- Każdy przypadek jest indywidualny - zaczęła, spoglądając na niego z niepewnością.

- Ale generalnie papa malował kopie i sprzedawał je osobom zainteresowanym.

- Sprzedawał? - powtórzył z niedowierzaniem. Przeklinając w duchu samego siebie, a w ogóle zaczął ten temat, wstał i zaczął chodzić w tę i z powrotem po pokoju. - Dobry Bo e, Kirby, czy dociera do ciebie powaga sytuacji? Przecie to zwykłe oszustwo!

- Nie określiłabym tego w ten sposób - nie zgodziła się. - A ju na pewno nie takie zwykłe.

- A jak byś to nazwała?

- Raczej naciąganiem. - Uśmiechnęła się lekko.

- Naciąganiem... Sprzeda podrabianych obrazów za kolosalne sumy pieniędzy uważasz za naciąganie.

- Pokręcił głową z dezaprobatą. - Naciąganiem jest niepłacenie za parking. - Zrobił

kilka nerwowych kroków. - Nie rozumiem, przecie jego obrazy warte są fortunę, dlaczego to robi?

- Mo e dlatego, e umie? - podsunęła. - Papa to geniusz, Adamie. Nie mówię tego jako jego córka, ale jako artystka. Geniusze często bywają ekscentrykami...

- Rozumiem, ale to jeszcze nie wyjaśnia... - wpadł jej w słowo, ale zaraz przerwała mu stanowczo.

- Pozwól mi dokończyć - poprosiła. - Papa nie toleruje jednego: chciwości pod jakąkolwiek postacią. Dla niego kolekcjonowanie dzieł sztuki jako inwestycja kapitału to właśnie przejaw chciwości.

- Bardzo to szlachetne z jego strony, ale przy tym wszystkim zarabia pieniądze na sprzedaży fałszywych dzieł sztuki - przypomniał.

- Nie zarobił na tym ani centa - sprostowała.

- Papa dokładnie sprawdza za pośrednictwem Harriet każdego potencjalnego kupca.

- Harriet Merrick jest w to także zamieszana? - A przysiadł z wra enia.

- Od piętnastu lat jest to ich wspólne hobby.

- Hobby - powtórzył zdruzgotany.

- Harriet ma doskonałe koneksje. Przede wszystkim wyszukuje wyjątkowo bogatych kupców, mieszkających w odległym zakątku świata - wyjaśniła. - Na przykład dwa lata temu sprzedawała wyjątkowo piękny obraz Renoira pewnemu arabskiemu szejkowi.
- Wstała, by dolać sobie i Adamowi brandy. - Dodatkowo kolejnym warunkiem jest chciwość i kompletny brak zaangażowania w sprawy wspólnoty lokalnej. Przez Harriet właśnie potencjalni kupcy dowiadują się, że papa jest w posiadaniu wyjątkowo cennego, rzadkiego i nieznanego obrazu słynnego artysty. Na początku papa udaje niechętnego sprzedawcę, następnie powoli ulega argumentom kupca, a wreszcie zgadza się na sfinalizowanie transakcji. Oczywiście cena jest niebotyczna, bo inaczej kolekcjonerzy mogliby coś podejrzewać. - Łyknęła odrobinę brandy.
- Wszystkie transakcje bez wyjątku regulowane są za pomocą gotówki, aby nie było żadnych oficjalnych śladów, a zarobione w ten sposób pieniądze przekazywane są instytucjom charytatywnym.
- Chcesz, abym uwierzył, że twój ojciec zadaje sobie tyle trudu za darmo? - Posłał jej podejrzliwe spojrzenie.
- Absolutnie nie za darmo. - Potrząsnęła przecząco głową. - Papa czerpie z tego dla siebie o satysfakcji.
- Kirby, ale przecie to jest kradzież!
- Zastanów się, po czyjej stronie zawsze się opowiadałeś: po stronie szeryfa Nottingham czy Robin Hooda?
- Na litość boską, przecie to nie to samo! - achnął się. - To nie to samo...
- W pewnym małym szpitalu niedawno zmodernizowano oddział pediatryczny, a małe miasteczko w Andach ma nowy wóz strażacki i nowoczesny sprzęt gaśniczy. Z kolei w innym niedużym miasteczku na drugim końcu świata mieszkańcy od niedawna mogą korzystać z nowoczesnej biblioteki - wymieniła.
- Wystarczy. - Machnął ręką, aby jej przerwać. - Jestem pewien, że przez piętnaście lat uzbierało się tego trochę. Może w pewnym sensie ten proceder ma szczytny cel, ale to nie zmienia postaci rzeczy, a jest niezgodny z prawem. Przecie to przestępstwo! Kirby, to się musi skończyć.
- Wiem. - Uśmiechnęła się rozbrajająco. - Jakiś czas temu doszłam do wniosku, że trzeba to przerwać, póki jeszcze nie stało się nic złego. Papa od jakiegoś czasu rozmyśla nad cyklem obrazów i namówiłam go, aby już niedługo zaczął. Powinno mu to zająć z pięć lat, więc będzie chwila spokoju. Ale w międzyczasie zrobił coś, z czym nie wiem, jak sobie poradzić.

Opowiedziała mu wszystko, co wiedziała o Rembrandcie. Słuchając znanej mu już historii, starał się zdusić w sobie wszelkie wyrzuty sumienia związane z tym, że wymagał od niej szczerości, podczas gdy sam ukrywał przed nią coś równie ważnego.

- Domyślałam się, że po części kierowała nim chęć zemsty na Stuarcie - ciągnęła, w zamyśleniu mieszając alkohol w kieliszku. - Stuart jakimś cudem dowiedział się o hobby papy i tego wieczoru, w

którym zerwałam zaręczyny, szanta ował mnie, e go wyda. Papa pocieszał mnie, e Stuart nie mo e mu nic zrobić. Nie miałam wtedy pojęcia o tej historii z Rembrandtem.

- Nie masz pomysłu, gdzie mógł schować ten obraz?

- Nie, ale te nie szukałam. Mój ojciec jest dobrym człowiekiem, Adamie - zapewniła z troską w głosie. - Nikt nie wie tego lepiej ode mnie. Wiem, e miał jakiś powód, nie mam pojęcia, jaki, ale na razie muszę to po prostu zaakceptować. Nie oczekuję, e podzielasz moją lojalność, ale byłabym wdzięczna, gdybyś tak jak ja mu zaufał. - Nic się nie odezwał, więc wzięła jego milczenie za zgodę. - Najbardziej się martwię, e papa nie zdaje sobie do końca sprawy z tego, jak bezwzględny człowiekiem jest Stuart.

- Zmienisz to, gdy opowiesz mu o tej scenie w bibliotece Harriet.

- Nie mogę mu tego powiedzieć. - Pokręciła energicznie głową. - Nie jestem w stanie przewidzieć jego reakcji, zauwa yłeś chyba,

e jest wyjątkowo nieprzewidywalnym

człowiekiem. Proszę cię, nie martw się o nas. Jeśli chcesz, porozmawiaj z papą czy z Harriet.

Masz ochotę na jeszcze trochę brandy? - zapytała, podnosząc się.

- Czy to wszystko, czy jeszcze o czymś mi nie powiedziałaś? - Zatrzymał ją, łapiąc ją za nadgarstek.

- A czy wspominałam ju o Van Goghu?

- No nie... - mruknął. Naprawdę liczył na to, e to ju koniec opowieści. - Jakim znowu Van Goghu?

- Hmm, tak dokładnie to nie jest obraz Van Gogha...

- Tylko twojego ojca? - domyślił się.

- Najnowszy. Sprzedał go Victorowi Alvarezowi, plantatorowi kawy z Ameryki Południowej. Warunki pracy na jego plantacji są fatalne i choć papa nic nie mo e zrobić, eby to poprawić, wybrał ju lokalną szkołę, którą odremontuje i wyposa y. To jego ostatni taki obraz w ciągu najbliższych paru lat - dodała, widząc, e siedzi z twarzą ukrytą w dłoniach. -

Jestem przekonana, e się ucieszy, e ci o wszystkim opowiedziałam. Na pewno zechce Ci pokazać tę kopię Van Gogha, jest z niej szczególnie zadowolony.

Adam roześmiał się nerwowo.

- Powinienem się cieszyć, e nie postanowił namalować na nowo fresków w Kaplicy Sykstyńskiej.

- A, to dopiero na emeryturze - zawtórowała mu.

- Muszę sobie to wszystko poukładać w głowie - przyznał, powa niejąc.

- Oczywiście.

Postanowił, e nie zło y od razu meldunku. Nie był w stanie zrobić tego tak od razu po tym, jak zwierzyła mu się z pełnym zaufaniem. Nie był w stanie nawet myśleć o zadaniu, z którym tu przyjechał, najpierw musiał znaleźć argumenty, aby samego siebie przekonać, e zło enie raportu jest jego powinnością, mimo e w ten sposób zawiedzie pokładane w nim zaufanie.

Chciał jej coś z siebie dać, ofiarować coś w zamian za tę ufność, jaką mu okazała.

Wzięcie jej w ramiona wydawało mu się naturalnym odruchem, bo choć mo e nie zasługiwał

na nią, to przy tym wszystkim potrzebował jej bardziej ni kogokolwiek czy czegokolwiek na świecie. Bez wahania przytulił ją z całej siły, po czym obsypał jej twarz pocałunkami, które z lekkich, przelotnych z ka dą chwilą stawały się coraz bardziej zaangażowane i namiętne.

Zanim zdą ył się zorientować, co robi, rozsunął zamek jej sukienki.

- Zaskakujesz mnie - wyznała z lekkim uśmiechem, odsunąwszy się na krok.

- To dobrze - odparł, przyciągając ją z powrotem.

- Wiesz, większość kobiet lubi być uwodzona - odpowiedziała.

Widział rozbawienie w jej spojrzeniu, ale jednocześnie czuł przez cienki materiał

koszuli mocne bicie jej serca.

- Ale Kirby Fairchild jest inna ni większość kobiet - zauwa ył. Jeśli chciała zwolnić tempo, był gotów to dla niej zrobić, bez względu na to, ile go to będzie kosztowało. - Uznaj to za jeden z niewielu u mnie przejawów spontanicznego zachowania - zaproponował, zsuwając sukienkę z jej ramion. - Nie chciałbym cię zanudzać standardowymi chwytami.

Nie była w stanie mu się oprzeć, oczarował ją tym uśmiechem i niewymuszonym poczuciem humoru. Powoli odwzajemniła jego uśmiech, a następnie zsunęła sukienkę jeszcze bardziej, tak e w końcu opadła lekko na podłogę. Gdy ju zdecydowała się porzucić wszelkie opory, nie znała ograniczeń, dawała i brała rozkosz, słodko i ochoczo odpowiadając na jego pieszczoty.

Poza namiętnością, poza pasją w ich pocałunkach była niespodziewana tkliwość, która narodziła się w wyniku zwierzeń, w jakie obfitował ten wieczór. Adam chciał obdarować Kirby czułością, aby zadośćuczynić jej brak szczerości ze swej strony, ona zaś odwzajemniła, choć nie znała jego prawdziwych intencji.

Powietrze niemal e iskrzyło od napięcia, jakie rosło między nimi z ka dą chwilą, pragnienie wypełniało ich, wołając o spełnienie. Ich serca biły głośno i rytmicznie, wystukując wspólny coraz bardziej energiczny, oszalały rytm. Widzieli tylko siebie, czuli tylko zapach swych ciał, słyszeli tylko

swe oddechy, świat przestał dla nich istnieć.

Gdy w końcu zapadła cisza, gdy le eli wtuleni w siebie, wciąż rozpaleni ogniem, który ich pochłoniął, Adam zastanawiał się, jak miał po tym wszystkim kontynuować zadanie, z którym przyjechał. Czy mógł jednocześnie ochraniać ją, troszczyć się o nią i składać codzienne meldunki, do których był zobowiązany? Powinien był zachować dystans, ale nie był w stanie zapanować nad uczuciem, jakie zrodziło się w jego sercu. Czy mógł teraz od nowa ten dystans zbudować? Czy nie ryzykował w ten sposób, że zrani ją nieodwracalnie?

Gdy zaczął się podnosić, przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

- Zostań, proszę - wyszeptała, spoglądając mu prosto w oczy. - Zostań ze mną do rana.

Nie chcę, eby się to skończyło.

Obudziły ją promienie słońca, padające na łóżko przez znajdujące się nad nim okno.

Zakryła twarz poduszką, ale długo tak nie wytrzymała, więc zrezygnowana otworzyła oczy.

Postanowiła poleżeć jeszcze trochę w łóżku, aby dać sobie czas na przemyślenie tego, co się stało poprzedniego wieczoru.

Nie słyszała jak wychodził. Nie spodziewała się, że faktycznie zostanie z nią do rana i była mu nawet wdzięczna, że mogła obudzić się samotnie.

Nie mogła uwierzyć, że tak się otworzyła przed człowiekiem, którego w gruncie rzeczy znała dość słabo. Co sprawiło, że z taką szczerością odpowiadała na jego pytania, nie starając się nawet szukać adnych wykrętów?

Dała mu więcej niż kiedykolwiek jakimkolwiek mężczyźnie. Było to coś więcej niż fizyczna bliskość, kilka godzin rozkoszy, które można szybko wymazać z pamięci. Podzieliła się z nim tym, co dla niej najcenniejsze, nie mogła teraz się z tego wycofać, bez względu na to, jak bardzo by obydwój tego chcieli. Zresztą sama nie była przekonana, czy tak naprawdę pragnęłaby cofnąć czas, nie było dla niej bowiem powrotu, oddała mu część siebie, z nadzieją, że dar ten zostanie przyjęty z należytym szacunkiem. Teraz zaś pozostawało czekać na rozwój sytuacji. Z westchnieniem podniosła się, aby rozpocząć trudny dzień.

Tymczasem w pracowni Fairchilda Adam z ogromnym zainteresowaniem przyglądał

się pełnemu pejzażowi. Obok niego stał autor, nie Vincent Van Gogh, ale Philip Fairchild, choć Adam gotów byłby przysiąc, że obraz jest oryginalny.

- Wspaniały - wyrwała mu się pochwała.

- Dziękuję ci, Adamie. - Fairchild uśmiechnął się z zadowoleniem. - Jestem z niego bardzo zadowolony.

- Panie Fairchild...

- Philip - poprawił go. - Mów mi, proszę, po imieniu.

- Philipie - zaczął ponownie. - To jest oszustwo. Nie przeczę, e twoje motywy są bardzo szlachetne, ale to nie zmienia postaci rzeczy.

- Jak najbardziej - zgodził się Fairchild, energicznie kiwając głową. - Oszustwo, przekręt i kłamstwo w ywe oczy. - Rozło ył ręce. - Nie mam nic na swoją obronę.

Akurat, pomyślał z przekąsem Adam, przeczuwając, e zaraz usłyszy najbardziej nieprzekonujące wytłumaczenie, z jakim się kiedykolwiek zetknął.

- Adamie, sprawiasz wra enie uczciwego i rozsądnego człowieka. - Fairchild usiadł

powoli w fotelu, jak gdyby chciał wyglądać na słabego i starego. - Jednocześnie twoje prace sugerują, e jesteś twórczy i otwarty.

- Tak? I? - wtrącił Adam, sięgając po kawę, przyniesioną przez Cardsa.

- Pomoc, jakiej udzieliłeś nam wczoraj w tej delikatnej sytuacji i spryt, z jakim mnie wymanewrowałeś świadczą o tym, e potrafisz znaleźć wyjście z ró nych niestandardowych sytuacji. Zaskoczyłeś mnie wiadomością, e Kirby we wszystko cię wtajemniczyła. -

Fairchild ju wyciągnął z tego odpowiednie wnioski, ale na razie nie chciał się rozpraszać. -

Czy jesteś w stanie znaleźć w moich przedsięwzięciach choć ślad egoizmu? Czy moje motywy mo esz nazwać inaczej jak humanitarnymi? Moje hobby przyniosło po ytek małym, chorym dzieciom i ludziom, którym nie poszczęściło się w yciu tak jak mnie czy tobie. Nie zatrzymałem dla siebie ani dolara, nigdy nie zabiegałem o jakiegokolwiek przejawy wdzięczności.

- Nie zabiegałeś tak e o karę więzienia, która ci się za coś takiego nale y - uzupełnił

Adam.

- Traktuję to jako spłatę mojego długu wobec społeczeństwa. Tymi rękoma... -

Wyciągnął przed siebie dłonie. - Tymi rękoma realizuję talent, który dostałem od Stwórcy.

Korzystam z mego talentu, aby pomóc innym. Oczywiście zrozumieć, jeśli uznasz, e zasługuję na potępienie. - Spuścił potulnie głowę.

- Pewnego dnia ta aureola spadnie ci znad głowy i narobi du o huku - ostrzegł Adam.

- Bardzo mo liwe. - Uśmiechnął się Philip. - Ale nie zamierzam się tym zamartwiać na zapas. Poczęstuj się ciastkiem, mój chłopcze, - Podał mu tacę z pysznymi owocowymi mini tartami.

- Czy zastanawiałeś się, co się stanie z Kirby, jeśli twoje hobby wyjdzie na jaw?

- Ach, trafiłeś prosto w mój słaby punkt. Z jej powodu postanowiłem wkrótce zrezygnować z tego zajęcia.

- A jaka jest jej rola w kwestii Rembrandta z Merrick Gallery?

- To ju zupełnie inna sprawa. - Fairchild wytarł usta serwetką. - Chciałbym wtajemniczyć cię w szczegóły tej akcji, Adamie, ale na razie muszę je zachować dla siebie.

Mo na powiedzieć, e Kirby jest wmieszana tylko symbolicznie.

- A siebie obsadziłeś w roli re ysera i gwiazdy? - wtrąciła się jego córka, wchodząc do pracowni. - Jak ci się spało, papo? - zapytała, sięgając po ciastko, w której jej ojciec wpatrywał się od paru chwil.

- Spałem jak kamień - przyznał, przypomniawszy sobie, z jak był zdezorientowany, gdy obudził się na sofie, przykryty jej peleryną. - Dowiedziałem się, e wszystko poszło gładko.

- Sprawa załatwiona - odparła, spoglądając znad ojcowskiego ramienia na Adama. -

Mo e powinnam zostawić was samych? Adam ma dar wyciągania informacji, mo e uda mu się wydobyć z ciebie to, czego nie chciałeś mi powiedzieć.

- Wszystko w swoim czasie. - Ojciec poklepał ją po dłoni. - Postanowiłem spędzić przedpołudnie w towarzystwie mojego jastrzębia. - Podniósłszy się, przeszedł do stołu i zdjął

przykrycie z rzeźby. - A ty, zanim oddacie się zabawom, mo esz zadzwonić do Harriet i uspokoić ją, e wszystko załatwione.

- Planujesz jakieś rozrywki, Adamie? - Kirby wyciągnęła ku niemu rękę.

- Szczerze mówiąc... - Wiedziony impulsem, podszedł do niej i pocałował namiętnie na oczach jej ojca.

- Miałem w planach sesję, która wymaga, ebyś się przebrała.

- Jeśli tylko na tyle cię stać... - udała rozczarowaną. - Zgoda, ale masz dwie godziny i ani minuty więcej, w przeciwnym razie będę zmuszona podnieść stawkę. Mam swoje zajęcia -

wyjaśniła, gdy ju znaleźli się na schodach.

- Trzy godziny - targował się.

- Dwie i pół. - Zatrzymała się na drugim piętrze.

- Spałaś jak dziecko, nie mogłem się zmusić, eby cię obudzić - wyszeptał, gładząc ją po policzku.

- Spotkamy się na górze w pracowni.

Kirby poszła do swego pokoju, wyjęła z garderoby suknie i rozbierając się jedną ręką, drugą wystukała numer telefonu.

- Witaj, Harriet - powiedziała do słuchawki. - Tu Kirby, dzwonię, eby cię uspokoić.

- Świetnie! Obyło się bez kłopotów?

- Daliśmy sobie radę - odparła, wychodząc z d insów.

- Daliście radę? - powtórzyła z naciskiem Harriet.

- Czyli pojechałaś z ojcem?

- Nie, papa smacznie spał na kanapie, bo Adam podmienił drinki.

- Ojej! Bardzo był zły?

- Kto, papa czy Adam? - Roześmiała się Kirby.

- Obydwaj wykazali du o zrozumienia i zdrowego rozsądku. Adam był bardzo pomocny.

- Mam jeszcze pół godziny, zanim zacznie się test, więc mo esz opowiedzieć mi wszystko ze szczegółami.

Przebierając się, Kirby przedstawiła jej wypadki poprzedniego wieczoru.

- Cudnie - ucieszyła się Harriet, usłyszawszy całą historię. - ałuję, e mnie tam nie było. Muszę bli ej poznać tego twojego Adama i wyrazić mu wdzięczność za jego pomoc.

Myślisz, e zechce w zamian za to przyjąć naszyjnik z krokodylich zębów?

- Jestem pewna, e będzie zachwycony.

- Kirby, bardzo ci dziękuję za pomoc - spowa niała nagle. - Sama rozumiesz, e sytuacja jest co najmniej niezręczna.

- A co z kontraktem, nie da się z niego wycofać?

- Niestety nie - Harriet westchnęła ze smutkiem.

- To moja wina, powinnam była jasno powiedzieć Stuartowi, e Tycjan nie jest na sprzeda . Philip musi być na mnie wściekły.

- Na pewno uda ci się go udobruchać - pocieszyła.

- Masz swoje sposoby.

- Pewnie, ale co ja bym zrobiła bez ciebie? Moja kochana Melly nie rozumie mnie a tak dobrze, jak ty.

- Jest po prostu z innej gliny. Przyjdźcie dziś do nas na kolację - zaprosiła Kirby, nie mogąc się pozbyć wyrzutów sumienia, związanych z Rembrandtem.

- Bardzo chętnie, słonko, ale niestety mam spotkanie. Jutro może być?

- Jak najbardziej, zapraszamy. Mam zadzwonić do Melly?

- Zobaczę się z nią dziś po południu, więc przekaż jej zaproszenie. Podziękuj Adamowi ode mnie, dobrze? Co za pech, e jestem za stara, eby okazać mu swoją wdzięczność tylko za pomocą naszyjnika z krokodylich zębów...

Śmiejąc się serdecznie, Kirby odłożyła słuchawkę.

Słońce oświecało jej sukienkę, wydobywając głębię barwy, rozświetlając złoto kolczyków i brzęczących bransoletek. Wiedząc, e nie będzie mieć lepszego światła, Adam pracował bez wytchnienia, w ogóle nie zwracając uwagi na upływ czasu.

- Adamie, jeśli zerkniesz na zegarek, przekonasz się, e minęło już o więcej czasu niż te ustalone dwie i pół godziny - odezwała się wreszcie jego modelka.

Ignorując ją, nie przerwał na moment malowania.

- Nie wytrzymam tu nawet sekundy dłużej - narzekała. - Bolą mnie ramiona -

oznajmiła, wyciągając ręce wysoko ku górze.

- Mogę teraz popracować nad tłem - zgodził się niechętnie. - Ale potrzebuję jeszcze ze trzy godziny w porannym świetle - zapowiedział.

Podniósłszy się, przeciągnęła się jak kotka, po czym podeszła do sztalug, by ocenić postęp prac.

- Fantastycznie oddajesz grę światła - pochwaliła. - Podoba mi się ten dobór kolorów, sukienka zdaje się płonąć w promieniach słonecznych. - Przyjrzała się dokładnie rysom twarzy, jakie nadał jej portretowi.

- Nie rozumiem tylko, czemu wyglądam na taką kruchą i delikatną.

- Być może zauważyłem w tobie coś, czego sama nie jesteś świadoma - zasugerował, nie przerywając pracy.

Jako e nie podniósł spojrzenia, nie mógł zauważyć ogromnego zdumienia, jakie odmalowało się na jej twarzy.

Splótłszy dłonie, odeszła na kilka kroków. Muszę to zrobić jak najszybciej, myślała gorączkowo.

Muszę, nie mam innego wyjścia.

- Adamie... - zaczęła.

Mruknął coś w odpowiedzi, nie odwróciwszy się w jej kierunku.

- Kocham cię - wyrzuciła z siebie.

- Hmmm... - mruknął ponownie.

Niektóre kobiety byłyby zdruzgotane taką reakcją, inne z kolei wpadłyby wściekłość, Kirby natomiast roześmiała się serdecznie.

- Adamie, czy mógłbyś na moment poświęcić mi całą swoją uwagę? - poprosiła cierpliwie. - Właśnie powiedziałam, e cię kocham.

Za drugim podejściem wreszcie dotarło do niego znaczenie jej słów, bo umoczony w czerwonej farbie pędzel zawisł w powietrzu. Powoli odło ywszy go, Adam odwrócił się ku niej, uśmiechając się niepewnie.

- Nie mówię tego, eby wywierać na tobie jakąkolwiek presję - pospieszyła z zapewnieniem. - Pomyślałam tylko, e masz prawo to wiedzieć. Wiem, e znamy się krótko, ale czasem tak się zdarza, nie jestem w stanie nic na to poradzić. Oczywiście niczego od ciebie nie oczekuję, ani teraz, ani w dłu szej perspektywie. - Gdy nadal się nie odzywał, wpadła w panikę. - Muszę się przebrać - zapowiedziała, wycofując się. - Ju dawno minęła pora obiadowa.

Była ju prawie przy drzwiach, gdy zdą ył ją zatrzymać. Poło ywszy dłonie na jej ramionach, wyczuł w nich ogromne napięcie, co dało mu do zrozumienia, i szczerze wyznała mu swoje uczucia. Czuł instynktownie, e dotąd adnemu mę czyźnie nie uczyniła takiego wyznania.

- Kirby, jesteś najbardziej wyjątkową kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

- Ciekawe, ciągle to słyszę od ró nych osób.

- Roześmiała się nieszczerze. - Idziesz na dół, czy mam ci przysłać obiad tutaj?

- Nie znam nikogo, kto byłby zdolny zło yć tak proste wyznanie miłości, po czym od razu wyjść, nie oczekując nic w zamian. Od samego początku czymś mnie zaskakiwałaś. -

Pocałował ją lekko w czubek głowy. - Czy dasz mi szansę wypowiedzieć się w tej sprawie?

- Nie ma takiej konieczności.

- Właśnie e jest. - Odwróciwszy ją przodem do siebie, ujął jej twarz w dłonie. - Ja te cię kocham.

- Mam nadzieję, e nie powiedziałaś tego z litości - odparła, spoglądając mu w oczy. -

Nie zniosłabym tego.

Jego pierwszym odruchem było powiedzenie tych wszystkich czułych, słodkich słów, których kobiety oczekują w wyznaniach miłości, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Kirby była przecie inna niż wszystkie kobiety, z którymi miał do tej pory do czynienia.

- Jeśli nie brałaś pod uwagę wzajemności, to radzę, ebyś to jeszcze raz przemyślała.

Rozważywszy w milczeniu jego słowa, powoli uśmiechnęła się, a jej ramiona rozluźniły się.

- Sam tego chciałeś - ostrzegła, spoglądając na niego ciałem.

- Owszem i będę musiał jakoś z tym żyć.

- Och, Adamie,

ebyś ty wiedział, jak bardzo cię potrzebuję - wyznała niespodziewanie, tuląc się do niego mocno.

- Wiem - szepnął. - Wiem...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jej ojciec mawiał nie raz, e największym błogosławieństwem w życiu jest kochać i być kochanym. Teraz Kirby miała okazję przekonać się co do prawdziwości jego słów. Było to dla niej nieznanym doświadczeniem, potrzebowała czasu, aby się do niego przyzwyczaić, aby w pełni to poczuć i zrozumieć, teraz czuła jednocześnie przestrach i niezmierną radość. Była do tej pory szczęśliwa, ale teraz los zaoferował jej coś dodatkowego. Owszem, będzie musiała zapłacić za to pewną cenę, utraci niezależność, część bezgranicznej lojalności, jaką miała wobec ojca, będzie musiała oddać swemu mężowi czyżnie, ale nie miała najmniejszych wątpliwości, e zyska nieporównywalnie więcej. Śmiech o północy, czułe słowa nad ranem, wspierająca ją silna dłoń, możliwość dzielenia radości i smutków z kimś wyjątkowym - oto, co będzie jej dodane.

Miłość oznaczała dzielenie się wszystkim bez wyjątku z ukochaną osobą, cokolwiek posiadała czy czuła, Adam miał do tego takie samo prawo, jak i ona. Nie mogąc skupić się na pracy, postanowiła go odszukać i porozmawiać z nim.

Zawsze lubiła wczesne wieczory, kiedy po skończonej pracy mogła się oddać rozmyśleniom, siedzieć przy kominku czy te spacerować. Teraz wreszcie miała z kim dzielić ten magiczny czas. Stanąwszy przed drzwiami do pokoju Adama, podniosła rękę, aby zapukać, ale dochodzące stamtąd głosy sprawiły, e zmieniła zdanie. Mo e Adamowi udało się wciągnąć jej ojca w rozmowę i wydobydzie z niego jakieś cenne szczegóły, dotyczące obrazu Rembrandta? Podczas gdy wahała się, co powinna zrobić, rozległo się głośne stukanie do głównych drzwi wejściowych, więc wzruszyła ramionami i zeszła na dół.

Tymczasem Adam przełożył nadajnik z jednej ręki do drugiej.

- Nie miałem okazji się skontaktować z tobą - wyjaśnił. - Poza tym nie mam żadnych nowych

informacji.

- Zgodnie z umową, masz się meldować codziennie - warknął McIntyre. - Ju myślałem, e coś ci się stało.

- Gdybyś poznał tych ludzi, zrozumiałbyś, e to, co przed chwilą powiedziałeś, jest kompletnie pozbawione sensu.

- Niczego nie podejrzewają?

- Nie.

- Opowiedz mi o pani Merrick i o Hillerze - polecił.

- Harriet jest szalenie czarującą i nietuzinkową kobietą - zaczął.

Nie zamierzał opowiadać o tym, co on i Kirby robili poprzedniego wieczoru w galerii.

Ju to sobie przemyślał i uznał, e nie ma to bezpośredniego związku z zadaniem.

- Natomiast Hiller to padalec. Gdybym się wczoraj w porę nie zjawił w bibliotece, kto wie, czy nie pobiłby Kirby.

- Za co? - zainteresował się McIntyre.

- Poszło o Rembrandta. Hiller nie wierzy, e ojciec jej nie wtajemniczył w tę sprawę.

To typ człowieka, który uwa a, e ma prawo uciekać się do przemocy, jeśli chce coś uzyskać.

- Rzeczywiście, wygląda na to,

e to podły drań - skomentował McIntyre,

zauwa ywszy zmianę w tonie głosu Adama. Miał nadzieję, e ten nie zaangażował się emocjonalnie. - Dowiedziałem się czegoś o Victorze Alvarezie.

- Daj sobie z nim spokój - poradził Adam. - Ten ślad do niczego nie prowadzi, ju to zdą yłem ustalić.

- Skoro tak mówisz...

- Wierz mi. Chciałbym postawić pewien warunek.

- Jaki warunek? - zaniepokoił się McIntyre.

- Kiedy znajdę Rembrandta, resztą zajmę się sam według własnego uznania.

- Jak to, według własnego uznania?! Słuchaj, Adam...

- Albo zrobię po swojemu - przerwał mu stanowczo. - Albo znajdź sobie kogoś innego to wykonania tego zadania. Dostarczę ci obraz, Mac, ale nie chcę, ebyś w to mieszał

Fairchildów.

- Mam ich w to nie mieszać? - powtórzył tamten z niedowierzaniem. - Jak mam niby to zrobić, skoro sami się w to zamieszali?

- To ju twój problem.

- Zdaje się, e to dom wariatów, a ich szaleństwo jest zaraźliwe - skomentował

McIntyre.

- Trafiłeś w samo sedno. - Roześmiał się Adam.

- Odezwę się do ciebie. - Wyłączył nadajnik.

Gdy Kirby otworzyła drzwi wejściowe, ujrzała w nich Ricka Potts.

- Witaj, Rick. - Wyciągnęła ku niemu dłoń, choć wiedziała, e jego ręka będzie cała spocona z nerwów.

- Papa wspominał, e się ciebie spodziewa.

- Dobry wieczór, Kirby - wykrztusił z trudem.

- Pięknie wyglądasz. - Podał jej bukiet podwiedłych goździków.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się na widok kwiatów.

- Chodź, zdobie ci drinka. Pewnie jesteś zmęczony po podró y. Cardsa, czy mógłbyś zająć się baga em pana Potts? Papa zaraz zejdzie. - Nie dała mu dojść do słowa. - Od jakiegoś czasu poświęca całe dnie swemu nowemu hobby. Jestem pewna, e z przyjemnością ci o nim opowie. - Podawszy mu szklankę whisky z wodą i lodem, gestem zaprosiła, by usiadł. - Jak się miewasz?

- Dziękuję, dobrze - wykrztusił z trudem, łyknąwszy drinka. - To znaczy, w zeszłym tygodniu byłem trochę przeziębiony, ale ju czuję się du o lepiej. Gdybym zara ał, na pewno bym nie przyjechał, eby cię nie narazić na niebezpieczeństwo.

- To bardzo miło z twojej strony - zauwa yła, z trudem powstrzymując uśmiech.

- Jak ci idzie praca?

- A, dziękuję, nieźle, powinno wystarczyć na wiosenną wystawę.

- To świetnie - ucieszył się, choć do końca nie rozumiał jej rzeźb, niektóre nawet napawały go przera

niem. - Wybierasz się mo e do Nowego Jorku?

- Tak, nawet niedługo - odparła, siadając obok. - Pewnie zostanę tam z tydzień.

- W takim razie bardzo chciałbym... to jest, jeśli będziesz miała czas, oczywiście... -

Jednym haustem dopił drinka. - Jeśli oczywiście zechcesz... chciałbym zaprosić cię na kolację.

- To bardzo miło z twojej strony. - Powtórzyła.

Stojąc w drzwiach, Adam z rozbawieniem przyglądał się tej scenie. Był gotów założyć się, e jeszcze chwila, a ten zapatrzony w nią dziwaczny facet bez ostrzeżenia rzuci się jej do stóp.

Kirby podniosła wzrok.

- Adam! - ucieszyła się. - Miałam nadzieję, e zejdiesz. Rick, to jest Adam Haines.

Adamie, zdaje się, e papa niedawno wspominał ci o Ricku Pottsie?

Powiedziała to tak wyraźnie, e od razu domyślił się, i powinien łagodnie potraktować przybysza.

- Oczywiście, Philip wspominał, e przyjeżdżasz na parę dni. - Ucisnął spoconą dłoń.

- Kirby mówiła, e jesteś świetnym akwarelistą.

- Tak powiedziała? - Rick wyglądał na zaskoczonego.

- Porozmawiacie sobie po kolacji - wtrąciła się. - Dajmy Rickowi odpocząć po podróży. Rick, umieściliśmy cię w tym pokoju, co zwykle.

- Dziękuję, Kirby.

Poczekala, a zniknął za zakrętem korytarza, po czym podeszła do Adama i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Nie cierpię się powtarzać, ale kocham cię - wyznała.

Ująwszy jej twarz w dłonie, pocałował ją lekko.

- Powtarzaj, ile masz ochotę, bardzo mi to pochlebia. Twój widok zapiera mi dech w piersi. Nie dziwię się, e przy tobie Rick Potts zamienia się w trzęsącą się galarete.

- Wolalabym, ebyś to ty trząś się na mój widok jak galareta.

Roześmiał się.

- To kiedy zamierzasz mu powiedzieć, e jestem zazdrosnym kochankiem ze sztyletem w skarpetce?

- Jeszcze nie wiem, ale naprawdę robię to dla jego dobra. - Sięgnęła po szklanke wody. - Czy udało

ci się dowiedzieć czegoś jeszcze od papy?

- Nie. A czemu pytasz? - zdziwił się.

- Zanim zjawił się Rick, szłam, eby się z tobą zobaczyć. Stojąc pod twoimi drzwiami, usłyszałam twój głos i domyśliłam się, e rozmawiacie.

- Nie naciskałem go, nie chciałem, eby czuł się pod presją - odparł wymijająco, starając się nie dać po sobie poznać zdenerwowania.

- Pewnie masz rację, zwłaszcza, e papa potrafi się zaciąć, kiedy go się za bardzo naciska. Posiedźmy chwilę przed kominkiem - zaproponowała, prowadząc go na sofę.

Siadając obok niej, marzył, eby wszystko było takie proste, jak się na pozór wydawało.

Minęło parę godzin zanim znów siedzieli w salonie, tym razem jednak w towarzystwie Fairchilda i Ricka, którzy od czasu kolacji zapamiętale dyskutowali o sztuce i technikach malarskich. Ośmielony dwoma kieliszkami wina oraz szklanką brandy Rick obsypał prace Kirby zaskakująco wyszukаныmi komplementami. Uszy Philipa Fairchilda poczerwieniały.

- Dziękuję ci, Rick. - Uśmiechnęła się czarująco. - Na pewno chciałbyś zobaczyć najnowszą pracę papy. To jakiś ptak, rzeźbiony w glinie, prawda, papo?

- Jakiś ptak? Jakiś ptak? - Jej ojciec poderwał się na równe nogi. - To jastrząb, ty niewdzięczna córko! Jastrząb, najprawdziwszy ptak drapie ny.

Rick, przyzwyczajony do ich rozlicznych sporów, próbował załagodzić sytuację.

- Bardzo chętnie zobaczę pańską rzeźbę, Panie Fairchild - zapewnił solennie.

- Z przyjemnością ci ją poka ę. - Gospodarz dopił drinka. - Zamierzam podarować ją galerii Metropolitan.

Kirby prychnęła.

- Naśmiewasz się z rodzzonego ojca? - oburzył się.

- Nie masz zaufania do tych rąk? - Podniósł dłonie.

- Do tych samych rąk, które trzymały cię tu po twym narodzeniu?

- Ale nigdy nie przeczyłam, e twoje dłonie to ósmy cud świata - zapewniła. - Ale zauwa ęłam, e masz problem z konstrukcją rzeźby. Nie martw się - pocieszyła. - Parę lat praktyki i nabierzesz doświadczenia.

- Ja mam problem z konstrukcją rzeźby, tak?

- powtórzył, mru ąc oczy. - Ja? Zaraz ci poka ę.

Sięgn wszy do szuflady komody, wyjął kilka nieu ywanych talii kart, a następnie bezceremonialnie przeło ył porcelanę i cenne szkło ze stolika na podłogę.

- Patrz i podziwiaj - nakazał, wysypując pierwszą talię, po czym zaczął stawiać karty, oparte jedna o drugą w formie łuków. - Proszę, pewna ręka i czujne oko - pochwalił samego siebie, formując parter zamku z kart.

- No to mamy z nim spokój przynajmniej na godzinę - zauwa yła pogodnie Kirby, po czym zajęła Ricka rozmową na temat wspólnych znajomych.

Pogawędka toczyła się przez ponad godzinę, a Fairchild wciąż budował zamek, nie odzywając się do nikogo, poza sobą samym.

- Kirby, pójdę ju chyba się poło yć - oznajmił wreszcie Rick. - Chciałbym jutro zacząć pracę z samego rana.

Kirby wyszła razem z nim, aby sprawdzić, czy wszystko w jego pokoju przygotowane.

- Fascynująca istota z tej mojej córki - zauwa ył niespodziewanie Fairchild, gdy zostali sami.

- To prawda, fascynująca - przyznał Adam, podchodząc do stolika, aby przyjrzeć się konstrukcji.

- Oczywiście domyślasz się, e jest taka miła dla Ricka, bo nie chce go zranić -

wyjaśnił, nie odrywając spojrzenia od karty, którą za pomocą dwóch palców kładł na kolejnym piętrze budowli. - Jest silną i niezale ną kobietą, ale gdy w grę wchodzi uczucia, jest niesłychanie wra liwa.

Adam odniósł wra enie, e karty na stoliku układają się w kształt domu, w którym się znajdowali.

- Jest kilka osób, dla których Kirby poświęciłaby wszystko - ciągnął Fairchild. - Do tej grupy nale y Rick, a tak e Melanie i Harriet. No i ja. Tak, ja - powtórzył miękko. - W

związku z tym historia z Rembrandtem jest dla niej taka trudna. Kirby jest rozdarta pomiędzy miłością i lojalnością wobec mnie oraz wobec kobiety, która przez tyle lat zastępowała jej matkę.

- Có , wcale jej tego nie ułatwiasz - zarzucił mu Adam, zwalczywszy chęć zdemolowania karcianej konstrukcji. - Dlaczego nie wyjaśnisz jej tej sytuacji? Mo e zrozumie?

- Czasem lepiej yć w nieświadomości. W tym przypadku, im mniej wie, tym lepiej dla niej.

- Nie wiem, czy to najlepsze podejście - wyraził wątpliwość Adam.

- W obecnej sytuacji chyba najlepsze - ocenił Fairchild. - Domyślam się, e zgodziła się wyjść za Stuarta, bo uwa ała, e nigdy nie spotka mę czynny, którego mogłaby pokochać całą sobą. Oczywiście,

to kompletna bzdura. - Sięgnął po swego drinka, przypatrując się z zadowoleniem karcianej konstrukcji. - Kirby potrafi kochać z wyjątkowym poświęceniem i oddaniem, a kiedy kocha, jest szczególnie wrażliwa. - Po raz pierwszy od jakiegoś czasu spojrzął Adamowi prosto w oczy. - Po śmierci matki była kompletnie zdruzgotana. Nie chciałbym drugi raz zobaczyć jej w takim stanie.

Adam długo się zastanawiał, co w tej sytuacji powiedzieć.

- Nie chcę jej skrzywdzić - wyznał wreszcie. - Zrobię wszystko, eby oszczędzić jej wszelkich rozczarowań i cierpienia.

Fairchild przyjrzał mu się uważnie.

- Wierzę ci - oznajmił wreszcie. - Mam nadzieję, e uda ci się uchronić ją przed cierpieniem, Ale niewiele mo esz zrobić, prawda? Teraz jest ju za późno, by zmieniać reguły gry.

- Wiesz, po co tu jestem, prawda? - domyślił się, spoglądając na zarumienioną twarz Philip.

Fairchild z cichym śmiechem powrócił do budowania konstrukcji z kart.

- Załó my na razie, e przyjechałeś tu malować i obserwować. - Poło ył kolejną kartę.

- Idź do niej. Masz moje błogosławieństwo, jeśli go potrzebujesz. Zadanie niemal skończone, wkrótce będziemy musieli zająć się jego konsekwencjami. Mam dla ciebie jedną radę, mój chłopcze: jeśli chcesz ją zatrzymać przy sobie, bądź równie uparty, jak i ona.

Kirby powoli przeciągała szczotką po włosach, przysłuchując się cichej muzyki jazzowej.

Słyszając stukanie do drzwi, westchnęła głęboko.

- Rick, proszę, idź do łóka - zasugerowała. - Jutro nie będziesz mógł mi spojrzeć w oczy.

Adam otworzył drzwi. Na chwilę zatrzymał się, przypatrując się siedzącej przy toalecie kobiecie, odzianej w beowój jedwab i kremową koronkę. Bez słowa zamknął za sobą drzwi i zablokował zamek.

- Ojej - westchnęła, odło ywszy szczotkę.

- W dzisiejszych czasach kobieta nie mo e być nigdzie bezpieczna.

Podszedłszy bliżej, Adam przykucnął i otoczył ją ramionami.

- Przechodziłem tędy, więc pomyślałem, e zajrzę. - Gdy uśmiechnęła się, pocałował ją lekko.

- Kocham cię, Kirby. Kocham cię bardziej ni cokolwiek i kogokolwiek na świecie.

Proszę cię, pamiętaj o tym.

- Postaram się zapamiętać, ale nic nie zaszkodzi, jak mi od czasu do czasu przypomnisz - wyszeptała prosto w jego usta. - A mo e... - Odsunęła się o krok, po czym powoli zaczęła rozluźniać jego krawat. - Mo e to ja ci powinnam przypomnieć, e cię kocham?

Przyglądał się, jak krawat spada na podłogę.

- To całkiem niezły pomysł - ocenił, gdy zsuwała mu z ramion marynarkę.

- Masz dziś za sobą pracowity dzień. - Rzuciła marynarkę w kierunku fotela. - Mo e powinnam cię trochę porozpieszczać?

- Czemu nie...

Poprowadziła go do łó ka, po czym lekko pchnęła, dając tym samym sygnał by się poło ył, a następnie zdjęła mu buty i skarpetki.

- Rozpieszczanie w małych dawkach bywa bardzo po yteczne - zauwa yła, masując mu stopy.

Na zmianę delikatny oraz silny dotyk jej dłoni sprawiał mu ogromną przyjemność, był

jednocześnie relaksujący i podniecający, tak e Adam nie mógł się zdecydować, czy le eć i rozkoszować się, czy mo e raczej przejąć inicjatywę. Zanim jednak zdą ył rozwa yć obydwie opcje, Kirby pochylila się i zaczęła rozpinać jego koszulę.

- Czy ju zdą yłam powiedzieć, e wszystko mi się w tobie podoba? - zapytała, wyciągając połę koszuli zza paska spodni.

- Nie przypominam sobie.

Leniwym ruchem przesunęła dłonie wzdłu jego nagiej klatki piersiowej.

- Podoba mi się to, jak wyglądasz. - Zsunęła mu koszulę z ramion. - Podoba mi się twój zapach. - Pochyliła się, by pocałować go w policzek. - Podoba mi się twój sposób myślenia. - Pocałowała go w brodę. - I podoba mi się, jak smakujesz. - Powoli zsunęła mu spodnie z bioder. - Nic bym w tobie nie zmieniła. Kiedyś myślałam, e nigdy nie spotkam mę czyzny, który odpowiadałby mi w stu procentach. Na szczęście myliłam się.

Gdy jej usta dotknęły jego warg, Adam otoczył ją ramionami i przytulił tak mocno, jak tylko się dało. Była jego, bezwarunkowo, bez udawania, chciała do niego nale eć i wcale tego nie ukrywała. Czuł się rozpieszczony, doceniony, był jej niezmiernie wdzięczny za tę miłość, jaką mu okazywała. Za wszelką cenę pragnął ją uszczęśliwić, tak by nie miała wątpliwości co do jego uczuć.

Kirby nie wątpila nawet przez moment, e ją kochał, czytała to w jego dotyku i w jego pieszczotach. Czuła się przy nim bezpieczna, wiedziała, e nie tylko obroni ją w

niebezpieczeństwie, ale zaakceptuje jej yciowe wybory, nie będzie oczekiwał, aby się dla niego zmieniła.

Jeszcze nigdy Adam nie był z kobietą, która by obdarzyła go taką czułością, która pieściłaby go tak delikatnie i z tak ogromnym oddaniem. Tak bardzo pragnął jej się odwzajemnić, dać jej rozkosz, jakiej jeszcze nigdy nie doznała. Marzył o tym, aby ta chwila nigdy się nie skończyła, by tak mógł trzymać ją w ramionach w nieskończoność. Z

westchnieniem wtulił twarz w jej miękkie, puszyste włosy...

Chwila trwać nie chciała. Tuląc Kirby do siebie, Adam ze smutkiem rozmyślał o tym, co powiedział Fairchild, a tak e o tym wszystkim, co musiał oraz czego nie mógł zrobić. Nie wiedział nawet, ile czasu mu pozostało.

- Adamie... - wyszeptała Kirby, ale poło ył palec na jej ustach.

- Proszę, nic nie mów. - Poglądził ją po policzku. - Chcę cię zapamiętać taką, jak w tej chwili, odprę oną, jeszcze rozpaloną miłością, z promieniami księ yca we włosach.

Tak bardzo się obawiał, e ju nigdy nie zobaczy jej w takiej sytuacji, e nigdy nie poczuje ciepła jej ciała, e nie ujrzy jej uśmiechniętych oczu tu , tu przy jego twarzy.

Przera ony, przycisnął ją mocno do siebie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przed upływem trzydziestu minut Kirby miała ju dosyć pozowania, ale nakazała sobie cierpliwość, poniewa zobowiązawszy się, i poświęci Adamowi dodatkowe dwie godziny, chciała dotrzymać słowa. Aby nie rozmyślać o tym, jak długo jeszcze ma stać bezczynnie, skupiła się na obmyślaniu konstrukcji rzeźb, które chciała w najbli szym czasie wykonać.

Ciepłe promienie słoneczne, padające przez wysokie okna pracowni, rozleniwiły ją na tyle, e parę razy jej świadomość odpłynęła.

- Kirby! - Adam zawołał po raz trzeci, zanim spojrzała na niego, mrugając powiekami.

- Czy mogłabyś zaczekać z drzemką do zakończenia sesji?

- Przepraszam. - Uśmiechnęła się z lekkim za enowaniem. - Zamyśliłam się.

- Skoro myślenie tak cię nu y, to mo e na jakiś czas daj sobie z tym spokój - mruknął.

- Przechyl głowę na prawo, tak jak prosiłem. Ciągłe zmieniasz pozycję.

- Dręczyciel - odparowała, ale posłusznie przechyliła głowę.

Adam malował z entuzjazmem, bez wytchnienia, gdy za wszelką cenę chciał zdą yć z dokończeniem

obrazu zanim podejmie jakiegokolwiek kroki, zmierzające do wypełnienia zadania, z jakim przysłał go McIntyre.

- Lepiej się przyzwyczaj do pozowania - poradził.

- Mam ju parę nowych pomysłów, które chcę zrealizować po ślubie.

Zakręciło jej się w głowie. Poczua się do tego stopnia słabo, e nie była w stanie utrzymać dłoni na biodrach, więc opuściła ramiona.

- Na litość boską, Kirby! - achnął się. - Co ci jest?

- Podniósłszy spojrzenie, zaniepokoił się jej wyglądem.

- Nie sądziłam... Nie wiedziałam, e... - wyjąkała, dotykając dłonią do skroni. -

Potrzebuję chwili przerwy.

Czua się dziwnie, jak gdyby nagle zabrakło jej powietrza. Miała wra enie, e coś jej odebrało siłę do trzymania się prosto.

Adam przypatrywał jej się spod zmarszczonych brwi. Nie wyglądała najlepiej, na jej policzki wypłynęły nienaturalne rumieńce, a poza tym wyglądała, jak gdyby za chwilę miała stracić równowagę.

- Źle się czujesz? - zapytał, podchodząc i obejmując ją w talii.

- Nie. - Pokręciła głową. - Jestem tylko trochę zmęczona. - Wciągnęła głęboko powietrze. - Nie wiedziałam, e chcesz się ze mną o enić.

- Kocham cię, Kirby - powiedział łagodnie.

- Uznałaś mnie kiedyś za konwencjonalnego - przypomniał, gładząc ją po włosach. -

Tak, jestem tradycjonalistą, uwa am, e jeśli dwoje ludzi się kocha naturalną konsekwencją jest mał eństwo.

Ledwie skończył to mówić, wpadł w przestach, e być mo e nie czuje się gotowa do ślubu z nim i e swą przedwczesną propozycją popsuł wszystko.

- Chcę być z tobą do końca ycia - wyznał, gdy podniosła na niego zdziwione spojrzenie. - Ale nie będę na ciebie naciskał. Być mo e powinienem wybrać lepszy czas i miejsce na takie propozycje...

- Nie o to chodzi. - Dotknęła dr ącą dłonią jego policzka. - Otrzymałam ju do tej pory kilka propozycji mał eństwa, ale... - W jej oczach zalśniły łzy. - Ale adnej z nich nie oczekiwałam jak twojej. Nie wiem, czemu tak reaguję.

Odetchnąwszy z ulgą, przytulił ją do siebie.

- Wezmę to za dobrą monetę. - Uśmiechnął się.

- Choć nie pogniewałbym się, usłyszawszy proste „tak„.

- Wiesz przecie, e nie mam w zwyczaju robić prostych rzeczy.

Nagle pracownia zawirowała przed jej oczami.

- Kirby! - zawołał Adam, w ostatniej chwili ratując ją przed upadkiem. - Dobry Bo e, przecie tu śmierdzi gazem! - zorientował się nagle. - Musisz natychmiast wyjść na świe e powietrze. Idź! - Popchnął ją w kierunku drzwi, a sam pochylił się nad gazowym grzejnikiem.

Chwiejnym krokiem ruszyła ku drzwiom, które wydawały jej się odległe o kilometr, a nie zaledwie kilka metrów. Pokonawszy tę odległość, miała jedynie tyle siły, aby się oprzeć plecami o drzwi, dysząc ciężko. Powietrze w tej części pomieszczenia wydawało jej się znacznie czystsze, więc napełniwszy nim płuca, nacisnęła klamkę. Drzwi nie ustąpiły.

- Na Boga, czemu nie wychodzisz? - zdenerwował się Adam, który sam zaczynał czuć się dziwnie. - Uciekaj, gaz ulatnia się coraz bardziej.

- Nie mogę otworzyć drzwi - poskarżyła się, szarpiąc za klamkę.

Podbiegł do niej i odsunawszy ją, sam próbował otworzyć, niestety bezskutecznie.

Niewiele myśląc, sięgnął po krzesło i uderzył nim w okno. Na szkle pokazała się rysa, ale nie pękło,, więc uderzył jeszcze raz i jeszcze raz, a w końcu szyba roztrzaskała się na drobne kawałki. Szybko wrócił pod drzwi i podtrzymując Kirby w talii, poprowadził ją w kierunku okna.

- Oddychaj - nakazał, przytrzymując jej głowę tu nad wystającym, niebezpiecznie ostrym kawałkiem szkła.

- Ktoś nas tu zamknął, prawda? - zapytała wreszcie, zaczerpnąwszy kilka głębokich oddechów.

Była inteligentną kobietą, wiedział więc, e nie uwierzy, gdy będzie zaprzeczał.

- Na to wygląda - przyznał.

- Mo emy krzyčeć, ale i tak nikt nas nie usłyszy, jesteśmy za bardzo odizolowani od reszty domu. Chyba nie mamy innego wyjścia, jak czekać, a ktoś zacznie nas szukać.

- Gdzie jest zawór doprowadzający gaz do grzejnika? - spytał niecierpliwie Adam.

- Zawór? - powtórzyła, przyciskając palce do zamkniętych powiek. - Nie mam pojęcia, zawsze po prostu włączam grzejnik, gdy się zrobi zimno. Czekać... Na tyłach kuchni są zbiorniki gazu, po jednym na każdą wieć.

- Musimy stąd jak najszybciej wyjść - zarządził Adam, zerkając z niepokojem na grzejnik.

- Ale jak? Drzwi zamknięte, a skoku w cynie Jamiego chyba nie przeyjemy - odparła, spoglądając na leżące wśród kwiatów roztrzaskane krzesło.

Odnalazłszy przycisk, Adam uruchomił mechanizm, otwierający wejście do labiryntu korytarzy.

- Tędy. - Wskazał ruchem dłoni.

- O, nie, nie idę! - zaparła się. - Za adne skarby świata! - Potrząsnęła głową, gdy pociągnął ją za łokieć.

- Nie wygłupiaj się!

Ju udało mu się ją przyciągnąć w pobliże otworu w ścianie, gdy ostatkiem sił

wyszarpnęła się.

- Idź sam, ja tu poczekam, a wrócisz i otworzysz drzwi - oświadczyła stanowczo.

- Posłuchaj mnie! - Potrząsnął jej ramionami.

- Nie wiem, ile czasu zajmie mi odnalezienie drogi w tej ciemności. Zanim zdąży wrócić po ciebie, może już nie żyć, nałykałaś się do gazu! Poza tym to stary grzejnik, jeśli dojdzie do zwarcia, może wyłeci w powietrze.

- Nie wejdę! - zawołała, drżąc z przerażenia.

- Boję się, nie rozumiesz?

- Mam nadzieję, że w takim razie zrozumiesz mnie - mruknął, po czym wymierzył jej cios w szczękę, tak że bezgłośnie osunęła mu się w objęcia.

Przerzuciwszy ją sobie przez ramię, wszedł do labiryntu. Zamykające się drzwi odcięły zarówno gaz, jak i światło, więc musiał poruszać się po omacku. Najważniejsze, by przebył bezpiecznie schody, nie chciał nawet myśleć, co by się stało, gdyby się potknął i spadł razem z Kirby ze stromych kamiennych stopni.

Słyszając szmer przebiegających szcurków, był nawet zadowolony, że Kirby była nieprzytomna, bo w przeciwnym razie byłoby mu trudno nad nią zapanować. Nie miał

wątpliwości, że zwisające gęsto z sufitu pajęczyny tak go wpędziłyby ją w histerię.

Gdy już pokonał wszystkie schody, okazało się, że odnalezienie działającego mechanizmu tak było niełatwa wyczynem, gdy pierwszy przycisk nie funkcjonował.

Zakławszy pod nosem, ruszył w poszukiwaniu kolejnego. Po kilkudziesięciu krokach natrafił

na następny przycisk i mechanizm uruchomił się z charakterystycznym skrzypieniem.

Przedostawszy się przez wąski otwór, przez moment stał w miejscu, oślepiiony promieniami słonecznymi, zaraz jednak ruszył szybkim krokiem między pokrytymi białym płótnem sprzętami.

Na pierwszym piętrze natknął się na Cardsa, który szedł z naręczem czystej bielizny pościelowej.

- Zakręć dopływ gazu do pracowni Kirby - polecił, nie zwalniając kroku. - I nie pozwól się nikomu tam zbliżyć.

- Dobrze, panie Haines - odparł kamerdyner bez zbędnych pytań.

Złazłszy się w pokoju Kirby, położył ją na łóżku, a następnie podszedł do okna, aby wpuścić świeże powietrze. Ogarnęły go mdłości, toteż wziął kilka głębokich oddechów. Gdy poczuł się lepiej, powrócił do Kirby. Wciąż leżała w bezruchu, tylko jej policzki z rumianych stały się blade. Przestraszony, przyłożył kciuk do jej szyi, chcąc sprawdzić puls. Na szczęście serce biło rytmicznie, więc poszedł do łazienki i zmoczył ręcznik zimną wodą, a następnie przetarł nim twarz Kirby.

Najpierw zakaszłała mocno, po czym otworzyła oczy i spojrzała na niego z wyrzutem.

- Uderzyłeś mnie!

Słyszając oburzenie w jej głosie, roześmiał się z ulgą.

- Uderzyłem? Ale skądże znowu, ledwie cię dotknąłem.

- Akurat - mruknęła, siadając. Zakręciło jej się w głowie, ale zamknawszy oczy, przeczekwała najgorsze objawy. - Należo mi się - przyznała z bladym uśmiechem. -

Przepraszam, e tak histeryzowałam.

- Wystraszyłaś mnie - westchnął, opierając czoło o jej policzek. - Jesteś chyba jedyną kobietą, która w przeciągu pięciu minut otrzymała propozycję małżeństwa i cios w szczękę.

- Komplikacje to moja specjalność. - Położyła głowę na poduszkach. - Odciałeś dopływ gazu?

- Cards się tym zajął.

- Świetnie. - Zaczęła nerwowo skubać narzutę. - To chyba pierwszy raz ktoś próbował mnie zabić.

Fakt, e zdawała sobie z tego jasno sprawę, bardzo ułatwiał sprawę, przynajmniej Adam nie musiał jej tego uświadamiać.

- Najpierw zadzwonimy po lekarza. - Poglądził ją po policzku. - A potem na policję.

- Nie potrzebuję lekarza. Trochę mi się kręci w głowie, ale to przejdzie. - Ujęła jego dłoń obydwoma rękami. - I wiesz, e nie mo emy zadzwonić na policję.

- Kirby, to standardowe postępowanie w przypadku próby zabójstwa - wyjaśnił, widząc upór w jej oczach.

- Będą zadawać irytujące pytania i szperać po całym domu. - Skrzywiła się. -

Widziałam to w filmach.

- To nie film, to ycie! - achnął się. - Kirby, przecie mogłaś zginąć. Gdybyś była tam sama, ju byłoby po Tobie! Nie pozwolę, eby następna próba mu się powiodła.

- A więc myślisz, e to Stuart? Mo e masz rację, choć nie sądziłam, e jest wystarczająco przebiegły. Z drugiej strony, to tylko domysły, nie mo emy mu nic udowodnić.

- To się jeszcze oka e - mruknął.

Z tęsknotą myślał o chwili, gdy uda wreszcie dostanie Hillera w swoje ręce i odplaci mu za wszystko, co jej uczynił.

- Nie wiedziałam, jakie to przyjemne, gdy się ma ądnego krwi obrońcę. - Pogłaskała go po policzku. - Po co mi policja, skoro mam ciebie?

- Nie próbuj mnie wymanewrować.

- Wcale nie próbuję - spowa niała. - Przecie wiesz, e nie mo emy wezwać policji.

Nie byłabym w stanie odpowiedzieć na większość ich pytań. Papa musi najpierw zakończyć sprawę Rembrandta, inaczej naraziłabym go na powa ne kłopoty. Za nic nie podejmę tego ryzyka.

- Twój ojciec nie pójdzie do więzienia - zapewnił. Był gotów uczynić wszystko, co w jego mocy, aby Philip Fairchild nie znalazł się w więzieniu, nie mógł jednak tego teraz powiedzieć. - Czy sądzisz, e ojciec kontynuowałby swoją... działalność, gdyby wiedział o tym, co się stało?

- Nie jestem w stanie przewidzieć jego reakcji. Nie wiem, czy ze złości nie zniszczy Rembrandta albo nie zaatakuje Stuarta. Proszę, nie mów mu na razie nic. - Spojrzała na niego błagalnie. - Pozwól, e sama mu to powiem, na swój sposób. Poza dziś wieczorem na kolację przychodzą Harriet i Melanie.

- Jak on mo e siedzieć z Harriet przy jednym stole, skoro ukradł jej obraz - obruszył

się Adam. - Jak w ogóle mógł zrobić coś takiego przyjaciółce?

- Nie wiem - odparła krótko, spuściwszy powieki, aby nie zobaczył bólu w jej oczach.

- Przepraszam - zreflektował się.

- Nie przepraszaaj, masz prawo zadawać takie pytania. Uwa am, e i tak do tej pory zachowujesz się cudownie - pochwaliła.

- Wcale nie - zaprotestował, przyciskając opuszki palców do zamkniętych powiek.

- Pozwól, e ja to ocenię. I daj mi jeszcze jeden dzień. - Ujęła go za nadgarstki, czekając, a opuści dłonie. - Daj mi dzień. Obiecuję, e porozmawiam z papą. Mo e uda mi się wszystko wyprostować.

- Dobrze, masz jeden dzień - zgodził się niechętnie. - Jeden dzień i ani chwili dłu ej.

Jutro opowiesz ojcu o tym, co się stało, z najdrobniejszymi szczegółami. Jeśli nie zgodzi się załatwić sprawy Rembrandta, spróbuję go przekonać.

- Zgoda.

- A ja zajmę się Hillerem.

- Chyba nie będziesz się z nim bił?!

- A czemu nie? - Uniósł brwi.

- Nie chce, eby cię posiniaczył - wyjaśniła.

- Dziękuję, e masz we mnie taką wiarę - roześmiał się.

- Mój ty bohaterze! - zawołała, zarzucając mu ramiona na szyję. - Jestem pewna, e będzie bał się ciebie tknąć.

- Przepraszam, panno Fairchild.

- Tak, Cards? - Uśmiechnęła się do stojącego w drzwiach kamerdynera.

- Zdaje się, e krzesło wyleciało przez okno pani pracowni. Niestety, wylądowało na klombie cynii - poinformował.

- Tak, wiem, Podejrzewam, e Jamie jest bardzo niezadowolony.

- Bardzo.

- Strasznie mi przykro, Cards - westchnęła. - Mo e nowa kosiarka go udobrucha. Czy mógłbyś zatroszczyć się o nowe okno?

- Oczywiście. - Kamerdyner skinął głową.

- I wymień ten przestarzały grzejnik na coś nowoczesnego - dorzucił Adam.

Kątem oka spostrzegł, jak Cards szuka wzrokiem potwierdzenia u Kirby.

- Jak najszybciej, proszę - poparła go. Skinąwszy głową, kamerdyner wycofał się z pokoju.
- Odpocznij trochę - polecił, opuszczając ją z powrotem na poduszki.
- Ale ja się ju dobrze czuję! - zaprotestowała.
- Chcesz, eby ci znowu przyło ył? - zagroził ze śmiechem. - Odpocznij, bo inaczej będę musiał wezwać lekarza.
- Szanta ysta - mruknęła. - A mo e chciałbyś poodpoczywać razem ze mną? -

zapropnowała, podnosząc się, aby pocałować go w usta.

- Ju ja widzę ten odpoczynek.
- No dobrze, zdrzemnę się pół godziny - ustąpiła.
- Świetnie. - Wstał. - Wrócę po ciebie.
- Będę czekać. - Uśmiechnęła się.

Adam obserwował z okna w salonie zachód słońca. Czuł się zmęczony utrzymywaniem pozorów, a tak e półprawdami i kłamstwami. To się musi jak najszybciej skończyć, pomyślał. Jutro. Wymusi na Fairchildzie rozwiązanie sprawy oraz opowie Kirby o wszystkim, o McIntyre, o zadaniu i wszystkim innym. Jeśli jej tego nie powie, mo e zapomnieć o jakichkolwiek szansach u niej, gdyby przypadkiem dowiedziała się o wszystkim.

Zgodnie z obietnicą udał się do jej pokoju. Stanąwszy pod drzwiami, usłyszał szum wody, a tak e wesołe nucenie. Odetchnął z ulgą. Przez moment rozwa ał dołączenie do niej, ale przypomniał sobie, jaka była blada i zmęczona, tote postanowił odlo yć to na bardziej sprzyjającą porę.

- Gdzie jest to okropne dziewczynisko? - zapytał Fairchild, stając za jego plecami. -

Cały dzień się gdzieś chowa.

- Kąpie się - poinformował Adam.
- Mam nadzieję, e ma przekonywujące wytłumaczenie. - Z naburmuszoną miną Philip poło ył dłoń na klamce.
- Wytłumaczenie czego? - zainteresował się Adam.
- Zaginięcia moich butów.
- Wątpię, eby je miała.
- Skandal! - zagrzmiął Fairchild. - Człowiek wbija się w garnitur, dusi krawatem, a tu nagle się

okazuje, e nie ma butów.

- A pytałeś mo e Cardsa? - podsunął Adam.

- Cards nie dałby rady wcisnąć swych wielkich angielskich stóp w moje buty. -

Zmarszczył czoło. - Z drugiej strony, to przecie on miał mój smoking.

- Otó to.

- Ten człowiek to prawdziwy kleptomani - skar ył się Fairchild. - Na twoim miejscu, Adamie, sprawdziłbym, czy nie zginęły mi slipki. Za pół godziny podajemy w salonie koktajle, nie spóźnij się.

Adam poszedł się przebrać. Wiązał właśnie krawat, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

Zanim zdą ył się odezwać, w drzwiach stanęła Kirby. Ubrana w obcisły kombinezon z połyskliwego, miękko układającego się czarnego materiału, wyglądała wyjątkowo ponętnie.

Pięć złotych łańcuszków, otaczających jej talię, dodawało jej egzotycznej elegancji.

Świadoma wra enia, jakie na nim zrobiła, uśmiechnęła się lekko, po czym przybrała kuszącą pozę.

- Witaj, sąsiedzie.

Kołysząc biodrami, podeszła do niego. Ujawszy ją pod brodę, Adam uniósł jej twarz.

Makija zdradzał rękę artystki, doświadczonej w optymalnym doborze kolorów. Ró , podkreślający owal twarzy, nało ony był perfekcyjnie, zaś szminka idealnie dobrana do odcienia jej karnacji.

- Wyglądasz ju lepiej - ocenił.

- Stać się na lepsze komplementy.

- Jak się czujesz?

- Czułabym się du o lepiej, gdybyś przestał się tak ciągle dopytywać o moje zdrowie, jak gdybym cierpiała na jakąś śmiertelną chorobę. - Zarzuciła mu ramiona na szyję. - I gdybyś mnie pocałował, jak nale y.

Pochyliwszy się najpierw musnął wargami jej powieki, następnie skronie, a dopiero potem dotknął jej ust.

- Kocham cię - wyszeptała, nie otwierając oczu. - Nie wiem, czy wystarczy mi ycia, eby ci to dostatecznie okazać.

- Mamy przed sobą jeszcze wiele lat. - Odsunął ją lekko, aby móc podnieść do ust jej dłonie. - Całe ycie razem.

- Niestety będziemy musieli chyba zaraz zejść do salonu, bo Harriet i Melly powinny się zjawić lada chwila - westchnęła.

- Szczerze mówiąc, wolałbym tu z tobą zostać i kochać się do samego świtu.

- Nie kuś mnie, jeśli nie chcesz, ebym rzuciła ci wyzwanie - ostrzegła ze śmiechem. -

Poza tym odkąd powiedziałam Harriet, e pomogłeś mi z Tycjanem, uwa a cię za ósmy cud świata i nie chciałabym, ebyś stracił w jej oczach, spóźniając się na kolację.

- W takim razie chodźmy czym prędzej - zdecydował, podając jej ramię.

Z pozoru Kirby wydawała się kipieć energią, jak zwykle artowała, droczyła się z ojcem, ywo uczestniczyła w dyskusji na temat współczesnej sztuki, jednak e Adam z niepokojem obserwował ślady silnych prze yć, jakie dostrzegał na jej twarzy mimo starannego makija u. Mimo najlepszych starań, nie była w stanie ukryć przed nim bladości policzków ani lekkich cieni pod oczami.

- Adamie. - Harriet ujęła go pod rękę, gdy przechodzili z jadalni do salonu. - Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie zobaczę portret Kirby.

- Ju wkrótce - zapewnił. - Gdy tylko gotowy, będziesz pierwszą osobą, której go poka ę.

- Domyślam się, e nie uda mi się więcej wytargować, prawda? - westchnęła. - Usiądź

przy mnie - poleciała, rozkładając suto marszczoną spódnicę na sofie. - Kirby pozwoliła mi z tobą poflirtować.

Uwagi Adama nie uszedł delikatny rumieniec, który wypłynął na policzki Melanie, zawstydzonej bezpośredniością matki.

- Chyba nie potrzebujemy jej zezwolenia? - roześmiał się, całując dłoń Harriet.

- Czy zechcesz przyjąć naszyjnik z krokodylich zębów jako dowód mojej wdzięczności?

- Na litość boską, mamó! - wtrąciła się Melanie.

- Czemu niby Adam miałby przyjąć takie okropieństwo?

- Bo jest dobrze wychowany - odparowała.

- Adam zgodził się, ebym jako pierwsza pokazała portret Kirby w naszej galerii.

Chcę mu się jakoś odwdzięczyć.

Adam spojrzał na nią z podziwem. Harriet wykazała się imponującym refleksem.

Domyślił się, e Melanie nie ma pojęcia o niezwykłym hobby matki i Philip Fairchilda. Nie miał

wątpliwości, e nawet gdyby ją wtajemniczono, nie wykazałaby tyle zrozumienia, co Kirby.

- Panie Fairchild, pański jastrząb wygląda bardzo obiecująco - odezwał się wreszcie Rick, który od początku kolacji nie wypowiedział ani słowa.

- Ach, dziękuję! - uradował się Fairchild i zaczął długi, szczegółowy wykład na temat zastosowania suwmiarki w procesie rzeźbienia.

- No to Rick wpadł po uszy - zawyrokowała Kirby.

- Papa nie ma litości dla osób, które wyka ą zainteresowanie jego pracą.

- Nie wiedziałam, e wuj Philip zajął się rzeźbą - wtrąciła się Melanie.

- Tylko nie wdawaj się z nim w rozmowę na ten temat, bo nigdy się nie wyrwiesz z jego szponów - poradziła Kirby, przypatrując się jej eleganckiej wrzosowej sukni. - Melly, zastanawiałam się ostatnio, czy nie zgodziłabyś się zaprojektować dla mnie sukni. Melanie podniosła na nią wyraźnie zaskoczone spojrzenie.

- Bardzo chętnie, przecie namawiam cię od lat, tylko zawsze odmawiałaś, bo nie cierpisz przymiarek.

Rzeczywiście, Kirby nie cierpiała stać beczynnienie, podczas gdy upinano na niej materiał, ale suknia ślubna to zupełnie inna historia. Postanowiła jednak na razie nic nie wspominać na ten temat, chciała, aby ojciec jako pierwszy dowiedział się o jej planach.

- To prawda, zwykle kupuję gotowe rzeczy, które wpadną mi w oko.

- Zauwa yłam - westchnęła Melanie, przewracając oczami. - A więc to jakaś specjalna okazja?

- Postanowiłam zacząć cię naśladować - odparła wymijająco. - Wiesz przecie , e zawsze cię podziwiałam. Czy sądzisz, e udałoby ci się zaprojektować suknię, w której wyglądałabym grzecznie i skromnie?

- Grzecznie i skromnie? - Harriet powtórzyła z rozbawieniem. - Moja droga, Melanie jest bardzo utalentowana, ale nie jest cudotwórczynią. Nawet jako mała dziewczynka w tej muślinowej sukience na portrecie wyglądałaś tak, jakbyś potrafiła przechytryć najbardziej szczwanego lisa. Philipie, musisz mi koniecznie po yczyć ten portret Kirby, ebym go mogła wywiesić w galerii.

- Zobaczymy. - Oczy Fairchilda załśniły. - Musisz mnie trochę ponamawiać, jestem do niego bardzo przywiązany. Poza tym jest cenniejszy ni by się wydawało - dodał, nalewając sobie drinka.

- Chyba do końca ycia będzie mi wypominał, e kazałam sobie zapłacić za pozowanie. - Kirby uśmiechnęła się pogodnie. - Zapomina, e tylko raz zmusiłam go do wypłacenia honorarium.

- Bo tylko raz udało mi się namówić cię do pozowania - przypomniał jej ojciec. - A Melly pozowała mi za darmo, z dobroci serca.

- To dlatego, e Melly ogólnie jest miłsza ode mnie - podsumowała Kirby. - A ja lubię być samolubna.

Gdy wieczór dobiegał końcowi, a Harriet i Melanie zbierały się do wyjścia, ból głowy sprawiał, e Kirby ledwie widziała na oczy. Miała nadzieję, e sen pozwoli jej pozbyć się tej przykrej dolegliwości. Jak się okazało, Adam podzielał jej zdanie, gdy ledwie za gośćmi zamknęły się drzwi, pociągnął ją za ramię w kierunku schodów, nic sobie nie robiąc z towarzystwa jej ojca i Ricka.

- Marsz do łó ka - zarządził.

- Nie powinieneś raczej ciągnąć mnie za włosy, a nie za ramię?

- Mo e następnym razem, gdy moje zamiary będą mniej niewinne ni dziś - odparł. -

Masz się wyspać - nakazał, zatrzymując się przy jej drzwiach.

- Ju ci się znudziłam? - udawała ura ona.

W następnej chwili pocałował ją mocno i namiętnie, tak e zmiękły jej kolana.

- Widzisz, jaki jestem tobą znudzony? Naprawdę, strasznie mam cię ju dość.

- Mo e jest coś, co mogłabym zrobić, eby to zmienić? - Wsunęła dłonie pod jego marynarkę.

- Tak, mo esz odpocząć. - Ujął jej ramiona. - To twoja ostatnia szansa, od jutra nie pozwolę ci spać samej.

- To mam dziś spać sama? - Wydęła usta. Wcale nie było mu łatwo wrócić do siebie, z całej siły pragnął pochwycić ją na ręce, wnieść do sypialni i kochać się z nią do utraty tchu, musiał jednak być rozsądny za nich obydwój. Poza tym chciał wykorzystać ten czas do rozwiązania zagadki, bo marzył, aby wreszcie móc wszystko jej wyznać.

- Mo e cię to zdziwi, ale nie jesteś Superkobietą - zauwa ył pogodnie.

- Naprawdę? A to niespodzianka.

- Dlatego potrzebujesz porządnie się wyspać, eby nabrać sił. - Uścisnął mocno jej dłonie. - A jutro porozmawiamy.

- O czym? - zdumiała się, bo pomimo zmęczenia dostrzegła w nim napięcie, którego przyczyn nie pojmowała.

- Jutro się dowiesz. A teraz idź spać. - Pchnął ją lekko do środka. - Bo jeśli jutro rano nadal będziesz się źle czuła, będę musiał zatrzymać cię w łó ku i rozpieszczać przez cały dzień.

- Obiecujesz? - Uśmiechnęła się zawadiacko.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Mimo najszczerzej chęci Kirby nie była w stanie zasnąć. Nie pomogło uklepywanie poduszki, recytowanie w myślach nudnych wierszy ani te liczenie owiec. W odruchu rozpaczy włączyła stojące obok łóżko radio i odszukała program, w którym nadawano muzykę kameralną. Mimo tych wysiłków sen jakoś nie chciał nadejść.

Zrezygnowana, zaczęła się zastanawiać, co to może stanowić przyczynę jej bezsenności. Nie był to strach - jeśli nawet Stuart chciał ją zabić, nie powiodło mu się. Poza tym miała Adama, więc nie musiała się lękać. Nie, stanowczo nie był to strach.

Chodzi o Rembrandta, pomyślała olśniona. Od chwili gdy zobaczyła tego wieczoru Harriet, nie była w stanie myśleć o niczym innym. Przecie Harriet była dla niej jak matka!

Gdy jako jedenastolatka zachorowała na gripę, to właśnie Harriet ją pielęgnowała i zносиła jej humory. Jak więc mogła spać, wiedząc, że gdzieś w domu leży obraz, który należy do Harriet, o czym sama właścicielka nie ma zielonego pojęcia.

Przekręciwszy się na drugi bok, Kirby zdecydowała, że skoro już nie może zasnąć, może równie dobrze spędzić ten czas na próbie rozwiązania problemu. Była przekonana, że ojciec nie zrobiłby nic, co mogłoby skrzywdzić Harriet. Może chodziło o zemstę na Stuarcie? Nie, niemożliwe - zerwała zaręczyny podczas podróży Harriet do Afryki, a zamiany obrazów musieli dokonać dużo wcześniej. Na pewno nie chodziło o pieniądze ani o chęć posiadania tego obrazu we własnej kolekcji, Kirby doskonale wiedziała, jaki pogląd ma ojciec w kwestii chciwości. Z drugiej strony, kradzieży obrazu z kolekcji przyjaciółki również nie było w jego stylu.

Skoro nie potrafiła znaleźć powodu, może udałoby jej się odnaleźć sam obraz?

Zacząła gorączkowo przypominać sobie wszystko, co ojciec powiedział jej na ten temat.

Obraz był ukryty w domu, w bezpiecznym miejscu, a ojciec stwierdził, że włożył go do serca w znalezienie odpowiedniej kryjówki... Gdzie to mogło być?!

Zirytowana, ponownie przekręciła się na drugi bok. Była naprawdę zmęczona, powinna starać się zasnąć, a nie roztrząsać setki prawdopodobnych rozwiązań. Zamknąwszy oczy, ziewnęła szeroko. Pomyślę o tym jutro, obiecała sobie, przykładając głowę do poduszki.

Niestety, jakieś bliżej niezidentyfikowane wspomnienie cały czas ją męczyło. Ułożyła się na wznak. Co to ojciec mówił Adamowi następnego wieczoru po zamianie obrazów Tycjana? Wchodząc do pracowni, usłyszała coś, co wydało jej się teraz istotne. Coś o tym, że jej udział jest symboliczny... Co to mogło znaczyć?! Już miała się poddać, gdy coś jej zaświtało w głowie.

- To przecie bardzo do niego podobne! - zawołała, zrywając się na równe nogi.

Chwyciwszy szlafrok, wybiegła na korytarz. Może powinna obudzić Adama i opowiedzieć mu o swoich podejrzeniach? Z drugiej strony, były to tylko domysły, być może niesłuszne, a przecie Adam

tak e miał za sobą cię ki dzień. Lepiej będzie, jeśli obudzi go dopiero wtedy, gdy dowie się czegoś konkretnego. Miała nadzieję, e się nie myli, bo w przeciwnym razie ojciec rozszarpie ją na kawałki!

Zanim zeszła do jadalni, pobiegła szybko do ojcowskiej pracowni, skąd zabrała terpentynę, szmatkę oraz kilka gazet. Całą drogę odbyła po ciemku, bo nie chciała, aby ktoś zainteresował się, dlaczego biega o tej porze po domu zamiast spać. Dopiero gdy dotarła do jadalni, włączyła światło, bo tam mógł dotrzeć jedynie Cards, a on by nie kwestionował jej obecności.

Szybko rozło yła gazety na stole.

- Jesteś piekielnie sprytny, papo - wyszeptała, patrząc na swój portret. - W yciu bym nie wpadła na to, e to kopia.

Zdjąwszy portret ze ściany, uło yła go na gazetach.

- Jest cenniejszy ni by się wydawało - powtórzyła słowa ojca. - Sprytne, bardzo sprytne. - Potarła płótno szmatką, nasączoną terpentyną. - Wybacz mi, papo.

Wprawnym ruchem zdejmowała z prawego dolnego rogu płótna warstwy farby.

Zniknął podpis ojca, następnie jasnozielone tło trawy, a na końcu grunt. Pod nim zaś, tam, gdzie powinno być ju tylko płótno, ukazało się ciemnobrązowe tło, a na nim litera, obok druga. Wystarczyło.

- A niech to lichu! - mruknęła do siebie. - Jednak miałam rację.

Poni ej stopy dziewczynki znajdował się autograf Rembrandta.

- No, papo, przeszedłeś samego siebie - zauwa yła z podziwem, zakręcając butelkę z terpentyną.

- Nikt by na to nie wpadł, e mógłbyś skopiować samego siebie.

- Nikt poza tobą - odezwał się znajomy głos. Odwróciła się na pięcie. Dobrze jej znana postać poruszyła się w ciemnym korytarzu. Kirby nie bała się, ale zastanawiała się gorączkowo, jak ma to wszystko wyjaśnić.

- U was spryt jest rodzinny, prawda?

- Podobno. - Uśmiechnęła się blado. - Pozwól, e wyjaśnię. Lepiej wyjdź z cienia i usiądź - poradziła.

- To długa... - Zamarła na widok wycelowanej w nią lśniącej lufy niedu ego pistoletu.

- Melly, o co chodzi?

- Zdziwiłaś się? To dobrze. - Z pełnym zadowolenia uśmiechem Melanie wycelowwała pistolet w jej głowę. - Mo e jednak nie jesteś a taka sprytna.

- Proszę, odłó pistolet.

- Nie mam najmniejszego zamiaru. - Opuściła lufę na tyle, e teraz wycelowana była w klatkę piersiową Kirby. - A jeśli się ruszysz, naciśnę spust.

- Melly, odłó to proszę i usiądź. - Nie bała się ani trochę, bo niby czemu miała się obawiać dziewczyny, z którą się wychowywała. - Co ty tu robisz o tej porze?

- Po pierwsze, przyszedłam, eby odnaleźć obraz, w czym mnie łaskawie wyręczyłaś. Po drugie, eby dokończyć to, co mi się nie udało dziś rano.

- Dziś rano? - powtórzyła, robiąc krok w jej kierunku. Mechanizm pistoletu szczęknął złowieszczo. - Melly...

- Rozumiem,

e pomyliłam się w obliczeniach, inaczej byłabyś ju martwa.

Zapomniałaś ju , e się świetnie orientuję w tych sekretnych korytarzach, prawda? Kiedy byliśmy małe, zmuszałaś mnie do wchodzenia do nich, pamiętasz. A wreszcie zepsuła ci się latarka i przestałaś. Nie wiem, czy wiesz, ale to ja ci podmieniłam wtedy baterie. -

Roześmiała się złowieszczo. - Dziś rano odnowiłam znajomość z korytarzami. Kiedy ju upewniłam się, e zabraliście się z Adamem do pracy, zeszedłam na dół i odkręciłam zawór gazu. Włącznik popsułam ju wcześniej.

- Chyba artujesz! - Kirby przeczesła palcami włosy.

- Mówię jak najbardziej powa nie.

- Ale dlaczego? - nie rozumiała.

- Głównie dla pieniędzy, oczywiście.

- Dla pieniędzy? - Nie wierzyła własnym uszom.

- Przecie nie brakuje ci pieniędzy.

- Tak ci się tylko wydaje - syknęła. - Właśnie e mi brakuje.

- Przecie nie chciałaś przyjąć pieniędzy od mę a.

- To on nie chciał mi dać ani grosza - poprawiła.

- Miał prawo, udowodnił mi zdradę. zaproponował cichy, dyskretny rozwód, dzięki któremu nasza reputacja nie ucierpiała. Zgodziłam się, zawsze ceniłam sobie dyskrecję. Stuart i ja byliśmy bardzo

uwa ni.

- Stuart? - powtórzyła Kirby, masując skronie.

- Ty i Stuart?

- Tak, nie domyśliłaś się, prawda? Jesteśmy kochankami od trzech lat. - Melanie przybliżyła się o krok. - Opłacało nam się udawać, e jesteśmy tylko znajomymi.

Przekonałam Stuarta, eby ci się oświadczył. Twoje pieniądze bardzo by się nam obojgu przydały. Poza tym dzięki temu mielibyśmy lepszy dostęp do twojego ojca.

- Czego chcecie od niego?

- Parę lat temu odkryłam to małe hobby jego i mojej matki, pomyślałam więc, e mogłabym jakoś sportkować jego talent.

- Czyli kraść to, co nale y do twojej matki!

- Ech, nie bądź taka zasadnicza - achnęła się Melanie. - Twój ojciec przecie te ją wyrolował, a potem do tego jeszcze i nas. Na szczęście bardzo mi ułatwiłaś sprawę. - Ruchem dłoni wskazała na obraz.

- Powinnam się właściwie cieszyć, e nie udało mi się dziś rano. Gdyby nie ty, pewnie bym nadal szukała.

- Melly, jak mogłaś zrobić coś takiego? - nie rozumiała Kirby. - Przecie całe ycie byliśmy przyjaciółkami.

- Przyjaciółkami? - wycodziła tamta. - Odkąd pamiętam zawsze serdecznie cię nienawidziłam.

- Ale Melly...

- Nienawidziłam cię - powtórzyła. - To zawsze wokół ciebie tłoczyli się mę czyźni.

Nawet moja matka zawsze cię wołała.

- To nieprawda - sprzeciwiła się Kirby. - Melly...

- Zrobiła krok w jej kierunku, ale gdy pistolet ponownie szczęknął, zamarła w bezruchu.

- Melanie, nie bądź taka sztywna i oficjalna... Melanie, gdzie twoje poczucie humoru?

- Zmrużyła oczy. Nigdy wprawdzie nie powiedziała wprost, e powinnam być podobna do ciebie, ale i tak na jedno wychodziło.

- Przecie Harriet cię kocha...

- Kocha mnie? - Melanie roześmiała się cynicznie.

- A co mi z tego przyjdzie? Jej miłość nie kupi mi tego, czego potrzebuję. Zresztą zupełnie mi to nie przeszkadza, e odebrałaś mi matkę, bardziej mnie bolało, gdy zabierałaś mi tych wszystkich facetów sprzed nosa.

- Przecie nigdy ci adnego nie odebrałam - zaprotestowała Kirby. - Nigdy nie okazałam najmniejszego zainteresowania adnemu, który ci się naprawdę podobał.

- Nie musiałaś nic okazywać, wystarczyło, e się uśmiechnęłaś i od razu o mnie zapominali. Niestety, jak na złość nie zakochałaś się w Stuarcie. Tak bardzo chciałam, ebyś oszalała na jego punkcie, bo wiedziałam, e on jeden jedyny wolał mnie. Kiedy przyszłaś do niego tamtego wieczoru, ledwie się powstrzymałam od wyskoczenia z łó ka, tak bardzo chciałam zobaczyć twój wyraz twarzy.

- Wykorzystałaś mnie - zauwa yła cicho Kirby. - Namówiłaś Stuarta, eby mnie wykorzystał. Dlaczego? Czemu udawałaś przez te wszystkie lata?

- Byłaś bardzo u yteczna. Nawet jako dziecko zdawałam sobie z tego sprawę. Gdy wyjechałam do Pary a, twoje nazwisko otwierało mi ka de drzwi. Zresztą podobnie było w Nowym Jorku.

- I to tyle? Jedyny powód?

- Owszem. Teraz nie jesteś mi ju do niczego potrzebna. Co więcej, stałaś się bardzo niewygodna. Początkowo planowałam twoją śmierć jako ostrze enie dla wuja Philip, ale teraz to ju zwykła konieczność. Weź obraz, Kirby - poleciała, wciąż trzymając ją na muszce. -

Tylko ostro nie, bo jest bardzo cenny, zaoferowano nam za niego całkiem znaczną sumę pieniędzy. Jeśli teraz krzykniesz, zastrzelę cię i zanim się ktoś pojawi, ju dawno mnie tu nie będzie.

- Co chcesz zrobić?

- Wejdziemy do labiryntu. Pośliźniesz się i złamiesz kark, a ja zabiorę obraz i pojedę do domu, gdzie będę czekać na wiadomość o twoim nieszczęśliwym wypadku.

Kirby nie mogła sobie darować, e jednak nie obudziła Adama. Na pewno nie znalazłaby się w takich tarapatach.

- Widzę, e świetnie to sobie obmyśliłaś, Melly - skomentowała, chcąc zyskać na czasie. - Ale czy naprawdę potrafiłabyś mnie zabić? - Oparła dłonie na stole. - Mam na myśli prawdziwe morderstwo, twarzą w twarz. - Dotknęła butelki z terpentyną. - Takie morderstwo na odległość, jak ta próba dziś rano, to coś zupełnie innego.

- Ale oczywiście, e bym potrafiła - Uśmiechnęła się. - Nawet wolę taki bezpośredni sposób. No, dalej, bierz obraz, nie mamy czasu.

Kirby szybkim ruchem chlusnęła terpentyną na szyję i sukienkę Melanie. Gdy tamta uniosła dłonie w obronnym geście, rzuciła się na nią, po czym zaczęły się szarpać na podłodze. Pomiędzy nimi tkwił

naładowany pistolet.

- To niemo liwe, eby Hiller był od wczoraj w Nowym Jorku - orzekł Adam. - To, co się stało dziś rano, to nie był wypadek. Jestem pewien, e Hiller maczał w tym palce.

- Wierz mi, Hiller jest w Nowym Jorku - powtórzył z naciskiem McIntyre. - Pilnuje go jeden z moich najlepszych ludzi. Mogę ci podać nazwę jego hotelu i nazwę restauracji, w której jadł lunch, podczas gdy ty rzucałeś krzesłem w okno. Ma świetne alibi, Adamie, ale to nie znaczy, e tym nie kierował.

- Nie podoba mi się to, Mac. - Pokręcił głową z dezaprobatą. - Jeśli Hiller ma partnera, to Kirby znajduje się w większym niebezpieczeństwie, ni mi się to do tej pory wydawało.

Powinna dostać ochronę.

- Zobaczę, co się da zrobić. Jeśli chodzi o Rembrandta...

- Nie kłopotz się o Rembrandta - wpadł mu w słowo Adam. - Zdobędę go jutro, nawet jeśli będę musiał powiesić Fairchilda za uszy.

- Od razu lepiej - McIntyre odetchnął z ulgą. - Ju się martwiłem, e ta Fairchildówna zawróciła ci w głowie.

- Bo mi zawróciła w głowie - wyjaśnił spokojnie.

- Dlatego postaraj się jak najszybciej załatwić...

- Urwał, usłyszawszy strzał. - Kirby! - zawołał, rzucając nadajnik na łó ko.

Biegnać w dół po schodach, raz po raz powtarzał jej imię, ale odpowiadała mu tylko cisza. Wołał, a Kirby się nie odzywała. Biegną korytarzem, przyciskał ka dy napotkany włącznik światłą, rozświetlając cały dom. Wpadłszy jak burza do jadalni, niemal e potknął się o coś, co le ało na podłodze.

- O mój Bo e - jęknął.

- Zabiłam ją, Adamie, zabiłam ją! - wyjęczała Kirby. - Pomó mi! Zabiłam ją!

Po jej policzkach płynęły ogromne łzy. Przyciskała zakrwawioną chusteczkę do boku Melanie. Czerwona plama na wrzosowym jedwabiu rozrastała się w błyskawicznym tempie.

- Przyciskaj mocno - polecił, po czym szybko przetrząsnął szuflady komody, w których znalazł lniane serwetki. Podał je Kirby, a następnie przykucnął przy Melanie, aby sprawdzić jej puls. - yje - ocenił.

W jadalni zapanował chaos, gdy w jednej chwili zjawili się tam wszyscy domownicy, zaalarmowani odgłosem wystrzału. Polly zaczęła piszczeć histerycznie.

- Wezwij karetkę - Adam polecił Cardsowi.

- Ucisz ją albo wyprowadź - zwrócił się do Ricka, wskazując ruchem głowy na pokojówkę.

- Kirby, co się tu stało? - dopytywał się Fairchild, klękając obok córki.

- Chciałam jej zabrać pistolet - wyjaśniła, przyglądając się z przerażeniem krwi, która barwiła jej palce. - Przewróciłyśmy się. Nie wiem, papo, która z nas pociągnęła za spust.

- Melanie miała broń? - Fairchild, nagle spokojny i opanowany, ujął ją za ramiona. -

Dlaczego? - Spojrzał jej prosto w oczy.

- Bo mnie nienawidzi - odparła drżącym głosem.

- Zawsze mnie nienawidziła, a ja nie miałam o tym pojęcia. - Przyszła po Rembrandta.

Wszystko zaplanowała.

- Melanie? - powtórzył z niedowierzaniem, zerkając na krwawiącą postać, leżącą tu obok na podłodze. - A więc to ona za tym stała. W jakim ona jest stanie? - zwrócił się do Adama.

- Nie mam pojęcia, jestem artystą, a nie lekarzem.

- Jego oczy ciskały gromy. - Przecie to mogła być Kirby!

- Masz rację - wyszeptał, ściskając ramiona córki.

- Masz rację.

- Znalazłam Rembrandta - oznajmiła ni z tego, ni z owego Kirby.

Jej ojciec spojrział najpierw na pustą ścianę, a następnie na stół.

- Rzeczywiście, znalazłaś.

Do jadalni wpadła Tulip. Odsunawszy Fairchilda, ujęła Kirby za ramię i pomogła jej wstać.

- Chodź ze mną, kochanie - poprosiła miękko głosem. - Chodź. Dobra dziewczynka.

Adam przyglądał się bezradnie, jak Tulip wyprowadza Kirby z jadalni. Fairchild podniósł się natychmiast.

- Idę zadzwonić do Harriet - poinformował. Dopiero godzinę później, gdy karetka odjechała, Adam mógł zmyć krew z dłoni. Jego myśli były przy Kirby, chciał ją jak najszybciej odnaleźć i dowiedzieć się, jak się czuje. Gdy znalazł się na parterze, dobiegły go odgłosy kłótni, niosące się echem wzdłuż korytarza.

- Chcę się natychmiast zobaczyć z Adamem Hainesem!

- Ładnie to tak zjawiać się bez zaproszenia, Mac?

- zapytał Adam, stając u boku Cardsa.

- Adam, dzięki Bogu, e jesteś - westchnął z ulgą McIntyre. - Nie wiedziałem, co się z tobą stało. Czy mógłbyś usunąć tę zaporę? - Zerknął w kierunku kamerdynera.

- W porządku, Cards, to mój znajomy.

- W takim razie proszę bardzo. - Cards odsunął się na bok.

- Co się dzieje? Kto to odjechał tą karetką?

- McIntyre zasypał Adama pytaniami. - Na litość boską, myślałem, e to mo e ty!

- Mieliśmy cię ki wieczór - westchnął Adam, prowadząc przyjaciela do salonu. -

Muszę się czegoś napić. - Podeszedł do barku i nalał sobie pełną szklanekę whisky, po czym wychylił ją jednym haustem. - Mo e te masz ochotę? - Nalał sobie kolejnego drinka. -

Wyborna whisky, na pewno du o lepsza od tego, co piłeś tym zapyziałym motelu nieopodal.

A, Philip. - Uśmiechnął się blado. - Podejrzewam, e tobie te drink zrobiłby dobrze.

- Rzeczywiście, poproszę. - Fairchild przyjął podaną mu szklaneczkę.

- Lepiej usiądźmy. Philipie, to Henry McIntyre, oficer śledczy w Commonwealth Insurance - dokonał prezentacji.

- Witam, panie McIntyre. Zanim porozmawiamy, chciałbym jednak, ebyś zaspokoił moją ciekawość, Adamie - poprosił. - Jak to się stało, e włączyłeś się w to śledztwo?

- Ju wiele razy współpracowałem z Henrym, ten jest jednak ostatni - wyjaśnił. -

Jesteśmy kuzynami.

- Ach, łączą was więzy krwi, rozumiem. - Fairchild uśmiechnął się promiennie.

- Pozwól, e ja równie zadam ci pytanie. Wiedziałaś, po co tu jestem, Philipie. Jakim cudem?

- Cóż, spodziewałem się, e ktoś się w końcu pojawi. Domyśliłem się, e to ty.

- Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, kto odjechał tą karetką? - domagał się McIntyre.

- Melanie Burgess - wyjaśnił Fairchild, zaglądając do pustej szklaneczki. - Melly.

Została postrzelona, gdy Kirby próbowała odebrać jej broń. Broń, z której Melly mierzyła do mojej

córki - uzupełnił smutnym głosem.

- Melanie Burgess - powtórzył Mac. - To by pasowało do informacji, które uzyskałem dziś po południu. Informacji, które bym ci przekazał, gdybyś się tak nagle nie rozłączył. -

Posłał twarde spojrzenie Adamowi. - Mo e zacniemy od samego początku? Zakładam, e policja jest ju w drodze?

- Tak, nie da się tego uniknąć, niestety. - Fairchild powoli sączył whisky, której dolał mu przed chwilą Adam.

W tym momencie w drzwiach stanęła Kirby, ubrana w białą bluzkę i d insy. Jej policzki były blade, ale oczy płonęły. Có za piękna kobieta, pomyślał McIntyre. Nie dziwił

się, e Adam stracił dla niej głowę.

- Kirby! - Adam zerwał się z miejsca i podszedł ku niej. - Jak się czujesz? - zapytał z troską, ujmując jej dłonie.

- W porządku. A co z Melanie?

- Z tego, co mówił lekarz, rana nie była taka groźna, jak się zdawało - uspokoił ją. -

Idź się poło yć, odpocznij.

- Nie, naprawdę nic mi nie jest. - Uśmiechnęła się lekko. - Zostałam umyta, uczesana i napojona. Chocia nie odmówiłabym kolejnego drinka. Policja zapewne zechce mnie przesłuchać. - Spostrzegłszy McIntyre, zało yła, e to on jest policjantem. - Chce pan ze mną porozmawiać?

- Najpierw chciałbym wysłuchać opowieści pani ojca, panno Fairchild.

- Nie jest pan jedyny - zauwa yła. - To jak papo, dowiemy się wreszcie czegoś?

- Chyba przyszedł ju czas na zwierzenia - westchnął jej ojciec. - Wszystko zaczęło się parę dni przed wyjazdem Harriet do Afryki. Jest nieco roztrzępana, więc któregoś wieczoru musiała wrócić do galerii po jakieś dokumenty, które zostawiła tam przez niedopatrzenie.

Dostrzegła światło w gabinecie Stuarta, więc postanowiła wejść i upomnieć go, e nie powinien pracować tak długo. Instykt zatrzymał ją jednak przy drzwiach. Podśluchiwała rozmowę telefoniczną, z której dowiedziała się o jego planach kradzie y Rembrandta.

Roztrzępana, ale przebiegła, wyszła po cichu, nie dając Stuartowi do zrozumienia, e poznała jego plany. Od razu skontaktowała się ze mną. Opracowaliśmy wspólnie plan. Być mo e powinniśmy byli wtajemniczyć w niego tak e i Kirby, ale wstrzymaliśmy się, ze względu na jej związek ze Stuartem. - Fairchild podniósł się i splótłszy dłonie na plecach, zaczął

przechadzać się po salonie. - Obydwoje z Harriet byliśmy przekonani, e Stuart nie jest zdolny do przeprowadzenia takiego szwindlu samemu, ale nie mieliśmy pojęcia, kto jest jego współnikiem. W rozmowie telefonicznej wymienił moje nazwisko, wspomniał, e wybada mnie, czy byłbym skłonny zrobić kopię. Nie mam pojęcia, na jakiej podstawie uwa ał, e mógłbym zrobić coś tak nieuczciwego.

- Niesamowite - mruknął Adam, na co ojciec i córka obdarzyli go olśniewającymi uśmiechami.

- Harriet i ja zdecydowaliśmy, e najpierw potarguję się o cenę, a następnie przechwyć oryginał, oddając Stuartowi kopię - kontynuował Fairchild. - Uznaliśmy, e wcześniej czy później jego współnik będzie musiał się ujawnić, eby odzyskać oryginał.

Harriet zgłosiła kradzie obrazu, ale nie chciała wnosić oskar enia, poleciła jedynie, eby firma ubezpieczeniowa działała ostro nie i dyskretnie. Powiedziała, e podejrzewa mnie o współudział, dlatego zasugerowała, eby śledztwo toczyło się wokół mnie, jednocześnie liczyliśmy,

e przy okazji Stuart i jego współnik zostaną zdemaskowani. Oryginał

Rembrandta ukryłem pod kopią portretu mojej córki.

- Czemu pani Merrick nie powiedziała od razu prawdy policji ani firmie ubezpieczeniowej? - nie rozumiał McIntyre.

- Obawialiśmy się, e wtedy zostałby złapany Stuart, a jego współnik nie poniósłby adnej odpowiedzialności - wyjaśnił Philip. - Poza tym przyznam szczerze, e ta intryga bardzo nas ekscytowała. Oczywiście mo e pan poprosić Harriet Merrick o potwierdzenie mojej wersji.

- Oczywiście. - McIntyre odniósł wra enie, e zaczyna rozumieć, co Adam miał na myśli, mówiąc o domu wariatów.

- Gdybyśmy wiedzieli, e chodzi o Melanie, zupełnie inaczej byśmy to rozegrali -

zasmucił się Fair - child. - Najbli sze tygodnie będą bardzo trudne dla Harriet, proszę łagodnie z nią postępować. Musi jakoś poradzić sobie zarówno ze zdradą córki, jak i mo -

liwością utraty jedyne dziecko.

- No właśnie, pewnie zechce pan, ebym teraz zło yła zeznania - wtrąciła się Kirby, zwracając się do McIntyre.

- Nie, nie zajmuję się sprawami kryminalnymi. - Pokręcił przecząco głową. - Mnie tylko interesuje Rembrandt. - Dopiewszy whisky, podniósł się. - Niestety, jestem zmuszony zabrać obraz, panie Fairchild.

- Naturalnie - zgodził się Philip, rozkładając szeroko ramiona.

- Bardzo dziękuję za pomoc. - Mac przeniósł spojrzenie na Adama. - Nie martw się, nie zapomniałem o naszej umowie. Jeśli uda mi się potwierdzić tę wersję, myślę, e uda mi się nie mieszać ich do tej

sprawy. Twoje zadanie skończone, Adamie. Świetnie sobie poradziłeś. Przykro mi, e nie chcesz ju więcej ze mną pracować, ale szanuję twoją decyzję.

- Zadanie? - powtórzyła lodowatym głosem Kirby. - Zadanie? - Spojrzała pytająco na Adama.

- Kirby... - zaczął.

- Drań! - syknęła i zamachnąwszy się, wymierzyła mu policzek, a następnie wybiegła z salonu.

- A niech cię, Mac! - jęknął Adam, po czym puścił się za nią pędem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Adam dopadł jej w chwili, gdy miała właśnie zatrzaskać za sobą drzwi sypialni.

Błyskawicznie zatrzymał je nogą, po czym wszedł do pokoju. Przez moment stali w milczeniu, przypatrując się sobie nawzajem.

- Kirby, proszę, pozwól sobie wyjaśnić.

- Nie! - Zmiana dźwięku spojrzeniem. - A teraz wyjdź. Daj mi spokój, raz na zawsze.

- Nie mogę. - Położył jej dłonie na ramionach, ale gdy spojrzała mu prosto w oczy, opuścił je ponownie, tak zmroził go jej wzrok. - Kirby, wiem, co myślisz. Chcę...

- Naprawdę wiesz? - achnęła się. - I tak ci powiem, ebyśmy mieli jasną sytuację.

Oto co myślę: jeszcze nigdy w życiu nie gardziłam nikim bardziej, ni gardzę tobą. Melanie i Stuart powinni się od ciebie uczyć, jak się wykorzystuje ludzi. Myślę sobie, e wykazałam się straszliwą naiwnością, uwaając, e jesteś godny zaufania i uczciwy. Zastanawiam się, jak to mo liwe, ebym tego nie zauważyła. Z drugiej strony, nie zauważyłam tego tak e w Melanie.

Kochałam ją i miałam do niej pełne zaufanie. - Łzy wypełniały jej oczy, ale walczyła ze sobą, aby nie wybuchnąć płaczem. - Ciebie te kochałam i ufałam ci.

- Ale Kirby... - zaczął.

- Nie dotykaj mnie! - Cofnęła się gwałtownie.

- Nie chcę, ebyś jeszcze kiedykolwiek mnie dotykał.

- Zaśmiała się gorzko. - Jesteś świetnym oszustem, Adamie. Ilekroć mnie dotykałeś, kłamałeś. - Gestem wskazała na łóżko. - Leżałeś tu przy mnie i gładko mówiłeś rzeczy, które chciałam usłyszeć. Czy dostaniesz za to jakąś premię? Z pewnością nie należało to do twoich podstawowych obowiązków.

- Proszę cię, przestań - powiedział cicho. - Wiesz dobrze, e nie oszukiwałam, e to, co zaszło między

nami, nie ma nic wspólnego z tamtą historią.

- Jak to nie ma nic wspólnego?! - oburzyła się.

- Przecie to jedno wielkie oszustwo.

- Nieprawda! - zaprotestował. Gotów był znieść wiele oskarżeń, tylko nie to. - Wiem, nie powinienem był się tak do ciebie zbliżyć, ale nie mogłem się powstrzymać. Musisz mi uwierzyć.

- Pozwól, e sama zdecyduję, w co mam wierzyć, a w co nie. Przyjechałeś tutaj po Rembrandta, chciałeś go odnaleźć bez względu na wszystko, a mój ojciec i ja byliśmy dla ciebie tylko środkiem do celu.

- Owszem, przyjechałem po Rembrandta - przyznał. - Kiedy po raz pierwszy przestąpiłem próg waszego domu, odnalezienie obrazu było moim priorytetem. Wtedy cię nie znałem, nie kochałem cię jeszcze.

- Jesteś mało przekonujący, Adamie. Musisz się trochę bardziej postarać. -

Odwróciła się, bo łzy znów napłynęły jej do oczu.

- Nie mogę się ju bardziej postarać, bo mówię prawdę.

- A co ty wiesz o prawdzie? - prychnęła. - W tym właśnie pokoju opowiedziałam ci wszystko, co wiedziałam na temat hobby mojego ojca. Zaufałam ci, narażając jego bezpieczeństwo i reputację. A czy ty wtedy powiedziałeś mi prawdę?

- Miałem swoje zobowiązania - tłumaczył. - Myślisz, e było mi łatwo siedzieć i słuchać tego wszystkiego, kiedy wiedziałem, e nie mogę jeszcze ci się odwzajemnić pełną szczerością?

- Tak, myślę, e było ci łatwo, zapewne dla ciebie to nie pierwszozna - odparła ze śmiertelnym spokojem w głosie. - Ale tym razem rutyna cię zgubiła. Gdybyś opowiedział mi o wszystkim tamtego wieczoru albo następnego dnia, zapewne bym ci uwierzyła.

Uwierzyłabym, gdybym usłyszała to od ciebie.

- Planowałem powiedzieć ci o wszystkim jutro - bronił się.

- Jutro - powtórzyła sarkastycznym tonem. - Jutro to świetna wymówka.

Ten wyraz jej twarzy widział do tej pory zaledwie raz - gdy Stuart przyparł ją do ściany i nie miała mo liwości ucieczki. Stuart u ył wobec niej siły fizycznej, Adam zaś zdawał sobie sprawę, i on grał na jej uczuciach, choć nie było to jego celem.

- Przykro mi, Kirby. - Rozło ył ręce. - Gdybym zaryzykował i powiedział ci o tym dziś rano, wszystko by się zapewne inaczej potoczyło.

- Nie potrzebuję twoich przeprosin. - Po jej policzkach spłynęły łzy, ale ju nie dbała o to, czy wyjdzie z tego wszystkiego z twarzą, czy bez. - Wydawało mi się, e znalazłam mę czyznę, z którym będę mogła spędzić resztę ycia. Zakochałam się w tobie, nie miałam adnych wątpliwości, wierzyłam we wszystko, co mówiłeś. Nikomu jeszcze nie powiedziałam o sobie a tyle, co tobie. Zaufałam ci, a ty mnie wykorzystałeś.

Miała rację, nie mógł w aden sposób polemizować z tą opinią. Wykorzystał ją równie niecznie, co Stuart czy Melanie.

- Niestety, nie mogę cofnąć czasu, choć bardzo bym chciał.

- I to ma mnie przekonać.?! - prychnęła. - Mam teraz paść ci w ramiona i powiedzieć, e liczy się tylko miłość? Twoje zadanie dobiegło końca, zdobyłeś Rembrandta, na co jeszcze czekasz?

- Nie pozwolę, ebyś wyrzuciła mnie ze swojego ycia - zdenerwował się. - Nie pozwolę na to! - Chwycił ją za ramię. - Przyzwyczaj się do myśli, e jeszcze tu wrócę.

Zanim zdą yła odpowiedzieć, odwrócił się na pięcie i wybiegł na korytarz.

W salonie czekał na niego Fairchild.

- Pomyślałem, e mo e ci się przydać. - Podał mu whisky. - Przykro mi, Adamie -

stwierdził, obserwując, jak ten jednym haustem opró nia szklaneczkę. - Teraz jest bardzo zboląa, ale mo e z czasem, gdy rany się trochę zablżnią, będzie skłonna wysłuchać twoich racji.

- Mam taką nadzieję, ale nie jestem całkowicie przekonany, e tak się stanie.

Zdradziłem ją. - Spojrzał na Philipa. - Ją i ciebie.

- Zrobiłeś to, co do ciebie nale ało, taka była twoja rola - pocieszał go Fairchild. -

Gdyby nie ta historia z Melanie, Kirby jakoś by się z tym pogodziła, ale teraz jest zdruzgotana i nie słucha głosu rozsądku. Daj jej trochę czasu.

- Najgorsze, e nie pozwala mi się pocieszyć - alił się. - Chciałbym jej pomóc, ale moja obecność tylko pogarsza sprawę, dlatego szybko się spakuję i wyje d am. -

Sfrustrowany, przeciągnął dr ącą dłonią po włosach. - Kocham ją, Philipie.

Fairchild w milczeniu odprowadził go wzrokiem. Po raz pierwszy w ciągu sześćdziesięciu lat ycia poczuł się stary i zmęczony. Westchnąwszy głęboko, podniósł się i poszedł na górę do pokoju córki.

Znalazł ją zwiniętą w kłębek na łó ku. Wyglądała tak nieszczęśliwie, e na jej widok a go zakłuło w sercu.

- Czy kiedyś przestanę robić z siebie idiotkę, papo? - westchnęła, gdy usiadł obok.

- Nie zrobiłaś z siebie idiotki - zaprzeczył łagodnie.

- Ale tak! - jęknęła. - Straszna idiotkę. Nie jedziesz do szpitala, eby się zobaczyć z Harriet?

- Oczywiście, zaraz pojedę.

- W takim razie jedź, ona cię potrzebuje.

- A ty nie? - Pogłaskał ją po włosach.

- Och, papo! - wykrztusiła, po czym zalała się łzami.

Cards zniósł na parter walizki Kirby. Minął tydzień od momentu znalezienia Tycjana, ale wciąż nie zdołała odnaleźć pociechy ani w sztuce, ani w towarzystwie bliskich. Jadła coraz mniej, cierpiała na bezsenność, straciła ochotę do ycia. Dlatego te ostatkiem silnej woli postanowiła coś zrobić, aby wziąć się w garść.

Otworzyła drzwi Cardsowi. Na widok pogodnego, rześkiego poranka zachciało jej się płakać.

- Nie rozumiem, jak to mo liwe, eby rozsądna osoba zrywała się o tej barbarzyńskiej porze, aby wyjechać na pustkowiu - narzekał jej ojciec, schodząc w szlafroku po schodach.

- Kto rano wstaje... Chcę jak najwcześniej dojechać do chaty, eby zdążyć się rozpakować i wybrać na długi spacer. Mo e masz ochotę na kawę?

- Nie przez sen - odparł, całując ją w czoło. - Nie rozumiem, czemu perspektywa spędzenia kilku samotnych tygodni w szopie na końcu świata wydaje ci się taka atrakcyjna.

- Papo, to

aden koniec świata, tylko komfortowa dacza Harriet w górach Anirondacks, trzydzieści kilometrów od Lake Placid.

- Co nie zmienia postaci rzeczy, e będziesz tam sama.

- Papo, przecie ju jeździłam tam sama - przypomniała cierpliwie. - Przyznaj od razu, e jesteś zły, bo przez kilka tygodni nie będziesz miał poza Cardsem nikogo, na kogo mógłbyś krzyżeć.

- Kłócenie się z Cardsem to adna frajda - poskarzył się. - Bo on nigdy nie pyskuje.

Tulip powinna pojechać z tobą, ktoś musi wmuszać w ciebie jedzenie - oznajmił, spoglądając na jej sińce pod oczami.

- Nie martw się, papo. - Pogłaskała go po policzku. - Na pewno nie będę się głodzić, a świe e górskie powietrze doda mi apetytu.

- Martwię się. - Połozył dłonie na jej ramionach.

- Po raz pierwszy w yciu naprawdę się o siebie martwię.
- Straciłam tylko dwa, trzy kilogramy.
- Nie o to chodzi. Powinnaś porozmawiać z Adamem.
- Nie ma mowy! - zaprotestowała. - Powiedziałam mu ju wszystko, co miałam mu do powiedzenia. Po prostu potrzebuję czasu i odrobiny samotności.
- Uciekasz? - zdziwił się. - To do ciebie niepodobne.
- Owszem, uciekam. Rick oświadczył mi się przed wyjazdem.
- I co w tym takiego dziwnego? - zainteresował się. - Przecie zawsze ci się oświadcza przed wyjazdem.
- Tylko e teraz niemal się zgodziłam, bo wydawało mi się to najprostszym wyjściem z sytuacji. Zrzućmy bym mu ycie.
- Tylko jemu? A sobie nie?
- Jestem silna, papo, jakoś bym sobie poradziła - uspokoiła go. - Ale Harriet bardzo cię potrzebuje.
- Melanie, gdy tylko wyzdrowieje, zamierza wyjechać do Europy - poinformował.
- Wiem, Harriet mi wspominała. Będzie potrzebowała nas obojga, kiedy zostanie sama. Jeśli nie mogę poradzić sobie ze swoimi problemami, jak mam jej pomóc? - Uściskała go. - Pracuj sobie w spokoju, a ja będę wypoczywać i rzeźbić. Mam nadzieję, e jeśli zaczniesz coś malować, obraz będzie nosił twoje nazwisko? - Nie odpowiedział, więc popatrzyła na niego groźnie. - Papo?!
- Wszystkie moje obrazy będą podpisane moim nazwiskiem - odparł z godnością. -

Przecie dałem ci słowo!

- A czy ta twoja obsesja z rzeźbieniem nie oznacza, e chcesz skopiować Rodina czy Celliniego? - Przyjrzała mu się podejrzliwie.
- Zadajesz stanowczo za du o pytań. Jedź ju , bo zaraz zrobi się późno. Nie zapomnij napisać raz na jakiś czas.
- Zajmie ci to całe lata - zawyrokowała. - Jeśli oczywiście w ogóle ci się to uda. Lepiej zostań przy tym swoim jastrzębiu. - Pocałowała go w czoło.
- Kocham cię, papo.

Odprowałdził ją wzrokiem do auta. Gdy włączyła silnik, pomachał jej i zawrócił do domu.

- Pod adnym pozorem nie powinno się mieszać w życie swojego dziecka - zauważył, sięgając z szerokim uśmiechem po słuchawkę.

Uwielbiała las jesienią, był taki pełen barw, dynamiczny, choć zaraz miał pograć się w kilkumiesięcznym śnie. Mimo to, nawet po upływie trzech dni w samotności, wciąż nie mogła znaleźć spokoju. Niemal udało jej się pogodzić z tym, co zrobiła Melanie.

Wytłumaczyła sobie jej zachowanie tym, że jej przyjaciółka była ciężko chora, nie potrafiła sobie jednak w adekwatny sposób wyjaśnić postępowania Adama - przecie nie chował do niej urazy, która swą genezą sięgałaby wczesnego dzieciństwa. Miał po prostu zadanie do wykonania, a dla niej nie było to dostatecznym usprawiedliwieniem.

Z ciężkim westchnieniem usiadła na pniu, leżącym wzdłuż brzegu górskiego potoku.

W jej życiu wkraść się chaos i miała tego serdecznie dosyć. Nie była w stanie dłużej oszukiwać samej siebie, że wyrzuciła Adama ze swego serca. Owszem, nie chciała go słuchać, nie próbowała się z nim skontaktować, ale to nie wystarczyło. Raz po raz przyłapywała się na rozważaniu, czy w ogóle kiedykolwiek kochał ją tak mocno, jak twierdził, czy choć przez chwilę naprawdę do niej należał. Zdawała sobie sprawę, że jej odmowa jakichkolwiek kontaktów oznaczała, i nigdy się nie poznała prawdy. Może tak było lepiej?

Podniósłszy się, ruszyła z powrotem w kierunku chaty z mocnym postanowieniem, że poświęci całe popołudnie na pracę. Weszła tylnymi drzwiami i rzuciwszy niedbale kurtkę na pobliskie krzesło, szybko podeszła do stołu, na którym ułożyła swoje narzędzia. Od wielu dni nie dotykała się do nich i zaczęła najzwyczajniej w świecie za nimi tęsknić. Usiadła przy stole i sięgnęła po surowy kawałek drewna, który miał przekształcić się w „Namiętność”. Być może praca właśnie nad tą rzeźbą pozwoli jej ponownie poukładać życie.

Obracając drewno w dłoniach, rozmyślała o Adamie, o nocach, jakie spędzili razem o smaku jego ust... „Namiętność”, powoli przybierała kształty.

Dopiero gdy zaczęły ją boleć palce, spostrzegła, że upłynęło już półtorej godziny. Z

westchnieniem odłożyła drewno, by zrelaksować dłonie.

- Zawsze to jakiś początek - powiedziała, spoglądając na efekty swej pracy.

- To „Namiętność”, prawda?

Usłyszawszy dobrze znajomy głos, wypuściła z dłoni dłuto. Podniosła głowę.

Naprzeciwko niej w miękkim pluszowym fotelu siedział Adam. Już miała się poderwać z krzesła, podbiec do niego i zarzucić mu ramiona na szyję, gdy w ostatniej chwili zreflektowała się.

- Jak się tu dostałeś? - zapytała lodowatym tonem. Choć ten chłód niejednego by zniechęcił, w sercu Adama rozpalila się iskierka nadziei - widział wyraz twarzy Kirby w chwili, gdy go spostrzegła i to mu wystarczyło. Wiedział jednak, że największym błędem, jaki mógł uczynić, byłoby popędzanie jej,

więc postanowił cierpliwie poczekać.

- Główne drzwi były otwarte - wyjaśnił. - Wszedłem i postanowiłem poczekać na twój powrót. Miałem od razu się przywitać, ale gdy zobaczyłem, w jakim skupieniu pracujesz, zdecydowałem, że nie będę ci przeszkadzać.

Wstał i włożył ręce w kieszenie, zaczął spacerować po salonie.

- Bardzo ładny domek - pochwalił. - Tak sobie go właśnie wyobraziłem. - Oddalony od innych zabudowań, nieduży, przytulny i uroczy. Dokładnie taki, jak go opisywała Harriet.

- Rozmawiałaś z Harriet? - zdziwiła się.

- Tak, kiedy zawiozłem twój portret do galerii.

- Mój portret? - powtórzyła, spuszczając wzrok, bo jej oczy nagle zasłzyły mgłą.

- Obiecałem jej przecie, że będzie mogła go wystawić jako pierwsza - przypomniał, obserwując, jak zaplata drążące palce. - Nie było mi trudno go dokończyć, bo gdzie się nie obejrzałem, widziałem ciebie.

Wstała i podeszła do okna tarasowego, które wychodziło na las.

- Jak się miewa Harriet? - zapytała, chcąc zmienić temat.

- Có, widać, że wciąż cierpi. - I ty też, dodał w myślach. - Na szczęście ma bardzo dużo o pracy w galerii, więc nie ma czasu na rozmyślanie. Ale martwi się o ciebie.

- Niepotrzebnie. - Wzruszyła ramionami. - Możesz jej to przekazać, gdy ją zobaczysz.

- Sama jej to powiesz, kiedy wrócimy.

- My? - powtórzyła, marszcząc brwi. - Ja tu zamierzam pozostać jeszcze przez jakiś czas.

- Nie ma problemu, nie spieszy mi się nigdzie - ucieszył się.

- Nie możesz tu zostać! - Wzięła się pod boki.

- Poza tym, nie masz klucza.

- Właśnie że mam, dostałem go od Harriet - oznajmił triumfalnie. - A dom jest na tyle duży, że powinniśmy się zmieścić we dwójkę.

- Tu się mylisz, ale nie będę ci psuć planów. Odwróciwszy się na pięcie, ruszyła w kierunku schodów, ale gdy go mijała, złapał ją za ramię i odwrócił ku sobie.

- Chyba nie sądzisz, że pozwolę ci odejść?

- Uśmiechnął się. - Kirby, rozczarowujesz mnie.

- Nie muszę cię prosić o pozwolenie i nie możesz mi niczego zabronić - przypomniała groźnym tonem.

- Mogę, jeśli tego wymaga sytuacja. - Położył dłonie na jej ramionach. - Wysłuchaj mnie wreszcie.

Jednak zamiast mówić, pocałował ją delikatnie. Nie odpowiedziała. Nawet nie drgnęła, choć czuł, że toczyła wewnętrzną walkę. Widział, że gdyby chciał, mógłby sprawić, że odpowiedziałaby na jego pieszczotę, ale nie chciał wywierać na nią nacisku.

- Kirby, zapłaciłem drogo za każdą chwilę, kiedy nie było cię przy mnie - wyznał. -

Kiedy wreszcie przestaniesz mnie karać?

- Wcale nie chcę cię karać - odparła, zgodnie zresztą z prawdą, ponieważ już dawno mu wybaczyła. - Wiem, że rozstaliśmy się w niewłaściwy sposób. Zdaję sobie tę sprawę, że uczyniłeś to, co do ciebie należało. Pewnie na twoim miejscu zrobiłabym to samo. Najwyższa pora, żebyśmy obydwójmy o tym zapomnieli i powrócili do tego, czym byliśmy, zanim się spotkaliśmy.

Jej chłodne opanowanie zaniepokoiło go, spodziewał się bowiem emocjonalnej reakcji i był na nią przygotowany.

- Czy bylibyśmy szczęśliwi, żyjąc nadal tak, jak gdybyśmy się nigdy nie spotkali?

- Popełniliśmy błąd...

- Czy zamierzasz mi teraz powiedzieć, że mnie nie kochasz? - przerwał jej.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie, nie kocham cię. - Spuściła wzrok. - Przykro mi.

Adam poczuł, jak miękła mu noga w kolanach. Gdyby nie to, że w kluczowym momencie odwróciła spojrzenie, pozbawiłaby go całkowicie nadziei.

- Myślałem, że umiesz kłamać, ale widzę, że ci coś nie idzie. - Przytulił ją do siebie. -

Dałem ci dwa tygodnie. Może powinienem dać ci jeszcze więcej czasu, ale nie potrafię. -

Ukrył twarz w jej włosach.

- Adamie, proszę...

- Kocham cię - wpadł jej w słowo. Odsunął ją na długość ramion. - Musisz się do tego przyzwyczaić, bo nie zamierzam zmienić zdania.

- Chyba znów robisz się pompatyczny. - Uśmiechnęła się lekko.

- I do tego te musisz się przyzwyczać. - Ujął jej twarz w dłonie. - Nie wiem, ile razy chcesz, ebym cię przeproszał, ale zrobię to tyle razy, ile trzeba.

- Nie potrzebuję twoich przeprosin. - Cofnęła się.

- Tak myślałem - mruknął. - Rozmawiałem dziś długo z twoim ojcem, zanim tu przyjechałem.

- Tak? - Wbiła wzrok w podłogę. - Jak to miło.

- Obiecał mi, e nie będzie więcej kopiował obrazów.

Uśmiechnęła się. Domyśliła się, i odbył tę rozmowę z ojcem z troski o nią.

- Cieszę się, e go przekonałeś - odparła z przekąsem.

- Postanowił pójść na to ustępstwo, jako e

wkrótce będę członkiem rodziny - dodał.

- Naprawdę? Nie wiedziałam, e papa chce cię adoptować.

- Nie do końca to miałem na myśli. - Roześmiał się, biorąc ją ponownie w ramiona. -

Czy mogłabyś jeszcze raz powiedzieć, e mnie nie kochasz?

- Nie kocham cię - wyszeptała, wspinając się na palce, aby go pocałować. - I nie chcę, ebyś mnie trzymał w ramionach. - Oplotła rękoma jego szyję. - I nie chcę, ebyś mnie całował - dodała, przyciągając jego twarz ponownie ku sobie.

- Tak, teraz mnie przekonałaś - przyznał, po czym pocałował ją tak gorąco, jak nigdy dotąd.